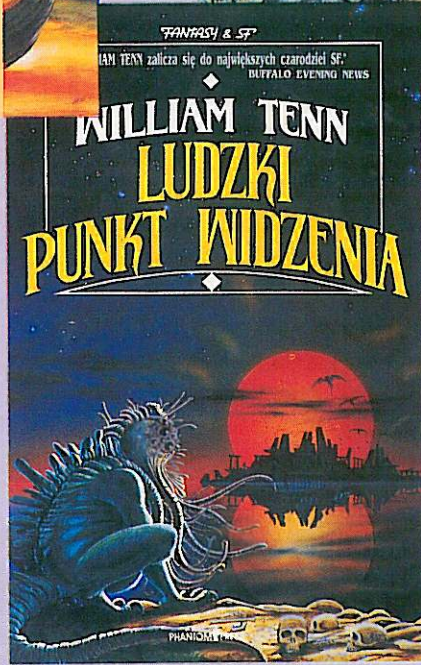
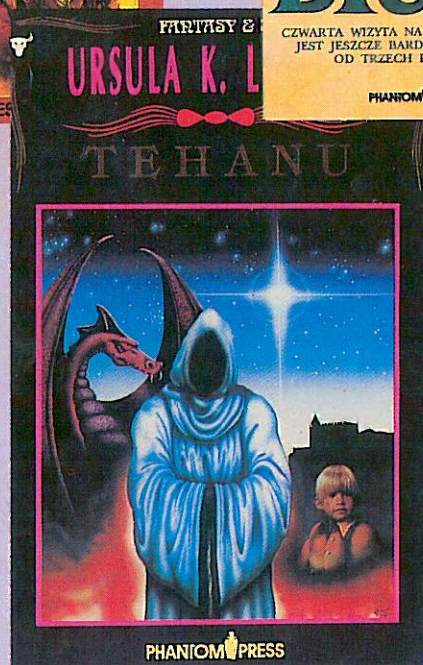
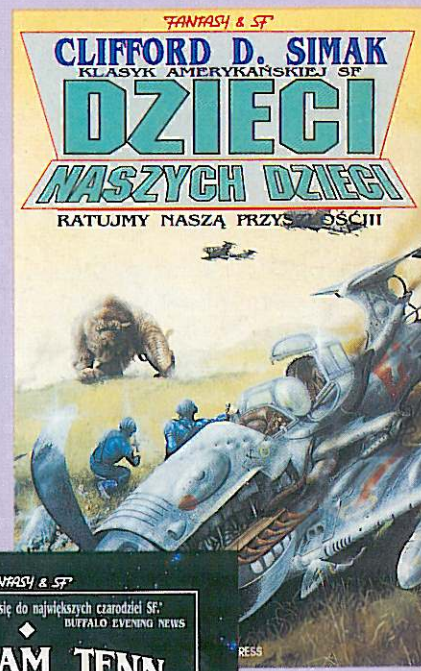
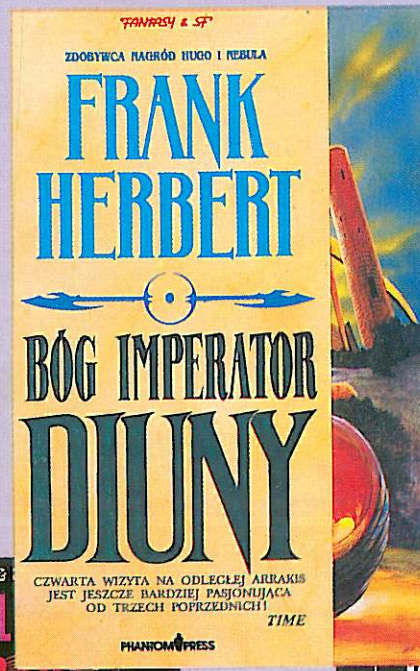


UZUPEŁNIJ ZBIORY BESTSELLERÓW SCIENCE FICTION!
JEST TO JEDYNA SZANSA, ABY ZAKUPIĆ BRAKUJĄCE LUB ZALEGŁE TYTUŁY,
KTÓRYCH NIGDZIE JUŻ PAŃSTWO NIE MOŻECIE OTRZYMAĆ.

WYDAWNICTWO PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
ROZPOCZĘŁO SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ, ZA ZALICZENIEM POCZTOWYM,
TYTUŁÓW Z NASZEJ PEŁNEJ OFERTY WYDAWNICZEJ.



ZAMÓWIENIA PROSIMY KIEROWAĆ POD ADRES:
PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
80-365 GDAŃSK
ul. CZARNY DWÓR 8

OSOBY ZAINTERESOWANE OTRZYMAJĄ WYKAZ WSZYSTKICH TYTUŁÓW KSIĄŻEK
Z SERII FANTASY & SF, KTÓRE UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM NASZEGO WYDAWNICTWA
WRAZ Z CENAMI, KRÓTKIMI NOTKAMI INFORMACYJNYMI
ORAZ SZCZEGÓŁOWYMI WARUNKAMI SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ.
ZAPRASZAMY!

Galeria: Wojtek Siudmak

INDEKS 358398

NOWA Fantastyka
NUMER 9 (132) WRZESIEŃ 1993 CENA 16 000 ZŁ



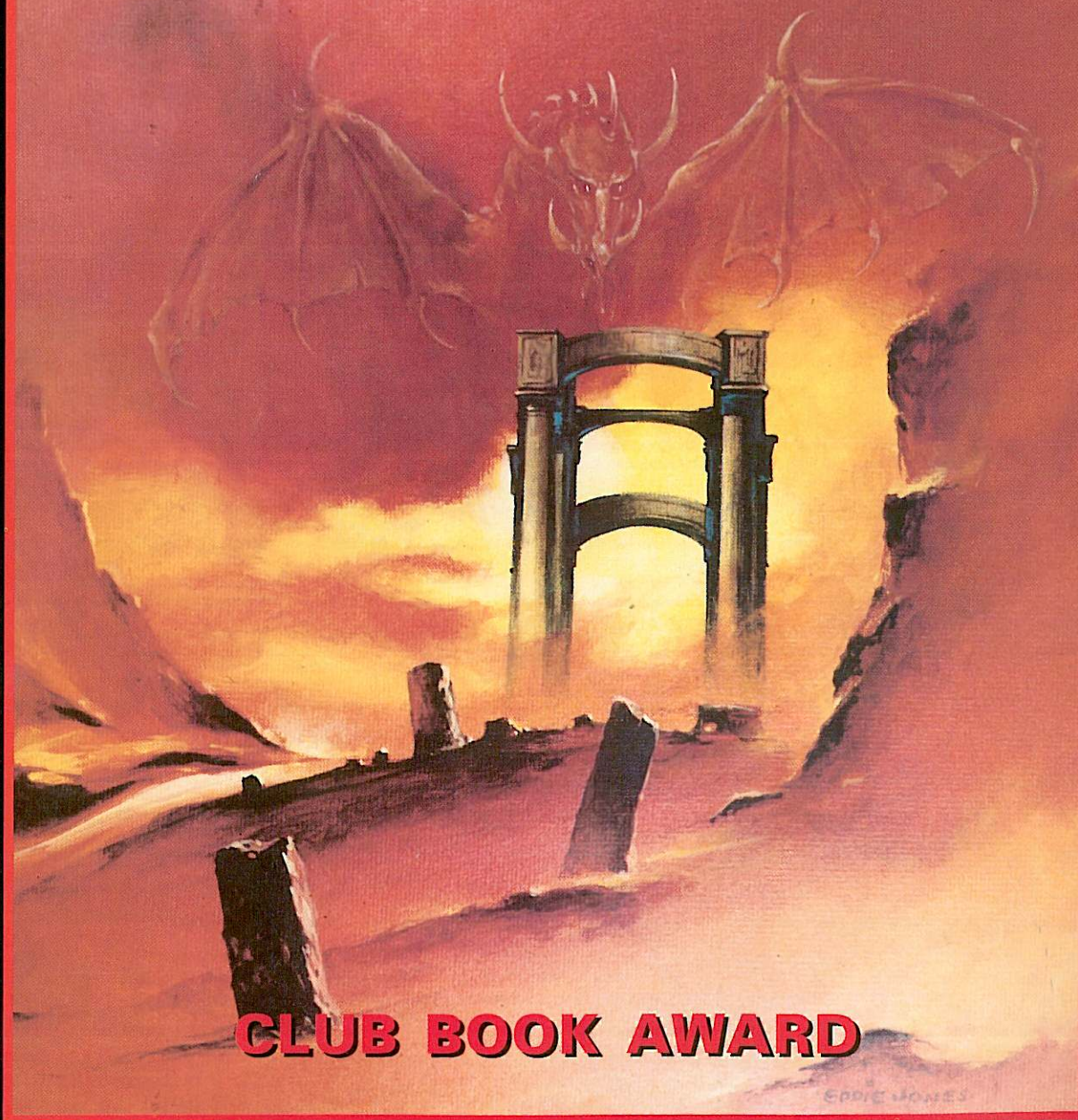
**DARIUSZ
ZIENTALAK jr
PAPIEROWY
TYGRYS
TYGRYS
PRAWDZIWY**

**GWYNETH
JONES
ŚNIEŻNE
JABŁKA**

WOJTEK SIUDMAK

**Andre Norton
Mercedes Lackey**

ZGUBA ELFÓW



CLUB BOOK AWARD

NEBULA GRAND MASTER

oraz

WSCHODZĄCA GWIAZDA ŚWIATOWEJ FANTASTYKI

Nowa Fantastyka

NUMER 9 (132) WRZESIEŃ 1993

Opowiadania zagraniczne

Gwyneth Jones	3
Śnieżne jabłka	
Charles de Lint	9
Niegrab	

Galeria

Wojtek Siudmak	17
Artyści rzeczywistości wirtualnej	60

Powieść

Anne McCaffrey	25
Pieśń kryształu (7)	

Z polskiej fantastyki

Marek Drogosz	41
Athaom	
Dariusz Zientalak jr	46
Papierowy tygrys, tygrys prawdziwy	

Film i fantastyka

Jerzy Szyłak	58
Kości po Barkerze	

Bibliofil – Kinoman

Rafał A. Ziemiakiewicz	65
Pełny luz	

Krytyka

Jerzy Szeja	66
Ułomni wobec świata	

Recenzje	69
----------	----

Ankieta „NF”

Drugie ja polskiej fantastyki (3)	72
-----------------------------------	----

Komiks

Koła i trójkąty	75
-----------------	----

...3...2...1...

Adam Hollanek	79
Nowomowa nie tylko w TV	

Drodzy Czytelnicy!

Wrzesień, koniec wakacji – i znowu ruszają sesje, spotkania, konwenty. W dniach 17-19 września do Katowic zaprasza Śląski Klub Fantastyki na seminarium poświęcone polskiej (i światowej?) fantastyce w czasie przelomu. Będzie dużo głośnych nazwisk i interesujących referatów. W związku z tą dobrze obsadzoną imprezą (oraz wyborami) awizowane przez nas Bachanalia Fantastyczne, organizowane przez Zielonogórski Klub Fantastyki „Ad Astra”, odbędą się tydzień później (23-26 września).

Będzie o czym gadać na tych spotkaniach. W polskiej grze o wszystko poszły w górę stawki i pokusy, wolność okazała się wyzwaniem trudnym i również bolesnym. Jest niemal pewne, że wyniki z tych odkryć nowe emocje zasadniczo odmieniają oblicze fantastycznej literatury. Już odmienną. W naszej fantastyce na przykład coraz więcej rzeczywistości (przypomnij ostatnie teksty Ingłota, Ziemiakiewicza, Cyrana, Soboty, Domarusa), zaś w rzeczywistości coraz więcej horroru. Jedno i drugie znajduje Państwo w opowiadaniu Darka Zientalaka, kolejnego przedstawiciela konkurencji na naszych łamach. Przysięgam, jego „Papierowy tygrys, tygrys prawdziwy” pojawił się w redakcji i został zatwierdzony do druku co najmniej tydzień wcześniej zanim prasa i telewizja doniosły o grasującym w stolicy wampirze. Życie naśladuje sztukę?

Oczywiście fantastyka to nie tylko aktualia. Wręcz desintere-ssement dla aktualii deklaruje w tym numerze Wojtek Siudmak. Ucieczkę od doraczności, zwrot ku sprawom odwiecznym, upisanie ludzkiego losu, ludzkiej przygody z miłością, cierpieniem, odpowiedzialnością za siebie i innych w strukturę mitu, archetypicznej przypowieści o przeznaczeniu – mamy i w pięknym opowiadaniu „Śnieżne jabłka” Gwyneth Jones i w świadomie oschlej, oszczędnej mitologiczno-psychologicznej parafrazie „Athaom” Drogosza. W krytyce, jak zwykle we wrześniu, wracamy do dzieła Lema (do jego intelektualnych przestrzeni i... zapadnię) tym razem piórem Jerzego Szei.

Ponadto kolejna (trzecia) odsłona „Drugiego ja polskiej fantastyki”. Wpadła nam ta sondażowa rubryka jak kamień w wodę, w ogóle się czytelnicy nie odzywają na jej temat. Może aktualne i gorzkie zwierzenia nauczyciela (Ingłot) oraz programisty (Cyrana) spowodują Państwa do zabrania głosu. Przy końcu numeru pierwszy z dawno zapowiadanych polskich komiksowych shortów piórka Piotra Kowalskiego. Autor zjawiał się u nas niedawno, a już zdążył ciekawie zilustrować kilka opowiadań.

I jeszcze smutne pożegnanie: w czerwcu zmarł William Golding (1911-1993), noblista AD 1983, dowódca brytyjskiego okrętu wojennego podczas II wojny światowej, autor kultowej powieści „Władca much” podejmującej filozoficzny problem zła. Jego dzieło i osobę przywoływaliśmy często (obok Orwella, Poego, Kafki, Borgesa, Stevensona, Lema, Dicka) jako przykład pisarza i artysty z prawdziwego zdarzenia, który traktuje fantastykę z powagą i umie wykorzystać jej możliwości. Teraz prasa światowa doniosła, że pierwsza wersja „Władcy much” jeszcze bardziej przypominała klasyczną SF; oprócz katastroficznej opowieści o dzieciach na bezludnej wyspie rozgrywał tam Golding sceny przyszłościowych walk lotniczych.

Maciej Parowski

Nowa powieść już w następnym numerze!

PHILIP K. DICK

Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?

BLADE RUNNER

✉ **Kobieta kontra mężczyzna**

Boże, Boże, Boże, czy w fantastyce nie ma już prawdziwych dziewczyn? Najpierw Marzena Kawalerowicz ze swą nekrofiliczną wizją kobiety („NF” nr 11/92 i 12/92), a teraz Emma Popik i potworna, zwyczajna wizja mężczyzny („NF” nr 5/93). W jej opowiadaniu „Zezwolenie” nie występuje ani jeden normalny facet. Sami psychopaci. Owszem paranoicy i typy obsesyjne są dosyć popularni, zawsze byli, ale przecież nigdy nie należeli do większości. Moją rozpacz pogłębił Andrzej Sapkowski przedstawiając tematykę kobiecej fantazy („NF” nr 5/93). Nie czytuję tej prozy, ale Andrzejowi wierzę.

Dziewczyny, czemu wy się tak nas boicie? Profesor Antoni Kepiński twierdzi, że: „Spotykany u wielu mężczyzn lęk przed kobietą, jako partnerem seksualnym ma charakter atawistyczny” (to znaczy: pajęczki, modliszki i inne tego rodzaju przykrości, które spotkały naszych przodków ze strony samic ich własnego gatunku). Czymże jednak umotywić wasz lęk? Ja wiem: „Trudniej być kobiecie kobietą niż mężczyźnie mężczyzną”. Ale chyba nie chcecie być bardziej męskie od mężczyzn? Bo to zupełnie tak jak z replikantami Tyrella, bardziej ludzcy niż ludzie. Jest w tym pewna niewłaściwość, jak by to podsumował Człowiek z Marsa. Może pragniecie świata z powieści „Houston, Houston...” Jamesa Tiptree („F” nr 3/83)? Cóż, życzę szczęścia.

Jeżeli jednak nie chcecie całkiem nas wytepić i zależy wam jedynie na powrocie do społeczeństwa matriarchatu, to przeczytajcie tekst z jednego z pierwszych numerów „Nie z tej Ziemi” pt. „I kiedyś Bóg był kobietą”, napisany przez Turid Getz. Przedstawiono w nim cudowną wizję matriarchatu i społeczeństwa kobiecego (coś takiego jak u pani Popik), które zostały zniszczone przez mężczyzn (okropnie!). Tylko że w tym cudownym świecie ludzie też musieli cierpieć z tak prozaicznych przyczyn jak na przykład ból zęba, bo nie było dentysty. Cudowny zaiste to był świat. (...)

Kobiety zawsze rodziły dzieci i cierpiały, i musiały krwawić. Być może w tym kryje się wasz lęk przed mężczyznami? Boicie się bólu przy porodzie? Ale to przecież nie mężczyźni stworzyli ten świat. I nie ma sensu obarczać nas winą za wasz los. Naprawdę większość z nas robi wszystko, żeby mu ulżyć. To tylko wy za wysoko podnosicie poprzeczkę. Zresztą po cholere ja się tłumaczę? „Tak ma być, jak jest, bo uzyskaliście na to zezwolenie na początku wydarzeń”.

Maciej Czernik
Tarnów

✉ **Zagorzały kontra Wierna**

Droga redakcjo!!! Jestem zagorzałym czytelnikiem „NF”. Zacztywałem się w niej co miesiąc. Jednak z żalem muszę stwierdzić, że wasze pismo schodzi na psy. Dlaczego? Po prostu cholernie wkurza mnie szarego czytelnika tym, co drukujecie. Wasze pismo czytają nie tylko szaleni myśliciele, którzy każdy kawałek tekstu muszą rozważyć w aspekcie filozoficznym, ale także zwykli czytelnicy, którzy chcą się trochę rozerwać i wybraли do tego wasze pismo. (...)

Tak w ogóle, to bardzo lubię wasze pismo i zamierzam nadal je kupować.

Rafał Rączka
Antonin Nowy

Kochani! Wybaczenie poufałości, ale jestem Waszą wierną czytelniczką od pierwszego numeru „Fantastyki”. (...) Obawiam się, że wielu z tych czytelników, którzy – tak jak ja – mają pewne ambicje czytelnicze, buszuje po antykwiariatach lub rezygnuje z literatury fantastycznej w ogóle. Jestem skłonna przyznać rację p. Oramusowi (którego bardzo lubię mimo jego zażartego antyfeminizmu), że najlepszym lekarstwem dla fantastyki w Polsce byłoby zaprzestanie jej pisania. I wydawania – dodajmy. Na razie znakomita większość naszych wydawnictw fantastycznych kształtuje sobie czytelników na obraz i podobieństwo typowego „konsumenta” amerykańskiego (przypominam: dwunastoletni Murzynek-półanalfabeta) – melaniny nie przybywa, za to IQ systematycznie się obniża.

Jestem poniekąd Waszą klientką, bo prenumeruję Was (konkurencyjnego „Fenix” zresztą także), przyznając sobie więc prawo do „poczępiania” się trochę. To nie upierdliwość, lecz dbałość o własny, czytelniczy interes. Chcę więcej AMBITNEJ literatury, dobrej „Galerii”, ostrych recenzji. Chcę, by panowie Oramus i Kołodziejczak mniej wyżywali się w „Fenixie” – są to teksty, które lekko się czyta i lekko pisze – a więcej w „Nowej” właśnie, skierowanej do starszego, bardziej wymagającego czytelnika. Dobra literatura to niekoniecznie ta, która dobrze się sprzedaje. Rozumiem prawa rynku, wiem, że nie można jej lansować na siłę. Można ją za to przemycać – i o to Was proszę. (...)

Pozdrawiam i życzę Wam (i sobie), byście nadal umilali szarą egzystencję szarych, zabieganych, spragnionych odrobiny marzeń czytelników.

Wierna czytelniczka
Katarzyna Zielińska
Zielona Góra

✉ **Wątpliwe i koszarne – cd.**

List pana Merynga wydrukowany w „NF” nr 5/93 to rzecz smutna i zmuszająca do refleksji zarazem. Oczywiście szanuję wolność słowa i jestem zdolny znieść nazwanie jednej z lepszych powieści Heinleina koszmarnym belkotem – rzecz gustu oczywiście. Pan Meryng prezentuje jednak dziwnie jednostronny sposób myślenia. Czy ja się czepiam, że, dajmy na to, Huberath obraża moje uczucia racjonalistyczne? Nie! Czytam sobie spokojnie, myślę, kiwam głową, mówię: „Świetna rzecz” – i zostaję przy swoich poglądach. Szantażowanie pisma zrezygnowaniem z jego prenumeraty, gdyż nie odpowiada ono czyimś takim, siakim lub owakim poglądom – to dziecinne i śmieszne. Skąd u nas to przywiązanie do Jedynie Słusznych Wykładni Rzeczywistości? Ja też mam swoje uczucia, ale nikt nie zdoła ich urazić, publikując w „Fantastyce” własną wersję świata. Cały obszar fantastyki to próby przedstawienia tego, co nas otacza na rozmaite sposoby – jak można tego nie rozumieć? Czy pan Meryng pojmuje ideę eksperymentu myślowego? Szacunku dla odmiennego zdania? Jak można podchodzić w ten sposób do SF? Czy literatura ma znowu służyć do ukazywania Właściwej Prawdy?

Naprawdę, bardzo mi przykro. Sądzę, że pan Meryng podjął właściwą decyzję, informując was o zaprzestaniu prenumeraty naszego pisma. W niesamowitym, fantastycznym tyglu koncepcyjnym, jakim jest na szczęście „Fantastyka”, z pewnością nie znajdzie satysfakcji.

Nasz rynek czasopism jest obecnie bardzo bogaty. Sądzę, że pan Meryng odnajdzie na nim takie, które w całej rozciągłości odzwierciedlają jego poczucie estetyki i preferencje etyczne. Tak będzie lepiej – i dla niego, i dla „Fantastyki”. Życzę mu tego z całego serca.

A Was pozdrawiam. Trzymajcie się mocno i różnorodnie. Tylko pluralizm (jak mawia pan prezydent) może nas uratować. Pluralizm intelektualny.

Bartosz Bolechów
(student politologii, 21 lat)
Nysa

Przeczytałem w majowym numerze list pana Merynga i dziwię się, że dopiero teraz zrezygnował z lektury „Fantastyki”! (...) Jak do tej pory, żaden tekst w „Fantastyce” nie obraził moich uczuć, a jestem katolikiem. Sądzę, że gdyby sam Belzebub zamieszczał w „Fantastyce” swoje opowiadanie, to z przyjemnością przeczytałbym, co on myśli o świecie.

Leszek Aniszewski
(obecnie bezrobotny, 34 lata)
Skarżysko-Kamienna

Redaguje „Fantastyka” sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Dorota Malinowska (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, redaktor naczelny), Hanna Sosińska-Bałcer (dział techniczny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Adam Hollanek, Jacek Ingłot, Lech Jęczmyk, Andrzej W. Kaczorowski, Sławomir Kędzierski, Arkadiusz Nakoniecznik oraz Denuncjator, Inkwizytor, Karburator, Kunktator, Negocjator, Predator, Reanimator, Sekator, Wentylator i Wibrator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Wydaje Prószyński i S-ka
Jacek Herman-Łycki,
Mieczysław Prószyński,
Zbigniew Sykalski,
Tadeusz Winkowski
– spółka cywilna.
Adres: 02-569 Warszawa, ul. Różana 34.
Tel. 45-12-56.
Skład: Piotr Dudek (Studio Didot).
Druk i oprawa:
Zakłady Graficzne Sp. z o.o.,
64-920 Pila,
ul. Okrzei 5.

Nakład 100 000 egz.

S-KA z o.o.
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 Warszawa
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: tech., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., publicystyki).
Fax 25-20-89.

PL ISSN 0867-132X

© Copyright by „Fantastyka” sp. z o.o., Warszawa 1993 INDEKS 358398

Kłątwa rzucona podczas narodzin gwarantowała, że młody książę nigdy nie doświadczy miłości ani nawet nie pozna znaczenia tego słowa. Jednakże wypadki często przybierają obrót odmienny od naszych oczekiwań.

ŚNIEŻNE JABŁKA

(The Snow Apples)

Gwyneth Jones

Ilustracje: Piotr Kowalski



Dawno, dawno temu, daleko stąd była kraina, gdzie góry wznosiły się tak wysoko, że nawigatorzy u odległych brzegów brali lśniące lodowe wierzchołki za konstelacje gwiazd na nocnym niebie. I powiadano, że wspinaczka na ich szczyt trwałaby tak długo, jak trwa całe ludzkie życie. Ci, którzy mieszkali w podgórskich wsiach i miasteczkach, rzadko podnosili wzrok na odległe olbrzymy, sięgające ponad chmury. Często jednak opowiadali sobie baśnie, które podsycali w nich niejasną nadzieję i wielkie oczekiwanie na coś, co przyjdzie z gór – pewnego dnia.

Krajem tym rządził król, który miał trzy żony – kolejno, przez wzgląd na ważne zagraniczne interesy. Pierwszą żonę chyba kochał, ale musiał ją oddać, ponieważ nie dała mu dzieci. Druga żona rozwiodła się z nim, wykorzystując jakąś nieścisłość w kontrakcie małżeńskim. Trzecia żona w ogóle nie interesowała króla, ale urodziła mu syna. Dzień nadania imienia był wielką uroczystością. Król kazał usunąć wszelkie niepewne elementy, wróżki i kapłanów z ogolonymi głowami. Ale w tajemnicy, żeby ugłaskać konserwatywną partię, zorganizował dyskretnie spotkanie z astrologiem.

Król i królowa z dzieckiem siedzieli w małej sali audiencyjnej. Wprowadzono astrologa, a król od razu spostrzegł jego smutną minę. Wróżbiarz trzymał się blisko drzwi i rozglądał się lękliwie.

– Panie – powiedział – obawiam się, że muszę wypełnić przykry obowiązek.

Król przybrał pobłażliwie sceptyczny wyraz twarzy, jaki rezerwował na podobne okazje, i niedbale skinął ręką. Gest mógł wskazywać na obecność kilku wielkich drabów w mundurach i ciemnych okularach. Ten król był liberalny, ale nie głupi. Astrolog zadygotał, ale mówił dalej:

– Gdy na twój rozkaz, panie, przeprowadzałem odpowiednie obliczenia, które robią takie wrażenie na ignorantach... znalazłem się we władzy... silniejszego wpływu.

– Czego?

– To znaczy, panie, że wypełniałem twoje rozkazy. Nagle jednak poczułem, że ktoś inny przejął kontrolę. W rezultacie tej interwencji jestem obecnie zmuszony rzucić kłótnię.

Królowa, która uważała to wszystko za bzdury, wydała okrzyk zaskoczenia. Król zachował kamienisty spokój.

– Mów dalej – polecił.

Oczy wróżbiarza stały się puste, pewnie na skutek przerażenia. Zaczął recytować obcym, piskliwym głosem:

– Królu, twój potomek będzie cierpiał albo twoje królestwo upadnie. Nadchodzi czas wyboru, chwila decyzji. Twój syn utraci swoją jedyną miłość albo twój kraj zostanie zniszczony.

Zapadło krótkie milczenie. Potem król powiedział:

– Dziękuję, możesz odejść. Otrzymasz odpowiednią nagrodę.

Astrolog uśmiechnął się smutno i wyszedł, odprowadzony przez dwóch umundurowanych mężczyzn. Królowa odetchnęła z ulgą.

– No, nie było tak źle.

– Nie tak źle!? – wykrzyknął król. Strzelił palcami, żeby odprawić straż, po czym zaczął spacerować po komnacie z zachmurzoną twarzą.

– Nie rozumiem – powiedziała królowa. – To była tylko drobna impertynencja. Prawie na pewno chłopiec pokocha jakąś dziewczynę, nie pytając nas o pozwolenie. Taka już jest dzisiejsza młodzież. I będzie musiał ją odstawić. Podobnie było z tobą, prawda? Nie ma powodów do zmartwienia.

Ale król był zaniepokojony. Wiedział, czym jest moc, a przed chwilą czuł ją w tym pokoju.

– Nie znasz się na kłótniach – oświadczył. – Jak już czchają, żeby osiągnąć człowieka, to wreszcie go dopadną. Słyszałaś kiedyś o królu imieniem Edyp?

Królowa odebrała zagraniczną edukację. Pomyślała o nagich górskich szczytach i ogarnął ją strach. Ale król mówił dalej:

– Pozostaje tylko jedno wyjście. Musimy usunąć miłość z jego życia. Nigdy jej nie pozna, nigdy nie wymówi tego słowa. Nigdy nie doświadczy jej ciepła. Stworzę dla niego nowy świat, a w tym świecie nie będzie czegoś takiego jak... miłość.

Królowa była zaszokowana, ale król wkrótce jej udowodnił, że życie bez miłości może być całkiem przyjemne.

– Według mnie nie musimy rezygnować ze zwykłych dobrych manier i tak dalej – wyjaśnił. – Możesz być dla niego miła, jeśli zechcesz, dopóki to zostanie bez znaczenia, niby uśmiech rzucony obcemu człowiekowi, którego ci przedstawiono. On może mieć tyle zabawek, ile zapragnie. Dopiero kiedy zacznie wyróżniać jedną z nich, musimy uważać. To samo z niankami. Częste zmiany i stała bezosobowa troskliwość powinny załatwić sprawę. Zwróć uwagę na jedno, moja droga. Prawdziwa miłość zawsze była powodem do płaczu. On będzie nieustannie uśmiechnięty. Myślę, że w końcu podziękuję nam za to. Ale oczywiście, jeśli nasz plan się powiedzie, on nigdy nie zrozumie, co dla niego zrobiliśmy.

Plan powiódł się doskonale. Młody książę rzeczywiście był bardzo miłym dzieckiem. Wprawdzie spełniano wszystkie jego zachcianki, ale z całkowitą obojętnością, w ramach ustalonej rutyny. Brakowało poczucia władzy, tej władzy, jakiej często nadużywa rozpieszczone dziecko. Chłopiec dorastał pośród miłych, grzecznych, usługujących ludzi, którzy sprawiali wrażenie, że jego los wcale ich nie obchodzi.

Kiedy książę osiągnął odpowiedni wiek, król – ku zaskoczeniu królowej – wysłał go za granicę w celu dokończenia edukacji.

– Ależ mój drogi – zaprotestowała – a jeśli on się zakocha?

Król uśmiechnął się spokojnie.

– On się nie zakocha. Jest bezpieczny. Znacznie większe niebezpieczeństwo grozi mu, gdyby tutaj został.

Król miał wrażenie, że małżeństwo z rozsądku nie jest odpowiednim przykładem dla księcia. Chłopiec zobaczy, jak jego młodzi towarzysze poświęcają swoją na rzecz więzów rodzinnych – poddają się tradycji, często wbrew własnej woli. Takie dziwne zachowanie musi wywołać mnóstwo niepotrzebnych pytań. To sugeruje pewien rodzaj emocjonalnego nieumiarkowania: miłość rodzinną, miłość do obojczyka, do religii. Książę nie powinien wiedzieć

GWYNETH JONES

Angielska autorka, w Polsce nieznana, na świecie osiągnęła znaczną popularność. Píše książki dla dorosłych i młodzieży, głównie SF i fantasy. Jej cztery powieści (rzadko tworzy opowiadania) – „Divine Endurance”, „Escape Plans”, „Kairos” i „White Queen” – spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem wśród krytyków, którzy cenią szczególnie jej chłodną inteligencję i wyobraźnię, porównując pisarkę do Ursuli Le Guin, choć nie kwestionując jej oryginalności.

Pod pseudonimem Ann Halam napisała kilka książek dla dzieci. Para się również krytyką publikując często eseje w „Interzone” (angielska „Nowa Fantastyka”), „Foundation” i „New York Review of Science Fiction”.

(D.M.)

o takich rzeczach. Przyszła małżonka zostanie mu przedstawiona jako następna zabawka do jego kolekcji. W międzyczasie niech pozbawiony miłości młodzienczek buszuje pośród wolnych młodych ludzi, którzy go zapewnią, że kochankę bierze się dla własnej egoistycznej przyjemności.

A więc młody książę wyjechał za granicę. Bawił się doskonale, a jego specjalna edukacja w niczym nie ucierpiała. Zdarzył się jednak niefortunny zbieg okoliczności. Oczywiście król dopilnował, żeby w jego kraju nigdy nie wspomniano o kłótni. Ale wiadomość jakoś się rozeszła. Książę znalazł wzmiankę o sobie jako o interesującym przypadku w dziale antropologicznym uniwersyteckiej biblioteki.

Była to dla niego bardzo niemiła niespodzianka. Natychmiast odleciał do kraju i następnego dnia wpadł do gabinetu ojca, płonąc oburzeniem.

– Rzucono na mnie kłótnię! – krzyknął. – A ty w to wierzysz, bo inaczej nie trzymałbyś jej w tajemnicy. Jestem przeklęty! Chcę wiedzieć, o co chodzi!

Król wziął do ręki długopis i uśmiechnął się uprzejmie.

– Niestety, nie mogę ci powiedzieć.

– Musisz mi powiedzieć.

– Niestety, po prostu nie mogę.

Książę opadł na fotel.

– Czy to jeden z warunków?

Król wydawał się ubawiony.

– No, można powiedzieć, że to jeden z twoich warunków.

Oszołomiony książę zmierzył go gniewnym wzrokiem i wyszedł z nadąsaną miną.

Król wybuchnął śmiechem. Jeszcze nigdy nie był tak pewny swojego syna i jego treningu.

Ale książę, który dotąd niczym się nie przejmował, wreszcie znalazł cel w życiu. Poszedł prosto do dziewczyny, którą poznał przed wyjazdem za granicę. Dziewczyna była teraz zaręczona i nie chciała, żeby widywano ją z obcym mężczyzną, nawet z księciem. Pozostały w niej jednak resztki wielkiego rozgoryczenia, więc zrobiła, o co prosił. Książę wiedział, że nie ma sensu zwracać się do któregoś z szacownych ministrów Dawnych Sztuk, pozostającego w kontakcie z królem. Szukał podrzędnego maga.

Pięć dni później, kiedy księżyc ubywało, książę stał przed nędzną rudą w wąskiej alejce nad cuchnącą rzeką. O mało się nie rozmyślił. Mieszkająca tu stara wiedźma rechotała tak głośno, że zaczął podejrzewać, iż jego była dziewczyna zrobiła mu kawał, chociaż nie rozumiał dlaczego.

– Możesz już wejść – zaskrzeczała wróżka. Książę pochylił się, by nie uderzyć głową o niską futrynę i wszedł.

Wnętrze było teraz gęste od oparów jakichś ziół, które stara rzuciła do ognia. Gdzie się schowała? Dostrzegł jej sylwetkę w półmroku. Potem płomień strzelił do góry i książę wyraźnie zobaczył jej zmienioną twarz. Gęsta sieć zmarszczek zniknęła. Oczy spoglądające z gładkiej maski były dziwnie jasne i bystre. Może dziewczyna zapłaciła starej wiedźmie za jakąś złośliwą psotę, ale teraz starucha znalazła się we władzy większej mocy. Każdy królewski syn rozpoznałby ten widok. To było straszne.

Usta staruchy poruszyły się sztywno. Głos przemówił:

– Książę, pośród odległych białych górskich szczytów rośnie małe owocowe drzewko, które rodzi jabłka ze śniegu. Przyłóż topór do korzeni tego drzewa, a dowiesz się, jaka kłótnia ciąży na tobie...

To było wszystko. Naturalny smród chałupy pokonał zapach dymu. Książę poczuł niesmak. Cisnął na ziemię garść monet i wyszedł. Zadrżał mimo woli, kiedy

maszerował uliczką... ktoś nastąpił na jego grób. Religia była rozsądnym interesem, ale książę nigdy nie cierpiał tych starych, ponurych przesądów, sam zresztą nie wiedząc dlaczego.

Ale kiedy szedł w stronę nowoczesnego śródmieścia podniósł głowę i popatrzył na wschód. Zobaczył tylko łunę miasta na niebie, wiedział jednak, że gdzieś tam leży biała góra, stanowiąca wyzwanie. I nagle poczuł gwałtowną tęsknotę, ostrą jak ukłucie strachu. Uśmiechnął się, posyłając na wschód milczącą obietnicę, po czym zawrócił do domu.

W tajemnicy zakończył przygotowania i wyruszył niby na krótką wycieczkę. Nie zabrał żadnych zapasów ani dodatkowego wyposażenia. Dotarłszy do wioski na pogórze odkrył ze zdumieniem, że cywilizacja została gdzieś daleko. Nie mógł kupić żadnych koncentratów ani odpowiedniego sprzętu wysokogórskiego. Zamiast tego dostał sporo grubej wołkowej odzieży oraz wynajął czterech milczących mężczyzn o ciemnych, okrągłych twarzach i krótkich, grubych nogach. Mieli nieść puszki masła, brezentowe namioty i resztę starożytnego ekwipunku. Książę rozmawiał z tymi ludźmi tyl-



ko przez przewodnika. Oczywiście ukrywał swoją tożsamość. Nie wiadomo, czy robiło to jakąś różnicę. Dziewiątego dnia wyprawy obudził się i stwierdził, że tragarze uciekli.

Musiał zrezygnować z dalszej drogi i zawrócić, niosąc tyle, ile zdoła. Lecz bez tych czterech niezgrabnych tobołków jakże przytłaczająca wydawała się cisza: nieskończony, lodowaty przestwór białego światła i błękitnego cienia.

– Przynajmniej potrafię odróżnić górę od dołu – powiedział sobie twardo książę – a niczego więcej nie potrzebuję.

Starzał się zachować konieczny spokój ducha, kiedy brnął przez bezkresne zbocze białego, chrzęszczącego śniegu. Ale nieubłagana cisza i strach przed tym, co może się zdarzyć przy następnym kroku, podkopały jego siły. Cienie zaczęły falować, przybierając niezwykle kształty i kolory. Słyszał głosy. Stracił orientację.

Wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki, potem upadł bez tchu i ogarnęła go senność.

– Nie, nie – powiedział do siebie – nie wolno spać. Znajdź małe owocowe drzewko...

I nagle zobaczył. Przez cały czas miał je przed nosem. Sciana śniegu pękła, ukazując prześwit pełen zieleni i słońca – czarodziejską dolinkę, gdzie rosły owocowe drzewa, a jedno z nich rodziło śnieżnobiałe jabłka. Książę wydał donośny okrzyk triumfu i zaczął skakać przez zasy, śmiejąc się i wrzeszcząc. Dopóki nie wpadł do wielkiej lodowej szczeliny, która rozwarła się pod jego stopami. Nie było żadnej czarodziejskiej dolinki.

Istota, która mieszkała w jaskini na dnie szczeliny, była silniejsza niż na to wyglądała i pozbawiona lęku. Kiedy usłyszała chrzęst czegoś spadającego z góry, wyszła, obejrzała to coś i wciągnęła do środka. Położyła na swoim łóżku i okryła owczymi skórami. Myślała, że to coś nie żyje, więc tej nocy spała na podłodze, ponieważ zmarli zasługują na szacunek.

Rano zobaczyła, że otworzyło oczy.

– Czy umarłeś? – zapytała.

– Nie... – odpowiedział

książę słabym głosem.

– Więc ja także cie nie zabiję.

Książę spojrzał na drobną, białą, delikatną dłoń dotykającą jego ramienia i zaśmiał się cicho. I znowu stracił przytomność.

Później odkrył, że nie miał powodu do śmiechu. Ona uśmiercała każdego, kto przypadkiem trafił do tej jaskini i spojrzał na nią. Wyuczono ją sposobów zabijania, które nie zależały od wagi i wzrostu. Była kapłanką. Nazywała się Ari-gan, co oznacza białe dziecko. Była szczupła i żyłasta, o dziwnie bezbarwnej skórze i włosach. Oczy miała barwy najbledszego błękitu, wzrok trochę błędny i rozbiegany, pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie widziała istoty ludzkiej, nawet własnej twarzy w lustrze. Nosiła opaskę na oczach od urodzenia aż do dnia, kiedy przyniesiono ją tutaj i zostawiono uśpioną. Księcia zaniepokoiło, że była kapłanką. Wiedział, że jeśli znajdują w niej męczyznę nie obejdzie się bez kłopotów. Widocznie jednak ludzie, którzy przynosili jej dwa razy do roku zapasy żywności, nigdy nie wchodzili do jaskini.

– Poznaję, kiedy mają się zjawić po pogodzie i po snach. Wtedy wychodzę i zostawiam znak, żeby wiedzieli, że wciąż tu jestem. Potem znajduję jedzenie. To wszystko.

Chciał, żeby Ari-gan wytłumaczyła mu powody swojej rytualnej izolacji, ale wyrażała się dość niejasno.

– Nie wolno dotknąć – powiedziała. – Ani widzieć

twarzą, ani dotykać ręki. Żeby była pusta. Gotowa.

– Gotowa do czego? – zapytał książę. Lecz Ari-gan nie potrafiła lub nie chciała odpowiedzieć. Nie знаła innego życia, była szczęśliwa. Pewnego dnia umrze. Czy wówczas przywiozą tu następne białe dziecko? Niekoniecznie. Białe dzieci rodzą się rzadko, raz na kilka pokoleń.

– A co ze mną? – zapytał książę. – Widziałas moją twarz...

Ari-gan popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Kazano mi zabijać ludzi. Najpierw myślałam, że źle zrobiłam zostawiając cię przy życiu. Ale teraz znam cię. Jesteś taki jak ja, nie jak oni. Czuję to. Więc chyba wszystko w porządku.

Książę zrozumiał. Różnił się tak bardzo od prymitywnych górali, że w jej oczach był ponad wszelkimi zakazami. Ona pewnie uważa, że ja też jestem kapłanem, pomyślał kwaśno. Ale naturalnie nie protestował.

Zanim książę wyzdrowiał po upadku, minęło krótkie lato i jesienne burze rozszały się wśród lodowych szczytów. Nie mógł się wydostać. Wiosną górale znowu przyniosą zapasy dla Ari-gan. Spróbuje jakoś do nich dotrzeć nie zdradzając, że mieszkał z kapłanką. Do tej pory musiał tkwić w pułapce. Zanim to sobie uświadomił, spędził już wiele dni sam na sam z dziewczyną, która go karmiła i doglądała. Nadchodząca zima wcale nie wydawała się długa.

Rozmawiali, wymieniali uśmiechy i chwile przyjaznego milczenia. Książę poznał

twarz białego dziecka tak dobrze jak swoją własną. Czuł, że narasta w nim dziwne napięcie. Pewnej nocy usiadł

wyprostowany w ciemności na posłaniu z owczej

wełny i krzyknął „Ojcie!” tak głośno, że

obudził się. Kiedy dotknął palcami policzków, poczuł tży. Co go opętało?

Nie potrafił tego nazwać. Ari-gan obudziła się i zobaczyła,

że młodzieniec kołysze się w przód i w tył na łóżku, szlochając głośno. Ona

również wybuchnęła płaczem i podbiegła do niego.

– Czuję to, czuję to samo. Och, co się dzieje? Żadne z nich nie rozumiało. Przywarli do siebie

szukając pocieszenia, w nadziei, że to coś odejdzie. Wkrótce potem, w środku zimy, książę i Ari-gan

całkowicie zapomnieli o swoich nocnych koszmarach. Zostali kochankami. Nie myśleli, co się stanie, jeśli ich odkryją; żyli chwilą obecną. Leżeli razem w cieple. Wcześniej książę nie powiedział jej nic o swojej wyprawie, teraz jednak, nashuchując odległego wycia wiatru, zapragnął mówić o czarodziejskiej dolinie, którą widział przez jedną chwilę: zieleni, blask słońca i małe drzewka obwieszane jabłkami...

– Skąd tutaj jabłka? – zapytała leniwie Ari-gan.

– To jest jabłko, które ugryzę – oznajmił książę, pieszcząc dłonią wypukłość jej małej piersi, delikatnie zaokrąglonej i białej jak śnieg.

Ari-gan wybuchnęła śmiechem. Ale książę nagle

podskoczył. Przypomniawszy sobie słowa wróżki. Zrozumiał, że jego obecność zniszczy Ari-gan. To była cena, której żądano...

– Nie...! – krzyknął. – Nie zrobię tego! Nie mogę!

Zbyt zaskoczona Ari-gen nie zdołała go powstrzymać. Zapakował trochę jedzenia i natychmiast wyszedł z jaskini. To było szaleństwo. Pobiegła za nim. Ale śnieg sypał gęsto, a wiatr dmuchał ostro. Kiedy zrozumiała, że nie da rady iść, wróciła do jaskini. Popatrzyła na ich wspólne łóżko i gwałtowny dreszcz wstrząsnął jej młodym białym ciałem. Zatoczyła się i upadła jak ścięte drzewo.

Na wiosnę przyszli po Ari-gan. Oczekiwała tego. Wyczuli narkotyki w jedzeniu i przygotowała się. Nadszedł jej czas. Przeznaczenie, o którym nigdy nie mówiła księciu, miało dopełnić się właśnie teraz. Namalowali odpowiednie symbole nad jej zawiązanymi oczami i ubrali ją w starożytne szaty. Zaprowadzili w święte miejsce i rozpalili przed nią ogień. Wzbił się gryzący dym, wypełniając małą, ciemną klitkę. Napięcie narastało, kiedy wiedzące kobiety i świątobliwi mężowie z gór czekali, żeby ich bóg przemówił. To było znacznie starsze niż państwowa religia. To mogło się zdarzyć tylko raz na pięćset lat. Pokolenie za pokoleniem żyło i umierało, zanim narodziło się następne białe dziecko, które zamieniono w idealne naczynie: usta boga.

Czekali. Nagle twarz dziewczyny wykrzywiła się w straszliwym grymasie. Ari-gan krzyknęła i spadła z wysokiego stołka, skracając się z bólu.

Świątobliwi ludzie doskoczyli do ciała. Po chwili najstarsza kobieta oznajmiła: – Zabrakło miejsca. Dziecko nie było puste. Zdradziła nas. Bóg nie mógł przemówić.

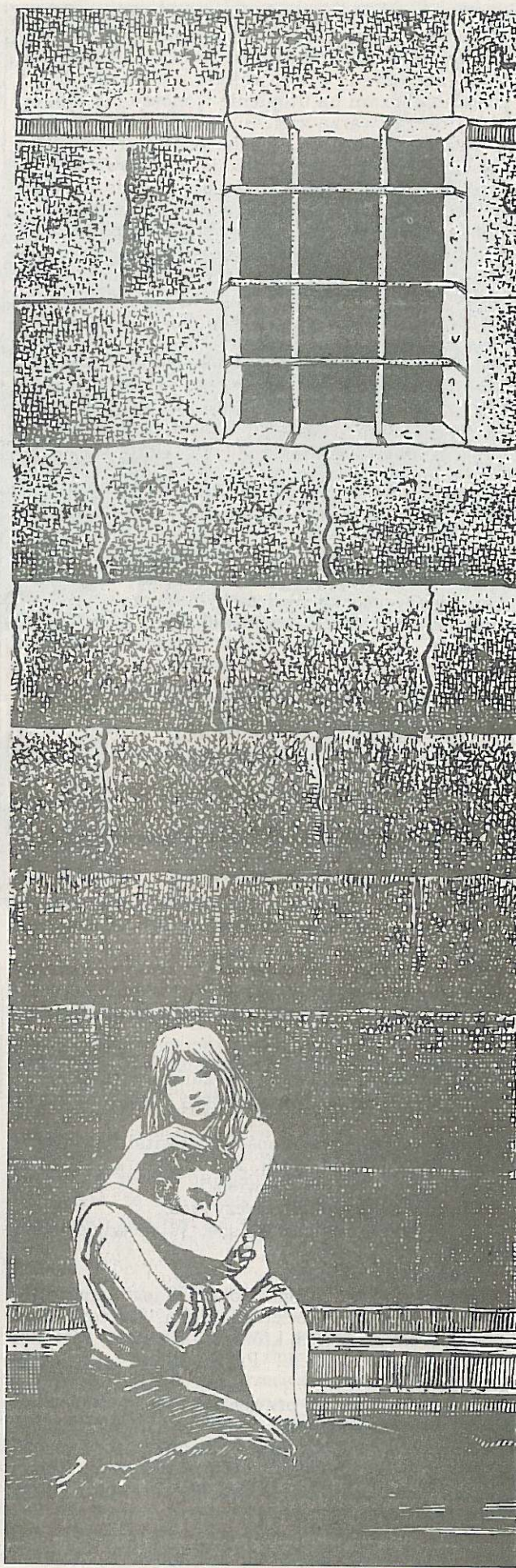
Rozległ się pomruk zgromy. Natychmiast zaczęli zastanawiać się, jak ukryć katastrofę. Wreszcie po prostu wrzucili zepsutą kapłankę do lochu i zamknęli nad nią pokrywę. Dostarczali jej jedzenie i wodę, by nikt nie mógł powiedzieć, że ją zabili. Górale wrócili do swoich spraw i próbowali zapomnieć o tym wydarzeniu. Ale wszyscy czekali na katastrofę.

W tym czasie zagraniczna ekspedycja przyniosła z gór skurczone, zmarzniete ciało młodego człowieka. Znaleźli go na śnieżnych polach, kiedy wędrował bełkocząc o drzewkach owocowych. Wszyscy mówili, że miał szczęście, skoro w ogóle przeżył. Król był bardzo rozgniewany, a także zaniepokojony, że jego syn ryzykował życie dla jakiegoś celu. Ale młody człowiek wydawał się równie obojętny i bez troski jak zawsze.

Potem znowu wyjechał za granicę i kontynuował studia. Gdyby miał prawdziwych przyjaciół, zauważyliby w nim zmianę. Był teraz bardzo milczący. Cekał, kiedy dosięgnie go kłątwa. Nie wątpił w nią ani przez chwilę. A cena za uniknięcie kławy wydawała mu się zbyt wysoka.

Nieszczęście nadeszło prędzej, niż się spodziewał. Nie czytywał gazet, więc dowiedział się dopiero z teleksu od ojca. Kiedy otwierał kopertę przy biurku portiera, rzucił mu się w oczy nagłówki w gazecie. Wiadomość przysłana teleksem mówiła: SKAZANI NA ZAGŁADĘ. COŚ TY ZROBIŁ? NATYCHMIAST WRACAJ DO DOMU. OJCIEC.

Łzy. Jakby cały świat pogrążył się w żałobie. Słony deszcz padał od dziesięciu dni, zanim wybuchła panika, zanim ludzie odkryli, że cały kraj tonie w tej okropnej powodzi. Minęło już dwadzieścia dni. Deszcz wypalił całą zieleni. Drogi zamieniły się w rzeki błota. Rzeki zamieniły się w śródlądowe morza, pełne cuchnącego ścierwa. Łzy. Nieruchome powietrze było gęste od wody, kiedy książę brodził



przez pas startowy do czekającej furmanki, zaprzężonej w parujące woły. Zmotoryzowany transport praktycznie przestał funkcjonować, a samoloty nie chciały już lądować w tym zakazanym kraju. Wszyscy zostali skazani na utopienie w morzu łez. Oto ojciec, z groźną twarzą zmienioną przez żal i strach, wrzeszczy szaleńczo na księcia: „Coś ty zrobił? Coś ty zrobił?”, a kiedy odprowadzają go z powrotem do łóżka, mamrocze z rozgoryczeniem: „Gdzie popełniłem błąd?” Księżę miał dużo roboty. Musiał kierować akcją ratowniczą zorganizowaną dla nieszczęśliwych ludzi i przez cały czas daremnie, beznadziejnie szukał sposobu, by powstrzymać deszcz. Pracował ciężko. Nie wiedział, że sam się zmienił. Nie zauważył zdziwienia ludzi, którzy z nim pracowali – był zbyt zajęty.

Do stolicy zaczęły docierać opowieści o miejscu, gdzie nie padało. Powiadano o świętej wiosce, położonej na uboczu. Stała tam stara świątynia Wyróczni, słynna za dawnych czasów. Ta wioska była chroniona. Co więcej, tamtejsi ludzie znali przyczynę deszczu.

– Pojadę tam – postanowił księżę. Prości ludzie zaczęli gadać, że księżę chce zasięgnąć rady Wyróczni.

– Musicie z tym skończyć – powiedział do swoich pomocników. – Nie chcę żadnych plotek.

Tak więc wyruszyli. Podróż była męcząca. Nie widzieli nic prócz okrutnej słonej wody i żalosnych szczątków umierających ludzi za zasłoną deszczu. Potem pewnego wieczoru nadleciał powiew wiatru, roztrzącił ciężkie, słone wyziewy zgnilizny i przyniósł ze sobą zapach zieleni. Następnego ranka koła dżipów zaczęły podskakiwać na twardym gruncie, brzęcząc łańcuchami. A potem podróżni wyjechali z deszczu.

Cisza była przytłaczająca, powietrze niezwykle suche.

– Co mówili ludzie w ostatniej wiosce o tym miejscu?

– Mówili, że jest przeklęte. Dziwne, prawda?

– Może nawet życie staje się przekleństwem, kiedy wszyscy inni umierają. Ciekawe, gdzie chowają się miejscowi.

Suche ulice były puste. Księżę ze swoim oddziałem znaleźli mały, krzywy, podobny do ula budynek – słynna świątynia Wyróczni. Dochodziły stamtąd jakieś dźwięki.

– Widocznie wszyscy są w środku – stwierdził księżę i podszedł do drzwi. Nie zauważył, że inni zostali z tyłu. Rytuał wymagał, żeby suplikant stawiał się sam.

Księżę wszedł w ciemność. Przywitało go długie, drżące westchnienie. Czuł, że otaczają go stłoczeni ludzie, chyba cała ludność wioski.

– Kto idzie? – szepnął starczy głos.

– Król – odpowiedział księżę. W zasadzie mówił prawdę.

– Czekaliśmy na ciebie.

Księżę nagle uświadomił sobie, że jest sam pośród tych głodnych, mamroczących cieni, otoczony kwaśnym odorem świętości, którego nie znosił.

– Chyba się mylicie. Przyszedłem tylko, żeby sprawdzić...

– Tak, król musiał przyjść. On jest jedynym zastępcą, wszyscy to wiedzą.

Księżę cofnął się. Ci ludzie chcieli zmienić go z tego, który żąda, na tego, od którego żądają. Ciężki, duszący odór przytłaczał go. Na zewnątrz został blask słońca i przyjaciele...

Ludzie otaczający księcia – teraz ich zobaczył – byli niscy i ciemni, o nieruchomych, obojętnych twarzach.

Stara kobieta, która przemawiała w ich imieniu, położyła szponiastą dłoń na ramieniu młodzieńca.

– Strzeżemy Wyróczni – powiedziała. – Wiemy, kiedy przemówi głos, ponieważ przedtem rodzi się dziecko, które wygląda jak nie z naszej rasy. Wszystkie nasze kobiety podczas ciąży noszą przy sobie opaski, zawiązane na ramieniu. Kiedy białe dziecko przychodzi na świat, matka i akuszerka zawiązują mu oczy. Dziecko nie wolno dotykać gołymi rękami, nie wolno mu zobaczyć żadnej twarzy. Przygotowujemy je starannie. Kiedy podrośnie, przenosimy do ukrytego miejsca. Nigdy nie widuje tych, którzy dostarczają mu jedzenia. Zobaczyć je lub dotknąć to śmierć. Potem przychodzi czas...

Suchy głos załamał się. Kobieta zakryła twarz rękami i zapłakała.

– Przyszedł jej czas, przyszedł jej czas, ale ona nie była gotowa. Jaki błąd popełniliśmy? Ponieważ jej umysł został zniszczony, a bóg wpadł w gniew. Bóg musi przemówić, ale nie może, bowiem naczynie nie jest puste... Och, Ari-gan, Ari-gan, dlaczego nas zdradziłaś?

Wtedy księżę zrozumiał. Pokazali mu Ari-gan w lochu. Brudna, zagłodzona istota patrzyła na niego bezmyślnym wzrokiem, a jej płacz brzmiał przerażająco.

– Ona nie umiera – szepnęła stara kapłanka. – Nie je i nie pije, ale nie umiera. I ciągle tak płacze. Bez łez.

Księża zapiekły oczy. Z trudem panował nad głosem.

– Co mam zrobić? Ale już wiedział.

Namalowali odpowiednie symbole nad jego zawiązanymi oczami, nałożyli mu szaty, posadzili go na stołku i rozpalili przed nim ogień. Wzniósł się gorzki dym. Księżę odkrył, że każdy koszmar, każdy sekretny strach w jego życiu był tylko cieniem tej chwili. Coś otwarło go i weszło w niego. Gdyby Ari-gan pozostała nietknięta, mogła przywitać to Coś jak upragnionego gościa. Księżę tak nie potrafił. Poddanie się, utrata własnej osobowości omal go nie zabiły. Myślał, że oszaleje, a bóg nadal pozostanie niemy. Lecz Ari-gan rozpoznała w księciu kogoś takiego samego jak ona; i w pewnym sensie miała rację. Przez wiele lat jego serce było zupełnie puste. Znalazło się w nim miejsce nawet teraz.

Twarz księcia zmieniła się w gładką maskę. Wargi poruszyły się sztywno. Głos, który nie był głosem księcia, popłynął i wypełnił izbę. A na zewnątrz, w wiosce, zaczął padać deszcz.

Co powiedział bóg? Nie wiadomo. Oddział księcia nawet nie próbował się dowiedzieć. Zanieśli Ari-gan, obmytą i opatrzoną, na noszach do samochodu. Przez cały czas padał czysty, słodki deszcz. Padał podczas drogi powrotnej, dopóki nie zmył soli. Wówczas ustał.

Później słyszano, jak stary król donośnie oskarżał swoją żonę o jakąś dawną zbrodnię.

– Powinnaś była mi powiedzieć – narzekał. – Co ja wiem o niemowlętach? Zawsze mówiłem, że te kłatwy są zdradliwe. Ale ty powinnaś była wiedzieć... że jedyna miłość, jaką zna dziewięciodniowe niemowlę, to miłość do siebie... do siebie...

Teraz jednak księżę siedział przy noszach Ari-gan w tyle podskakującego dżipa, trzymając ją za rękę. Była za słaba, żeby rozmawiać, ale jej oczy mówiły, już nie puste ani pełne szaleństwa. Księżę miał uczucie, że zostawił jakiś drobniaczek w chacie Wyróczni, ale z pewnością nic cennego.

Przełożyła Danuta Górską



Jolanta Kudela

Charles de Lint

NIEZGRABA

(The Graceless Child)

*Jestem już dużą dziewczynką,
wdzięczną i lekką,
Bez ciężaru,
z tym
dzielnie sobie poradziłam.*

Ally Sheedy, z „Ludzkiego Świata”

Tę noc, kiedy dzięki psy zeszły ze wzgórz, Tetchie spotkała człowieka z tatuażem. Czekala przyczajona pomiędzy korzeniami wielkiego, starego dębu, jak co wieczór, godzinę lub dwie, usadowiwszy się na poszyciu z mchów, z węzełkiem pod głową, dla ciepła zawinięta szczelnie w swój poplamiony płaszcz. Liście starego drzewa jeszcze nie opadły, lecz tego wieczora czuło się już w powietrzu nadchodzącą zimę.

Zobaczyła białą chmurę unoszącą się wokół człowieka z tatuażem. W świetle księżyca jego oddech był biały jak dym z fajki. Stał tuż poza obrębem powykręcanych konarów, w cieniu samotnego, stojącego kamienia, który dzielił szczyt wzgórza z sękatym dębem Tetchie. Wysoki i bledy, wyglądał groźnie, jego długie, związane z tyłu włosy koloru kości, odsłaniały wysokie czoło. Powyżej skórzanych spodni był nagi. Na rozbielonej piersi jak piktograficzne insekty wily się zawijasy tatuażu. Tetchie nie potrafiła ich odczytać, lecz w ciemnoniebieskich znakach rozpoznała runy.

Była ciekawa, czy przyszedł w to miejsce, by porozmawiać z jej ojcem.

Leżała cicho w swoim gniazdku z mchu i szmat u stóp starego drzewa. Wiedziała, że nie należy zwracać na siebie uwagi. Na jej widok ludzie zawsze reagowali tak samo. W najlepszym wypadku sztydził z niej, w najgorszym bili. Nauczyła się więc ukrywać. Przylgnęła do no-

cy, zwróciła ku ciemnościom, z dala od słońca, które i tak drażniło jej skórę i wyciskało z oczu łzy. Kradło jej siły sprawiając, że pęzała jak żółw.

Noc była dla Tetchie łaskawa i opiekuńcza jak niegdyś matka. Słuchając ich obu, dawno już po mistrzowsku opanowała sztukę pozostawania niewidoczną, lecz umiejętność ta najwyraźniej zawiodła ją tej nocy.

Człowiek z tatuażem obracał się powoli, aż wreszcie jego wzrok spoczął na jej kryjówce.

– Wiem, że tam jesteś – powiedział. Jego głęboki i dźwięczny głos zabrzmiał jak turkot kamieni we wnętrzu wzgórza. Tetchie zawsze wyobrażała sobie, że tak właśnie zabrzmiał głos ojca, kiedy wreszcie do niej przemówi. – Wyjdź, żebym mógł cię zobaczyć, trofie.

Drżąc, Tetchie usłuchała. Odsunawszy cienką zasłonę płaszcza, na swych krótkich i grubych nogach wysunęła się na światło księżyca. Człowiek z tatuażem górował nad nią jak wieża, ale przecież zawsze tak było. Stała przed nim, mierząc zaledwie trzy i pół stopy, boso, na zrogowaciałych podeszwach. Jej skóra miała szarawy odcień, rysy zaś były grube, jakby ciosane z kamienia. Bezkształtna tunika, która służyła jej za sukienkę, wisiała na krępym ciele jak worek.

– Nie jestem trofem – powiedziała, starając się, by głos zabrzmiał jak najdzielniej.

Trofy były wysokimi, przypominającymi trolle stwo-

rzeniami, zupełnie do niej niepodobnymi. Tetchie brakowało ich wzrostu.

Człowiek z tatuażem przyglądał jej się tak długo, aż zaczęła się wić pod jego badawczym spojrzeniem. Z oddali, gdzieś spoza drugiego wzgórza i ponad miasteczkiem rozległo się żałosne wycie, któremu po chwili odpowiedziało inne płaczliwe zawodzenie.

– Jesteś dopiero dzieckiem – powiedział w końcu człowiek z tatuażem.

Tetchie potrzęsła głową.

– Mam prawie szesnaście zim.

Większość dziewcząt w tym wieku urodziła już jedno lub dwoje dzieci, które płały im się pod nogami przeskakując w domowej krzątaninie.

– Miałem na myśli rozwój trofa – powiedział człowiek z tatuażem.

– Ale ja nie jestem...

– Trofem. Wiem. Słyszałem. Ale masz przecież w sobie krew trofa. Kim byli twój ojciec, twoja matka?

A cóż to ci może obchodzić? – chciała zapytać Tetchie, lecz coś w postawie wytatuowanego człowieka spowodowało, że słowa uwięzły jej w gardle. Zamiast mówić wskazała na wysoki kamień wyrastający z czarnej ziemi wzgórza tuż za nim.

– Słońce go zabrało – powiedziała.

– A matka??

– Umarła.

– Przy porodzie?

Tetchie potrzęsła przecząco głową.

– Nie, żyła dość długo...

By zaoszczędzić jej najgorszego, kiedy była dzieckiem, Hannah Lief chroniła swą córkę przed ludźmi z miasteczka i żyła wystarczająco długo, by pewnej zimowej nocy, gdy lodowaty wichur hulał po mieście i łoskotał pomiędzy obłuzowanymi deskami starej szopy za Gospodą Cottts, w której razem mieszkali, powiedzieć: „Cokolwiek będą ci mówili, Tetchie. Żebyś nie wiem, jakie kłamstwa słyszała, pamiętaj zawsze o jednym: posłałem do niego z własnej woli”.

Tetchie potarła oczy grubymi piastkami.

– Miałam dwanaście lat, kiedy umarła – powiedziała.

– I od tamtej pory – człowiek z tatuażem leniwie wskazał ręką na drzewo, kamień i wzgórze – żyjesz tutaj?

Tetchie przytaknęła z wahaniem, zastanawiając się, do czego człowiek z tatuażem zmierza, prowadząc tę rozmowę.

– Czym się żywisz?

Tym, co zdołała zebrać na wzgórzach i w lasach poniżej, co udało jej się ukraść na farmach otaczających miasteczko, co znalazła na śmietniku za placem targowym w te nieliczne noce, kiedy odważyła się zakraść do miasteczka. Nie powiedziała tego na głos, tylko wzruszyła ramionami.

– Rozumiem – powiedział człowiek z tatuażem.

Ciągle słyszała zawodzenie dzikich psów. Teraz już znacznie bliżej.

Wcześniej tego wieczora kwaśny grymas wykrzywił twarz mężczyzny o imieniu Gaedrian, kiedy spostrzegł trzech mężczyzn zbliżających się do jego stolika w Gospodzie Cottts. Zanim dotarli do niego poprzez wielką salę, zdołał ułożyć swe rysy w nieprzeniknioną maskę. Uznał, że są kupcami. Po części miał rację. Byli również, o czym dowiedział się, gdy się przedstawili, pierwszymi obywatelami miasteczka Burndale.

Przyglądał im się spod oka, gdy zajmowali miejsca na krzesłach z trudem mieszczących ich szacowne obfitości. Najgrubszy był burmistrz Burndale, nieco mniej korpulentny przewodniczący miejscowego rzemiosła, naj-

mniej zaś był szeryf, który choć sporo niższy, miał wagę Gaedriana i jeszcze jej połowę. Jedwabne kamizelki, idealnie dobrane do falbaniastych koszul i spodni z zakładkami, opinały opasłe brzuchy. Ich buty, ze skóry zdobionej skomplikowanymi wzorami, lśniły wyczeszone na wysoki połysk. Tłuste podbródki wylewały się znad kołnierzy, zaś w lewym uchu szeryfa połyskiwał brylantowy ćwiek.

– Coś mieszka na wzgórzach – powiedział burmistrz.

Gaedrianowi nazwisko burmistrza wyleciało z głowy, zanim tamten do końca je wymówił. Zafascynowały go małe, wąsko osadzone oczka mężczyzny. Swinie miały podobne oczy, ale to porównanie, skarcił się, było krzywdzące dla świń.

– Coś groźnego – dodał burmistrz.

Pozostali dwaj przytaknęli, a szeryf dodał:

– Jakiś potwór.

Gaedrian westchnął. Zawsze coś mieszkalo na wzgórzach; zawsze potwory. Lepiej od innych wiedział, jak je rozpoznać, ale rzadko je widywał.

– I chcecie, żebym was od tego czegoś uwolnił? – powiedział zapytaniem w głosie.

Rada miejska spojrzała na niego z nadzieją. W milczeniu Gaedrian długi czas mierzył ich wzrokiem.

Znał ten typ aż za dobrze. Lubili udawać, że świat postępuje według ustalonych przez nich zasad, a nieznanne, które czai się poza obrębem ich miast i domostw, można ujarzmić i uporządkować jak towary na półce w sklepie lub książki w bibliotece. Wiedzieli jednak również, że dzikość wdiera się w ten uporządkowany świat, a skradające się łapy i stukanie pazurów niosą echem po bruku. Nieznane wpełza na ulice i do snów. I, jeśli nie zapobiegnie się temu na czas, może zagnieździć się w duszy.

Dlatego zwracali się do ludzi takich jak on, który poruszał się na pograniczu świata znanego, tego, który tak bardzo chcieli zachować, i prawdziwego, który leżał poza obrębem budynków, a kiedy księżyc schował się za chmury i latarnie słabły, rzucał na ulice długie cienie strachu.

Zawsze go rozpoznawali, niezależnie od tego, jaką właśnie przybrał postać. Ci trzej ukradkiem przyglądali się jego dłoniom i skórze widocznej w rozpięciu kołnierzyka koszuli pod szyją. Szukali potwierdzenia tego, o czym byli święcie przekonani.

– Macie złoto, prawda? – zapytał.

Sakiewka w mgnieniu oka, jak za sprawą czarów, wyskoczyła z kamizelki burmistrza. Brzdęknięta zadowalając o blat stołu. Gaedrian uniósł rękę, lecz po to tylko, by chwycić dzban piwa. Pociągnął tęgi łyk, po czym postawił pusty dzban obok sakiewki.

– Rozważę waszą uprzejmą prośbę – powiedział.

Wstał z krzesła i odszedł pozostawiając sakiewkę niekniętą na stole. Przy drzwiach, wskazując palcem w kierunku trzech notabli siedzących przy stole, odprowadzających go wzrokiem powiedział do karczmarza:

– Tę kolejkę postawił nasz dobry burmistrz.

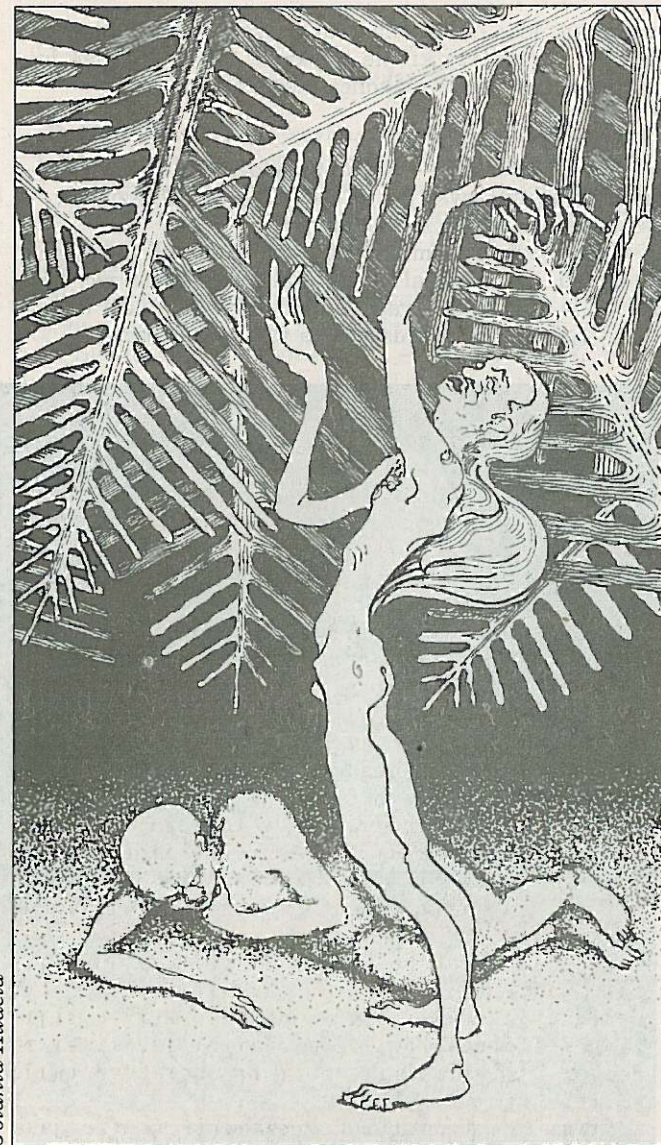
To powiedziawszy, wyszedł w noc.

Zatrzymał się na ulicy i nasłuchiwał przez chwilę przekrzywając głowę. Z daleka, od wschodniej strony, dalej niż spoza jednego wzgórza, niosło się zawodzenie dzikich psów. Daleki, przenikliwy zew.

CHARLES DE LINT

Jeden z najzdolniejszych twórców młodego pokolenia amerykańskich pisarzy. Uprawia głównie fantasy. Znakomicie operuje nastrojem. Bardzo szybko zdobył uznanie zarówno wśród miłośników gatunku, jak i krytyków.

D.M.



Jolanta Kudela

Przytaknął sam sobie i rozciągnął usta w coś w rodzaju uśmiechu, chociaż nie było w tym grymasie humoru. Mieszkańcy miasteczka, których mijał, widząc, że zmierzają poza zabudowania, na wzgórze, które wznosiły się i opadały jak fale wrzosego oceanu ciągnącego się aż trzy dni drogi na zachód, rzucali mu zaniepokojone spojrzenia.

– Co... co chcesz mi zrobić? – zapytała w końcu Tetchie, gdy milczenie wytatuowanego człowieka trwało już dla niej zbyt długo.

Blade spojrzenie zdawało się z niej sztydzić, ale odezwał się z szacunkiem.

– Zamierzam zbawić twą nikczemną duszę.

Tetchie zamrugnęła zdezorientowana.

– Ale ja... ja nie...

– Nie chcesz, by ją ratować?

– Właśnie – powiedziała Tetchie.

– Słyszysz je? – zapytał wytatuowany człowiek, wprawiając ją w jeszcze większe zmieszanie. – Psy – dodał.

Przytaknęła niepewnie.

– Powiedz tylko jedno słowo, a udzielię im mocy, by wyważyły drzwi i okiennice w miasteczku tam na dole. Ich zęby i pazury dokonają zemsty, której łakniesz.

Tetchie przestraszona cofnęła się o krok.

– Ale ja wcale nie pragnę, by komuś stała się krzywda – powiedziała.

– Po tym wszystkim co ci zrobili?

– Mama mówiła, że nie umięją inaczej.

Oczy wytatuowanego człowieka błysnęły zawzięcie.

– Aha, to znaczy, że powinnaś im po prostu... przebaczyć?

Od zbytniego myślenia Tetchie rozboleła głowa.

– Nie wiem – powiedziała, a panika zaczęła wdzierać się w jej myśli.

Gniew w oczach wytatuowanego człowieka zniknął nagle, jak gdyby nigdy go tam nie było.

– Czego więc pragniesz? – zapytał.

Tetchie przyglądała mu się przestraszona. Sposób, w jaki zadał to pytanie, powiedział jej, że on już wie i że tego właśnie oczekuje od początku ich rozmowy.

Jej wahanie przeciągnęło się w długotrwałą ciszę. Słyszała psy, bliższe niż kiedykolwiek. Ich ostre, przejmujące zawodzenie przypominało płacz zranionego dziecka. Wzrok wytatuowanego człowieka przeszywał ją na wskroś zmuszając do odpowiedzi. Jej ręka drżała, kiedy wskazała na stojący kamień.

– Aha – powiedział wytatuowany człowiek.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ale Tetchie nie poczuła się pewniej.

– To będzie kosztowało – powiedział.

– Ja... ja nie mam pieniędzy.

– Czy poprosiłem o pieniądze? Czy wspomniałem choćby jednym słowem o pieniądzach?

– Powiedziałeś, że trzeba zapłacić.

Wytatuowany człowiek przytaknął.

– Zapłacić, tak. Ale monetą cenniejszą niż srebro i złoto.

Cóż mogło być cenniejsze? – zaciekawiła się Tetchie.

– Mówię o krwi – powiedział wytatuowany człowiek, zanim zdążyła zapytać. – Twojej krwi.

Wyciągnął rękę i schwycił ją, by nie uciekła.

Krew, pomyślała Tetchie. Przeklinała tę krew, która sprawiała, że była tak powolna.

– Nie bój się – powiedział wytatuowany człowiek. – Nie chcę zrobić ci krzywdy. Tylko jedno ukłucie igłą – jedna kropla, może trzy, i to nie dla mnie. Dla kamienia. Aby go przywołać.

Rozluźnił palce ściskające dotąd jej ramię, a wtedy Tetchie szybko odsunęła się od niego. Przenosiła spojrzenie z kamienia na człowieka i z powrotem, aż zakreśliło jej się w głowie.

– Krew śmiertelnych jest najcenniejsza ze wszystkich – powiedział wytatuowany człowiek.

Tetchie przytaknęła. Czyż ona o tym nie wiedziała? Bez domieszki krwi trofa byłaby taka jak wszyscy. Nikt nie znęcałby się nad nią dlatego, że jest, kim jest, że wygląda, jak wygląda i reprezentuje, co reprezentuje. Jedno, czego naprawdę pragnęła, to być lubiana.

– Mogę nauczyć cię sztuczek – ciągnął dalej wytatuowany człowiek. – Pokażę ci, jak zmienić się, w co tylko zechcesz.

Kiedy to mówił, rysy jego twarzy zmieniały się. Po chwili zdawało się, że to głowa dzikiego psa spoczywa na wytatuowanym torsie. Psie futro miało ten sam blade odcień co wcześniej włosy mężczyzny, oczy pozostały ludzkie, lecz bez wątpienia człowiek zniknął, a jego miejsce zajął ten dziwny stwór.

Oczy Tetchie rozszerzyły się z przerażenia. Jej krótkie, grube nogi trzęsły się tak bardzo, że bała się, czy nie upadnie.

– W co tylko zechcesz – powiedział wytatuowany człowiek, kiedy psią głowę zastąpiła jego własna.

Przez dłuższą chwilę Tetchie nie mogła się odezwać. Wpatrywała się w człowieka z tatuażem, a krew płynąca w jej żyłach zdawała się śpiewać radośnie. Być czymkolwiek. Być zwyczajną... Lecz nagle wypełniająca ją ra-

dość odpływała. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Dlaczego – zapytała. – Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Pomaganie innym sprawia mi przyjemność – odpowiedział.

Uśmiechnął się. Oczy mu się roześmiały. Otaczała go aura tak radosna, że Tetchie prawie zapomniała, co przed chwilą powiedział o dzikich psach, o wysłaniu ich do Burndale, aby zapolowały na jej dręczycieli. Przypomniała to sobie jednak, a wspomnienie odebrało jej pewność siebie.

Wytatuowany człowiek wydawał się zbyt zręcznym kameleonem, by mu zaufać. Potrafił nauczyć, jak przemienić się w coś, na co tylko miała ochotę. Czyż nie dlatego sam mógł ukazać się takim, jakim ona chciała go widzieć?

– Wahasz się – powiedział. – Dlaczego?

Tetchie wzruszyła ramionami.

– Masz okazję naprawić zło wyrządzone ci przy narodzinach.

Uwaga Tetchie skupiła się na wyciu dzikich psów. Naprawić zło...

Ich zęby i pazury dokonają zemsty, której łakniesz.

Lecz nie musiało tak być. Nie życzyła nikomu zła. Jedno, czego chciała, to pasować do otoczenia. Jeśli więc wybór należał do niej, mogła zdecydować, by nie krzywdzić nikogo, prawda? Wytatuowany człowiek nie zmusi jej, by zdecydowała inaczej.

– Co... co mam zrobić? – zapytała.

Mężczyzna wyciągnął długą, srebrną szpilkę, która tkwiła wbita w jego spodniach.

– Daj mi kciuk – powiedział..

Pozostawiwszy Burndale za sobą, Gaedrian pochwycił zapach trofa. Początkowo niezbyt wyraźny, był raczej obietnicą niż dowodem, lecz im dalej od miasta, tym stawał się wyraźniejszy. Gaedrian zatrzymał się łapiąc wiatr w nozdrza, lecz trudno mu było określić, skąd zapach dochodził. Na koniec zdjął koszulę pozwalając jej opaść na ziemię.

Dotknął jednego z rysunków tatuażu na piersi, a kiedy odjął rękę, w dłoni migotało mu bladoniebieskie światełko. Pozwolił ulecieć mu w powietrze, gdzie obracało się przez chwilę szukając źródła zapachu. Zatrzymało się wskazując kierunek, a wtedy Gaedrian strzelił palcami i światełko znikło.

Upewniwszy się w ten sposób, ruszył znów w drogę. Mieszkańcy miasteczka tym razem mieli rację. Tej nocy na wzgórzach wokół Burndale naprawdę buszował jakiś potwór.

Przestraszona Tetchie zrobiła krok do przodu. Kiedy podeszła bliżej, niebieskie znaki na piersi wytatuowanego człowieka poruszyły się i przesunęły układając w nowy wzór, który tak jak i poprzedni był dla niej nieczytelny. Przełknęła głośno i podniosła rękę mając nadzieję, że nie będzie bolało. Kiedy zbliżył igtę do jej kciuka, zamknęła oczy.

– Już – powiedział wytatuowany człowiek po krótkiej chwili. – Zrobione.

Tetchie zamrugnęła zdziwiona. Nic nie poczuła. Teraz jednak, gdy wytatuowany człowiek puścił jej rękę, kciuk zaczął boleć. Spojrzała na trzy kropki leżące na dłoni mężczyzny jak maleńkie, szkarłatne klejnoty. Kolana ugięły się pod nią i osunęła się na ziemię. Było jej gorąco. Zalewały ją fale ciepła, jakby była wystawiona na działanie promieni słonecznych w samo południe, ono zaś piekło odbierając jej możliwość poruszania się.

Bardzo powoli uniosła głowę. Chciała zobaczyć, co się stanie, gdy wytatuowany człowiek przekaże jej krew ka-

mieniowi, lecz on, zamiast to uczynić, uśmiechnął się tylko i... zlizął trzy kropki językiem, tak długim jak język węży i tak samo na końcu rozwidlonym.

– Ty...nie...

Tetchie próbowała mówić:

– Co mi zrobiłeś? – chciała zapytać, lecz słowa poplątały się, zanim wyszły z jej ust. Z coraz większym trudem udawało jej się zebrać myśli.

– Kiedy twoja mamusia udzielała ci swych drogocennych rad – powiedział – powinna była cię ostrzec, byś nie ufała obcym. Co prawda, dla większości ludzi istoty twojego rodzaju nie przedstawiają żadnej wartości...



Tetchie wydawało się, że oczy znowu płatają jej figla. Potem zrozumiała, że wytatuowany człowiek zmienia postać kolejny raz. Kiedy tak mu się przyglądała, włosy zaczęły mu ciemnieć, a rysy twarzy pogłębiły się. Nie był już blady i słaby, wydawał się tryskać nową, magiczną siłą.

– Lecz nie wiedzą – ciągnął wytatuowany człowiek – tego, co ja. Dziękuję ci za twą siłę, kaczatko. Nic bardziej nie przydaje mocy wywarowi w kotle czarownicy niż kropła krwi śmiertelnika. Szkoda tylko, że nie będziesz żyła dość długo, by wiedzę tę wykorzystać.

Zasalutował żartobliwym gestem i już go nie było. Pochnęła go noc.

Tetchie walczyła sama ze sobą próbując się podnieść, lecz tak ją to wyczerpało, że w końcu nie była w stanie nawet unieść głowy z ziemi. Łzy zawodu zakreśliły się jej w oczach. Co on jej zrobił? Ale przecież sama widziała: zabrał nie więcej niż trzy kropki krwi. Dlaczego więc czuła się tak, jakby straciła całą?

Spojrzała w nocne niebo. Gwiazdy mieniły się jej w

oczach, wirowały, wirowały, aż w końcu pozwoliła porwać się w ten szalony wir i odpływała.

Nie była zupełnie pewna, co przywróciło jej świadomość, lecz gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że wytatuowany człowiek powrócił. Pochylił się nad nią pełen troski. Włosy miał znowu koloru kości. Znalazła w sobie tyle siły, ile trzeba, by zebrać trochę śliny, i plunęła mu w twarz.

Wytatuowany człowiek nie drgnął. Patrzyła, jak ślina spływa po jego policzku, aż upadła na ziemię obok niej.

– Biedne dziecko – powiedział. – Co on ci zrobił?



Jolanta Kudela

Głos się nie zgadza, pomyślała. Teraz zmienił sobie głos. Głuchy turkot kamieni w głębi wzgórza przybrał melodyjny, czysty i krzepiący ton.

Palcami jednej ręki dotknął tatuażu na ramieniu i wtedy na końcach jego palców zalsniło niebieskie światełko. Uchyliła głowę, kiedy zbliżył rękę, by dotknąć jej czoła, lecz kontakt niebieskich palców z jej skórą przyniósł natychmiast ulgę i ukojenie. Kiedy cofnął się i przysiadł na piętach, ona stwierdziła, że ma teraz dość siły, by się podnieść. Świat zawirował, lecz po chwili uspokoił się. Nadzieja pomogła jej opanować poczucie beznadziejności, które nią wcześniej zawiadnęło.

– Szkoda, że nie mogę zrobić dla ciebie nic więcej – powiedział wytatuowany człowiek.

Tetchie zaledwie rzuciła nań okiem myśląc, że zrobił już aż nazbyt wiele.

Wytatuowany człowiek spojrzał na nią łagodnie, lekko przekrzywiając głowę, jakby nasłuchiwał jej myśli.

– Nazywa siebie Nallornem z Tej Strony Wrót – powiedział wreszcie – lecz napotkawszy go po Tamtej

Stronie, skąd pochodzi, należałoby go nazwać Zmorą. Żywi się bólem i cierpieniem. Jesteśmy wrogami od niepamiętnych czasów.

Tetchie zamrugnęła zmieszana.

– Ale...ty...

Wytatuowany człowiek przytaknął.

– Wiem, wyglądamy tak samo. Jesteśmy, dziecinko, braćmi. Ja jestem starszy. Na imię mi Sen; z Tej Strony Wrót; Nazywają mnie Gaedrian.

– On... twój brat... zabrał mi coś.

– Skradł twój ziemski dar marzeń sennych – powiedział Gaedrian. – Oszukał cię, by dostać go za darmo, gdyż tylko wtedy zachowuje moc.

Tetchie potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem. Dlaczego przyszedł do mnie? Jestem nikim. Nie mam żadnej mocy ani nie znam czarów, które komuś byłyby potrzebne.

– Nie możesz użyć ich sama, ale krew istoty, która jest półczłowiekiem i półtrofem to potężna mikstura. Każda kropła będzie talizmanem w rękach kogoś, kto zna jej właściwości.

– Czy on jest silniejszy od ciebie? – spytała Tetchie.

– Nie w krainie Poza Wrotami Snów. Tam ja jestem starszy. Królestwa Snów należą do mnie i wszyscy śpiący po przejściu przez Wrota dostają się pod moje władanie. – Przerwał, ciemne oczy patrzyły w zamyśleniu, a po chwili dodał: – Tu, na Ziemi, nasze siły są bardziej wyrównane.

– Senne mary pochodzą od niego? – zapytała Tetchie.

Gaedrian przytaknął.

– Nie jest możliwe, by władca widział równocześnie wszystkie części swego królestwa. Nallorn jest ojcem kłamstwa. Wkrada się w śpiące umysły, gdy moja uwaga skupiona jest gdzie indziej, i życiodajny sen zamienia w horror.

Wstał, wznosząc się nad nią jak wieża.

– Muszę iść – powiedział. – Muszę go powstrzymać, zanim urośnie w siłę.

Tetchie dostrzegła wątpliwości w jego oczach. Zrozumiała, że choć wiedział o mocy Nallorna, nie przyzna się do tego ani nie cofnie przed tym, co uważa za swój obowiązek. Spróbowała podnieść się, lecz siły jeszcze jej nie powróciły.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła. – Pozwól sobie pomóc.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Ale chcę pomóc.

Gaedrian uśmiechnął się.

– Dzielnie powiedziane, lecz w tej wojnie nie ma miejsca dla dziecka.

Tetchie szukała argumentu, który by go przekonał, ale nie potrafiła takiego znaleźć. Nie odezwał się słowem, ale dla Tetchie było zupełnie jasne, czemu nie chciał wziąć jej ze sobą. Opóźniałaby tylko jego marsz. Nie miała nic prócz oczu widzących nocą i ułomnych członków. Ani jedno, ani drugie nie mogły się na nic przydać.

W ciszy, która na chwilę zapadła, gdy Tetchie pojęła tę smutną prawdę, znowu usłyszała wycie.

– Psy – powiedziała.

– Nie ma dzikich psów – powiedział jej Gaedrian. – To tylko odgłos wiatru, kiedy przelatuje puste przestrzenie jego duszy.

Położył rękę na jej głowie, potargał włosy.

– Przykro mi, że doznałaś tylu przykrości dzisiejszej nocy. Jeśli los będzie dla mnie łaskawy, spróbuję naprawić krzywdy.

Zanim Tetchie zdążyła odpowiedzieć, odszedł na zachód. Próbowała ruszyć jego śladem, lecz udało jej się jedynie kawałek przeccołać. W chwili gdy dotarła na

szczyt wzgórza, gdzie stojący kamień wznosił się nad nią, zobaczyła jak długie nogi Gaedriana niosą go właśnie w górę następnego zbocza. W oddali, nisko nad ziemią, migotało niebieskie światło.

– Nallorn – pomyślała.

Czekał na Gaedriana. Nallorn chciał zabić władce snów, by samemu rządzić w krainie Poza Wrotami. Nigdy już nie będzie snów tylko koszmary. Ludzie zaczęli obawiać się nas, ponieważ noc przestanie być bezpieczną przystanią. Nallorn zamieni uzdrawiający spokój w smutek i rozpacz.

A wszystko to przez nią. Myślała tylko o sobie. Zachciało jej się porozmawiać z ojcem. Wtedy nie wiedziała, kim był Nallorn, ale wiedza nie oznaczała usprawiedliwienia.

„Nieważne, co inni o tobie myślą” – powiedziała jej kiedyś matka – „lecz co ty sama o sobie myślisz. Bądź dobra, a wtedy wszystko, co powiedzą o tobie ludzie, cokolwiek by mówili, będzie tylko kłamstwem”.

Nazywano ją potworem i obawiano się jej. Zrozumiała teraz, że nie bez powodu.

Zwróciła się ku kamieniowi, który niegdyś, zanim słońce go nie zabrało, był jej ojcem. Dlaczego to samo nie mogło przydarzyć się jej, zanim to wszystko się zaczęło? Wtedy Nallorn nie miałby okazji zagrania na jej próżności i pragnieniu, nie oszukałby jej. Gdyby była kamieniem...

Przymknęła oczy. Przeciągnęła ręką po chropawej powierzchni stojącego kamienia, a głos Nallorna przemówił w jej pamięci.

Mówię o krwi.

Tylko ukłucie igłą – jedna kropla, może trzy, no i nie dla mnie. Dla kamienia. By go przywołać.

Przywołać.

Nallorn dowiedział, że jej krew ma magiczną moc. Jeżeli nie kłamał, jeśli... Czy ona sama mogłaby przywołać ojca? A jeśliby powrócił, czy jej wysłucha? Była noc, pora kiedy trofy są najsilniejsze. Na pewno gdy wszystko wytłumaczy, ojciec użyje swej siły, by pomóc Gaedrianowi.

Ludzką paplanie zaczęła jazgotać w jej głowie.

Trofy piją ludzką krew.

Widziałem jednego. Naprawdę. Siedział na cmentarzu i ogryzał kość, którą wykopał.

Te stwory nie mają serca.

Ani duszy...

Jeśli nie mogą znaleźć innego mięsa, pożerają siebie nawzajem.

Nie, powiedziała Tetchie sama do siebie. To właśnie były te kłamstwa, przed którymi ostrzegała ją matka. Jeżeli jej matka kochała trofę, to nie mógł być zły.

Kciuk ciągle ją bolał, choć miejsce, które Nallorn nakłuł swoją srebrną szpilą, już się zamknęło. Tetchie nagryzła je, aż poczuła słonawy smak krwi. Wtedy nacisnęła kciuk, a krwią, która się ukazała, pomazała nierówną powierzchnię kamienia.

Nie spodziewała się niczego. Miała tylko nadzieję. Od razu poczuła się słabo. Tak jak wtedy, gdy Nallorn zabrał jej tamte trzy krople. Po raz drugi tej nocy świat zaczął wirować, a ona osunęła się. Tyle że tym razem upadła na kamień. Zdawało jej się, że skała przybrała konsystencję błota, a ono pochłonęło ją całą.

Kiedy w końcu powróciła jej świadomość, stwierdziła, że leży na ziemi, twarzą w stwardniałym błocie. Uniosła głowę wypatrując w słabym świetle swojego kamienia. Zniknął wraz ze znanym jej światem. Jak okiem sięgnąć widać było tylko opustoszałe nieużytki oświetlone mdłym brzaskiem, którego źródła nie mogła umiejscowić. Krajobraz był jednak znajomy – wzgórza i doliny miały taki sam zarys jak te leżące na zachód od

Burndale. Lecz wszystko wyglądało inaczej. Zdawało się, że roślinność zupełnie zanikła. Prócz niej nie było tu żywego ducha, choć i w stosunku do siebie miała wątpliwości.

Jeśli to była wymarła kraina, pozbawione życia odbicie świata, który znała, to może trzeba było umrzeć, by się do niej dostać.

Dziwne, lecz myśl ta wcale jej nie zmartwiła. Tej nocy napatrzyła się już tylu dziwów, że nic więcej nie mogło jej zaskoczyć. Kiedy zwróciła się w stronę, gdzie w jej świecie rósł wiekowy dąb, zobaczyła tylko martwy kikut. Nie większy niż jej wzrost trzykrotnie wzięty. Teren wokoło zaśmiecały porozrzucone martwe gałęzie, a wielki pień drzewa leżał powalony na boku.

Podniosła się ostrożnie, lecz zawroty głowy i słabość, które odczuwała wcześniej, ustąpiły. W skamieniałym błocie u jej stóp, w miejscu gdzie powinien stać kamień, widniał głęboko wryty w ziemię, czarny piktogram. Przypominał tatuaż, który widziała na piersi Władcy Snów i jego brata, jakby żywcem zdjęty z jednego z nich, powiększony i rzucony na ziemię. Ciarki przeszły jej po plecach.

Przypominała sobie, co Gaedrian powiedział o krainie, którą władał. O tym, że mężczyźni i kobiety z jej świata mogli dostać się tam wyłącznie przez Wrota Snu. Była tak słaba, kiedy ofiarowała kamieniowi swą krew; powieki same jej opadały...

Jeśli to był tylko sen? A jeśli tak, to kto go przysłał? Czy pochodził od Gaedriana, czy też od Nallorna, ojca koszmara?

Przykłęknęła na jedno kolano, by przyjrzeć się piktogramowi. Troszkę przypominał mężczyznę ze spletanymi liną stopami, a kreski wokół głowy wyglądały jak zjeżone włosy. Wyciągnęła rękę i jednym palcem, ostrożnie, dotknęła płataniny linii u stóp niewyraźnej postaci. Ziemia w tym miejscu była wilgotna. Potarła palcem o kciuk. Wilgoć była oleista.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ponownie wyciągnęła rękę w dół, przeciągnęła palcem po konturze postaci, a oleista wilgoć gładko prowadziła jej palec wzdłuż ostrych rowków w ziemi. Kiedy doszła do końca, piktogram zalaśnił. Podniosła się szybko i cofnęła przestraszona.

Co też zrobiła najlepszego?

Błękitne lśnienie uniosło się w powietrze zachowując kształt rysunku. Ledwo słyszalne, rytmiczne tętnienie zaczęło dochodzić ze wszystkich stron, lecz pod stopami nie czuła wibracji. Słysząc było tylko dźwięk, niski i złowieszczy.

Gdzieś za nią trzasnęła gałązka. Zwróciła się w stronę martwego drzewa. Na tle nieba rysowała się wysoka postać. Tetchie chciała zawołać, lecz żaden dźwięk nie wyszedł z jej ust. Nagle uzmysłowiła sobie, że ze wszystkich stron wzgórza wpatrują się w nią czyjeś oczy. Wyblakłe, lecz połyskujące refleksami lśniącego piktogramu unoszącego się wciąż w miejscu, gdzie w jej świecie znajdował się stojący kamień. Spoglądały na nią przyczajone ponad ziemią.

Przypominała sobie wycie psów, które słyszała w swoim świecie.

„Nie ma dzikich psów” – powiedział jej Gaedrian – „to tylko szum wiatru kiedy przelatuje puste przestrzenie jego duszy”.

Kiedy oczy zaczęły się zbliżać, dostrzegła trójkątne głowy i wypreżone grzbiety skradających się stworów.

Dlaczego uwierzyła Gaedrianowi? Nie znała go wcale lepiej niż Nallorna, a kto powiedział, że któremukolwiek można było zaufać?

Jeden z psów uniósł się i kroczył teraz do przodu na sztywnych nogach. Z jego gardzieli wydobywał się dźwięk taki sam jak ten, który ona, w swej głupocie, wywołała dotykając piktogramu. Zaczęła cofać się przed



Jolanta Kudela

psem, lecz po nim drugi i trzeci wysunęły się do przodu nie pozostawiając jej miejsca do odwrotu. Zwróciła spojrzenie ku milczącej postaci stojącej ciągle wśród opadłych liści starego dębu.

– Pp... proszę – udało jej się powiedzieć. – Nie chciałam nikogo skrzywdzić.

Postać nie odpowiedziała, za to psy na dźwięk jej głosu zaczęły warczeć. Najbliższy złowrogo obnażył kły.

Więc to tak, pomyślała Tetchie. Jeśli nie jestem jeszcze nieboszczką w tym kraju umarłych, to wkrótce będę.

Lecz wtedy postać stojąca koło drzewa ruszyła naprzód wolnym, posuwistym krokiem, łamiąc gałęzie pod stopami. Odległość pomiędzy nimi zaczęła się zmniejszać.

Psy cofnęły się niespokojnie skomląc.

– Precz – powiedziała postać.

Głos miał brzmienie niskie, kamienne. Przypominał głos pierwszego człowieka z tatuażem, Nallorna, tego, który sny zamieniał w koszmary. Stanowił kontrpunkt dla tętnienia dochodzącego z wnętrza wzgórza.

Na dźwięk głosu psy pierzchnęły.

Tetchie zaczęła drżeć jak osika, a on ciągle się zbliżał. Widziała grubo ciosane rysy jego twarzy, gęszczące się zmierzwiłymi włosami, sztywnymi jak suche gałązki jałowca, szerokie ramiona i tors, postronki mięśni jego ramion i nóg. Głęboko osadzone oczy patrzyły spod wystających brwi. Był jak pierwszy zarys postaci, powstającej pod

rękami rzeźbiarza. Twarz i muskulatura ledwie zarysowane, a rysy nieokreślone dopóki praca nie zostanie ukończona.

Tyle tylko, że ta rzeźba nie była ani z kamienia, ani z gliny, ani z marmuru, lecz z krwi i kości. I chociaż nie był wyższy od przeciętnego mężczyzny, Tetchie wydał się gigantem. Zdawało jej się, że to góra, która zamiast tkwić na swoim miejscu, ruszyła, by pospacerować po wzgórzach.

– Dlaczego mnie zawołałaś? – zapytał.

– Zawołałam? – powtórzyła Tetchie. – Ależ ja... Ja nie...

Głos jej zamilkł. Wpatrywała się w niego w nagłym przypływie nadziei i zrozumienia.

– Ojcie? – spytała cicho.

Olbrzym długo spoglądał na nią w milczeniu. Potem powoli przykłęknął na jedno kolano tak, by jego głowa znalazła się na równi z jej głową.

– Ty – powiedział zaciekawiony – jesteś córką Hannah?

Tetchie bojaźliwie przytaknęła.

– Moją córką?

Strach Tetchie pierzchnął. Zobaczyła przed sobą nie przerażającego trofa z baśni i legend, lecz kochanka swej matki. Łagodność i ciepło, które niegdyś wywoływały jej matkę z Burndale na wrzosowiska, gdzie na nią czekał, spłynęły teraz na Tetchie. Otworzył ramiona, ona zaś podeszła do niego i westchnęła głęboko, gdy ją nimi otoczył.

– Na imię mi Tetchie – szepnęła w jego ramie.

– Tetchie – powtórzył, zamieniając je w niską, turkoczącą melodię. – Nie wiedziałem, że mam córkę.

– Przychodziłam co noc do twego kamienia – powiedziała. – Miałam nadzieję, że powrócisz.

Ojciec cofnął się trochę i spojrzał na nią poważnie.

– Nie mogę już wrócić – powiedział.

– Ale...

Potrząsnął głową.

– Śmierć to śmierć, Tetchie. Nie mogę wrócić.

– Ale musisz żyć w takim okropnym miejscu.

Uśmiechnął się, a skaliste rysy przesunęły się, jakby zbocze górskie zmieniało położenie.

– Nie mieszkam tutaj... Nie umiem wytłumaczyć, jak tam jest. Nie istnieją słowa, którymi można by to opisać.

– Czy mama tam jest?

– Hannah... umarła?

Tetchie przytaknęła.

– Dawno temu, ale ciągle za nią tęsknię.

– Poszukam jej – powiedział trof. – Przekazę jej słowa twojej miłości. – Podniósł się, przesłaniając znowu wszystko. – Teraz muszę już iść. To jest niepoświęcona ziemia. Niebezpieczna strefa na pograniczu życia i śmierci. Zabawisz tutaj za długo – czyś żywy, czy umarły – a pozostaniesz tu na zawsze.

– Ale...

Tetchie chciała prosić, by zabrał ją ze sobą, kiedy wyruszy na poszukiwanie matki. Chciała powiedzieć, że życie oznaczało dla niej wyłącznie smutek i udrękę, lecz uswiadomiła sobie, że znowu myśli tylko o sobie. Ciągle nie była pewna, czy zaufać Gaedrianowi, lecz jeśli mówił prawdę, musi spróbować mu pomóc. Jej życie było koszmarem; nie życzyła nikomu takiego losu.

– Potrzebuję twojej pomocy – odezwała się, po czym opowiedziała mu o Gaedrianie i Nallornie, o wojnie, jaką toczył Sen z Koszmarem, i o tym, że nie wolno dopuścić, by Nallorn zwyciężył.

Ojciec smutno potrząsnął głową.

– Nie mogę ci pomóc, Tetchie. Nie jestem w stanie powrócić fizycznie.

– A jeśli Gaedrian przegra...

– Będzie to strasznym złem – zgodził się ojciec.

– Musi być coś, co moglibyśmy zrobić.

SIUDMAK



Rozmowa w rzeczywistości rociągnięta była w czasie i przestrzeni. W 1987 roku w Sierre (Szwajcaria) Jacek Rodek przegadał z Wojtkiem Siudmakiem sporą część nocy podczas komiksowego festiwalu. W czerwcu 1991 roku w redakcji „NF” Siudmak odpowiedział Maciejowi Parowskiemu na kilka dodatkowych pytań. W tej drugiej rozmowie uczestniczyli także Adam Hollanek i Lech Jęczynek. Wywiad, który przedstawiamy, powstał z połączonych i przeredagowanych stenogramów obu spotkań.

AKTUALNE
STARZEJE SIĘ
NAJSZYBCIEJ

(DLA „NOWEJ FANTASTYKI” MÓWI WOJTEK SIUDMAK)

„Nowa Fantastyka”: – Wymyśliłeś styl Wojtka Siudmaka tu w Polsce, czy twój fantastyczny surrealizm narodził się dopiero w Paryżu, gdzie wyjechałeś po ukończeniu warszawskiej ASP w 1967 roku?

Wojtek Siudmak: – Zostałem duchowym surrealista już w Polsce, z powodu Mrożka i jego humorystycznych opowiadań, jak „Stoń”, „Wesele w Atomicach” oraz dzięki jego

Wtedy zamilkł na dłuższą chwilę.

– Co ukrywasz? – spytała Tetchie. – Czego mi nie chcesz powiedzieć?

– Ja nie mogę nic zrobić – powiedział ojciec – ale ty... Znowu się zawahał.

– Co? – nalegała Tetchie. – Co takiego ja mogę zrobić?

– Mogę ci użyczyć mojej siły – powiedział ojciec. – Wtedy będziesz mogła pomóc Władcy Snu. Lecz zapłacisz za to. Odtąd już na zawsze będziesz tylko trofem.

Trofem? – pomyślała Tetchie. Spojrzała na ojca, poczuła głęboki spokój, który udzielał się jej dzięki samej tylko jego obecności. Ludzie z miasteczka uważaliby to za przekleństwo, lecz ona już nie.

– Byłabym dumna z tego, że jestem bardziej podobna do ciebie – powiedziała.

– Będziesz musiała zrezygnować z wszelkich pozorów człowieczeństwa – ostrzegł ją ojciec. – Kiedy słońce wstanie, musisz być schowana głęboko pod wzgórzem, inaczej zamieni cię w kamień.

– Ja już teraz wychodzę tylko nocą – powiedziała.

Spojrzenie ojca napotkało jej wzrok, a wtedy westchnął.

– Twoje życie nie jest łatwe – powiedział.

Tetchie nie miała ochoty opowiadać już więcej o sobie.

– Powiedz, co mam robić? – spytała.

– Musisz wziąć trochę mojej krwi – oznajmił ojciec.

Znowu krew. Tej nocy Tetchie napatrzyła się i nasłuchiwała o krwi za całe życie.

– Ale jak to zrobić? – zapytała. – Przecież jesteś duchem...

Ojciec dotknął jej ramienia.

– Który otrzymał ciało przez twoje wezwanie do tego półświata. Czy masz nóż?

Potrząsnęła przecząco głową. Podniósł kciuk do ust i mocno nagryzł. Ciemny płyn pojawił się w ranie, kiedy wyciągnął rękę w jej stronę.

– Będzie piekło – powiedział.

Tetchie przytaknęła przestraszona. Przymknawszy oczy, otworzyła usta. Ojciec dotknął kciukiem jej języka. Jego krew miała piekący smak ognia, paliła przechodząc przez gardło. Tetchie zadrżała z bólu, oczy wypełniły się łzami tak, że kiedy je otworzyła, nadal była jak ślepa.

Poczuła rękę ojca na głowie. Przygłodził jej potargane włosy, po czym pocałował ją.

– Pozostań w zdrowiu, moje dziecko – powiedział. – Odszukamy cię ja i twoja matka, kiedy nadejdzie czas, byś ostatecznie przeszła na drugą stronę.

Było jeszcze tysiąc rzeczy, które Tetchie chciała mu opowiedzieć, lecz zakreśliło jej się w głowie i zrozumiała, że nie tylko on zniknął, lecz pusty świat również. Poczuła trawę pod stopami i lekki powiew wiatru na policzku. Kiedy otworzyła oczy, po jednej stronie ujrzała kamień, a po drugiej stary dąb. Zwróciła się w stronę, gdzie przed wejściem w kamień ostatni raz widziała błyski niebieskiego światła.

Teraz światelka tam nie było.

Podniosła się na nogi, rześka raczej niż słaba. Jej nocny wzrok jakby się wystrzył, podobnie jak inne zmysły. Rozpознаwała noc porami skóry.

Zdała sobie sprawę, że ludzie z miasteczka byli ślepcami. Ona sama była przedtem ślepa. Wszyscy tracili tak wiele z tego, co świat miał do zaoferowania. Lecz ludzie z miasteczka pragnęli raczej ciasniejszego niż szerokiego świata, a ona... przed nią stało jeszcze zadanie do wykonania.

Ruszyła w stronę, gdzie przedtem błyskało światelko.

nieruchomej postaci. Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na nią słabym wzrokiem.

– Nie byłem dość silny – powiedział Gaedrian swym dźwięcznym, łagodnym głosem, choć teraz bardzo przygaszonym.

– Dokąd poszedł? – spytała Tetchie.

– Upomnieć się o swoje. O Krainę Snu.

Tetchie przyglądała mu się dłuższą chwilę, po czym podniosła kciuk do ust. Znowu nadszedł czas krwi – ostatni już raz.

Gaedrian próbował protestować, lecz ona odsunęła jego ręce i pozwoliła, by krople wpadały do jego ust: jedna, druga, trzecia. Gaedrian przełknął. Oczy pana snów rozszerzyły się w ogromnym zdumieniu.

– Gdzie... jak...?

– Znalazłam ojca – powiedziała Tetchie. – To spadek, który mi zostawił.

Zmysły miała wyostrzone, lecz gdy uniosła rękę, by pokazać ją Gaedrianowi, skóra na niej była ciemniejsza niż przedtem, bardziej szara i szorstka niby kora. I Tetchie nigdy już nie miała ujrzyć białego dnia.

– Nie powinnaś była... – zaczął Gaedrian, lecz Tetchie przerwała mu.

– Czy już wystarczy? – zapytała. – Czy teraz zdołasz go powstrzymać?

Gaedrian usiadł. Rozłożył ramiona, zgiął ręce, nogi.

– Aż zanadto – powiedział. – Czuję się o sto lat młodszy.

Wiedząc, kim jest, Tetchie nie pomyślała, że przesadza. Któż wiedział, ile lat miał Władca Snu. Pewnie narodził się wraz z pierwszym snem.

Ujął jej twarz w ręce i pocałował w czoło.

– Spróbuję naprawić zło, które mój brat wyrządził ci dziś nocy – powiedział. – Cały świat jest twoim dłużnikiem.

– Nie chcę żadnej nagrody – powiedziała Tetchie.

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę po ciebie – powiedział Gaedrian.

Jeśli mnie znajdziesz, pomyślała, lecz skinęła tylko głową.

Gaedrian wstał. Jedną ręką pociągnął po tatuażu w kierunku serca, a powstałe zaraz niebieskie światelko cisnął wysoko w górę. Zamieniło się w lśniący portal. Rzucając jej jeszcze jedno wdzięczne spojrzenie przeszedł przez powstałe wrota. Zamknęły się za nim migocząc kaskadą niebieskich iskier, podobnych do tych, jakie pryskają z ogniska, gdy dorzuci się drewnianą kłodę.

Tetchie rozejrzała się po wypalonym wzgórzu, po czym ruszyła do Burndale. Przeszła brukowanymi ulicami, samotna w cieniu budynków, bardziej spokrewniona z ich murami i fundamentami niż tymi, którzy spali wewnątrz. Przy starej Gospodzie Cottis pomyślała o matce i stała patrząc na szopę przy stajniach, gdzie mieszkały przez te wszystkie lata.

Na koniec, kiedy świt zaczął barwić horyzont na różowo, skierowała kroki w stronę tego wzgórza, gdzie po raz pierwszy spotkała wytatuowanego człowieka.

Pogładziła korę starego dębu, po czym podeszła blisko wysokiego kamienia stając po jego wschodniej stronie.

Nie było do końca prawdą, że nie ujrzy już nigdy dnia. Zobaczy go, choćby tylko raz.

Stała ciągle w tym samym miejscu, kiedy słońce weszło i zabrało ją. Odtąd dwa stojące kamienie, jeden wysoki i jeden dużo mniejszy, dotrzymują towarzystwa staremu dębowi na wzgórzu. A Tetchie, nareszcie lekka i gibka, pozostawiwszy swą ciężkość w kamieniu, pomknęła śladami rodziców.

Przełożyła Ewa Łodzińska

Spalona trawa i wypalona ziemia pokrywały wzgórza, które było jej celem. Zobaczyła jakąś postać leżącą na ziemi i zawahała się niepewna, kto to taki. Gaedrian, czy jego brat? Podeszła ostrożnie i ukłękła obok



satyrycznym, intelektualnym rysunkom. W Paryżu stałem się fantastą praktykującym. Ale od dziecka pociągała mnie fantastyka, poezja, rzeczy niecodzienne i niebanalne.

– Czyli, gdybyś został w Polsce, w Warszawie, być może i tak robiłbyś to samo, co we Francji?

– Na pewno wszystko inaczej by się potoczyło. W Polsce królowała wtedy abstrakcja, z którą się nie zgadzałem, nie lubiłem jej, to nie był mój problem. Będąc jednak wrażliwym na ekspresję artystyczną, na uparte potrafiłem znaleźć w tym minimalną satysfakcję, nieporównywalną oczywiście z radością towarzyszącą mi dziś przy tworzeniu obrazów realistycznych, poszukujących piękna, poezji i tajemnicy. Także odbiór sztuki abstrakcyjnej dostarczał mi ciągłego niezadowolenia i poczucia bezsensu. Uciekałem przed tym w ćwiczenia kulturowe, w walkę z ciężarem, z jego głupim oporem. To była odtrutka na Akademię; wyobraź sobie – profesor robił ci korektę obrazu abstrakcyjnego! Jak można korygować coś, co jest zapisem cudzej wewnętrznej prawdy. Do tego dochodziło wymowne uzasadnianie każdej akcji twórczej i najba-

nalniejszego konceptu. A wszystko się wiązało ze sztuką oficjalną, z narzuconą artystom grą między widowiskiem a systemem, z krytycznym poszukiwaniem takich szczytów doskonałości, które będą dla widza niezrozumiałe. Chodziło o oszukanie widza, wmówienie mu dystansu i rozegranie rozłamu między twórcą a publicznością.

– *Rozumiem w literaturze, ale w plastyce – także była niewola?*

– Uczciwa rewizja artystyczna tamtego czasu to dla zbyt wielu ludzi duże ryzyko – artystyczne, finansowe, moralne, prestiżowe. Jest wielu plastycznych nieuków do dziś zainteresowanych, żebyśmy zapamiętali przeszłość tak, jak oni ją wtedy przedstawiali. Tamtej sztuce niezbędna była krytyczna interpretacja, bez niej wędla, była cherlawa, nijaka. Nie mieliśmy wówczas autentycznych, ciekawych, niespokojnych talentów jak Andy Warhol czy Ives Klein, ale interpretatorów nie brakowało. Mieliśmy też wdrażane odgórnie „picasy”: ściany w klubokawiarniach pomalowane na ukos, a na wsiach – krzywe stoliki i krzesła. Nastąpiło skażenie środowiska wizualnego, na co nie było żadne-



go uzasadnienia ani w historii sztuki polskiej, ani w ogóle. We Francji chłopię się na to nie godzili, cenili sobie piękno regionu. Przez Polskę natomiast przeszło parę rewolucji kulturalnych. Zostawiły wydrążoną świadomość, zachwianą ciągłość, zniszczenie języka.

– *Uciekłeś więc przed artystyczną błagą, abstrakcją i „picasami” w samo centrum zarazy, do Paryża?*

– Rynek francuski nie był ani centrum zarazy, ani twierdzą dominującego stylu. Można artystyczny Paryż porównać z olbrzymim dworcem kolejowym, gdzie jest mnóstwo pociągów, mnóstwo szyn, każda droga gdzie indziej prowadzi i żadna nie jest lepsza ani gorsza. I co może najważniejsze, w życiu artystycznym, kulturalnym brak tam dętwoty i sztywności w ocenie. Nie ma kodyfikacji. Sztuka jest po to, żeby się zmieniała, żeby szukała. Istnieje rzeźba realistyczna obok abstrakcyjnej, jest malarstwo takie, siakie, jest sztuka konceptualna, komiks wcale nie wyklęty jak u nas, którego środki przechodzą czasem do sztuki. I wszystko jest tak samo respektowane. Są powroty, np. do akademizmu. Jest dużo tolerancji.

– *Także dla sztuki abstrakcyjnej?*

– Oczywiście. W muzeach Paryża człowiek uświadamia sobie, że również abstrakcja stała się już klasyką. Także ona ma swoją publiczność, choć rzadną i trzeba przyznać, że mocno spada w cenie. Kiedy tam się zjawiałem, we Francji nabierał akurat znaczenia nowy realizm, szukano ludzi, którzy umieli dobrze rysować i oni robili neorealizm fantastyczny, cholernie bogaty i niezwykle interesujący, bo osobisty. To był dla mnie szok, takie rzeczy były moim ukrytym marzeniem z czasów, kiedy oddawałem się narzuconym poszukiwaniom w przeciwnym (abstrakcyjnym) kierunku. Po latach francuski krytyk, poeta, śpiewak, trochę prorok tego nowego realizmu, pisząc przedmowę do mojej książki, charakteryzował i przepowiadał kierunek tej ewolucji. Twierdził, że w okresie dominacji Picassa twarz człowieka była rozstrzelana, a teraz wracamy do sztuki scalania, spójności, nie dosłownie klasycznej w sensie poszukiwań greckich czy rzymskich, ale realistycznych.

– *Od razu w to wskoczyłeś? Bez podpowiedzi, przewodnika, sponsora?*



– No nie, powrót do rysunku realistycznego musiał trochę potrwać. To tak jak rehabilitacja złamanej ręki czy nogi. W Polsce dość wcześnie zacząłem dobrze rysować, potem musiałem to zarzucić. We Francji odzyskiwałem sprawność współpracując z pismami. Robiłem na przykład karykatury do przepisów kulinarnych. Na to nie ma odpowiednika w Polsce, bo kuchnia francuska jest szalenie bogata, bardzo estetyczna i zawiera przepisy o niesamowitych nazwach i składnikach, co mnie zmuszało do poszukiwań w słowniku – zawsze ciekawych, a nieraz humorystycznych. To był powrót do realizmu, mam masę rysunków z tego okresu. A przez obserwację rynku dość szybko zacząłem łapać te nowe zjawiska, bez żadnych poleceń, zaczynałem tym żyć. No i wystawiałem w Londynie, Niemczech, we Francji w dużych miastach. Nawiązałem kontakty z galeriami, wydawnictwami i od tej pory zacząłem robić obrazy. Miałem dużo energii twórczej i cały wysiłek skierowałem w stronę realistyczną, żeby to dało się odczuć. Czułem, że to jest rodzaj przełomu, który w dodatku bardzo mi odpowiadał. Robienie rzeczy pięknych, doskonale wykonanych, estetycz-

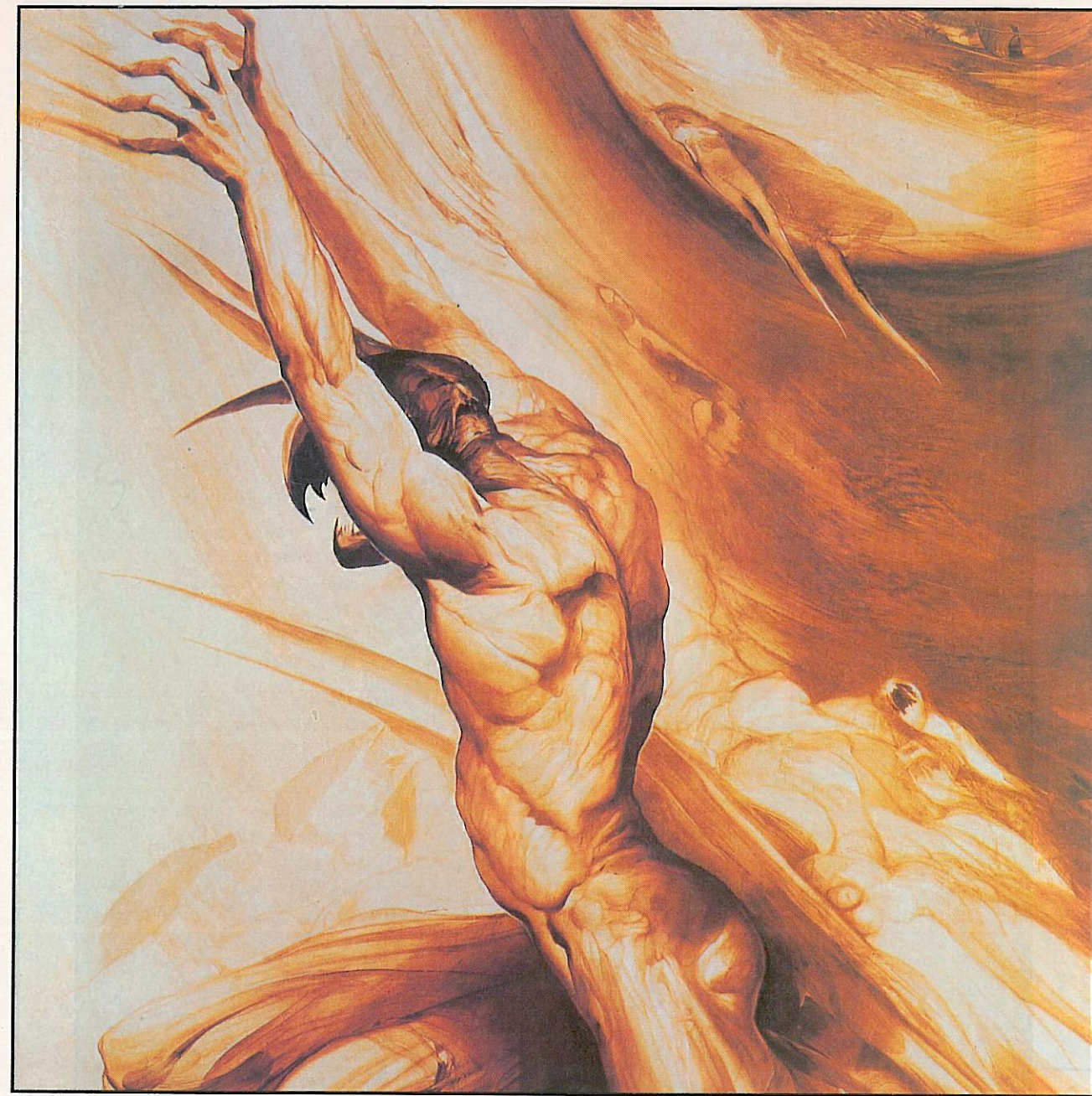
nych w sensie jak najbardziej pozytywnym.

– *Czy czasem nie za pięknych? Zbyt słodkich i kliwowych?*

– Jest całkowitą bzdurą sądzić, że robiąc bazgroły czyni się obraz intelektualnie bogatszym, lepiej trafiającym do widza. Przeciwnie. Natomiast robiąc rzeczy realistyczne można je skonstruować w sposób uwzględniający parę poziomów lektury. Pierwszy – widać dobrze zrobiony obraz. Drugi – możliwość odczytania jego fabuły. Trzeci – warstwa symboliczna, można dawać tu interpretacje nawet najbardziej skomplikowane.

– *Wspomniałeś o Grekach. Jest tak jakbyś przenosił w swoje obrazy helleńską rzeźbę, by ustawiać ją w symbolicznych kontekstach i ożywiać. Także upiększać.*

– Trzeba ją było ożywić, bo rzeźby były martwe. Jaka jest różnica? Sztuka hellenistyczna u Greków czy Rzymian polegała na poszukiwaniu kanonu, to znaczy wzorca, który następnie służył jako forma do powielania. To nie było złe, obok tego nie można było przejść obojęt-



nie, ale dla mnie to tylko pretekst, czytelny sposób zwrócenia się do widza. Bo kanon eksponował to, co możliwe, był wynikiem przeciętnego piękna, istniejącego w...

– *Powiedzmy – w przyrodzie.*

– Tak. A mnie chodzi o piękno nieprzeciętne, nie istniejące na co dzień. Piękno przesadne. Fantastyczne. Tu we Francji nikt nigdy mi nie powiedział, że to jest zbyt kliwe. W polskiej tradycji artystycznej nie ma takich poszukiwań kobiecego piękna jakie robił na przykład Bouguerau, który uwielbiał malować piękne, zwiewne facetki. Rzeczywiście trudno wymagać od Polaków, od Słowian i ich kultury, nie bazującej na hellenizmie, by byli tak wrażliwi na punkcie piękna, jak przedstawiciele kultury śródziemnomorskiej. Tak więc we Francji nigdy nie postawiono mi zarzutu, przeciwnie, ludzie byli jakby pobudzeni tym niemożliwym pięknem. Dla mnie to jest zresztą trochę idee fixe tak jak walka Don Kichota z wiatrakami. Stworzyć ideał piękna i postawić go w kontekście rzeczy agresywnych, tragicznych, ciemnych, ponurych, destrukcyjnych, których nie brakuje w sztuce i życiu. Uważam,

że to pasjonujące, choć na pewno część krytyków odbierze to jako rodzaj słabości.

– *Albo inności. W Sierre twoje obrazy miały równie dużo widzów jak dokonania Giger. Jesteście na dwu przeciwnych biegunach, obaj artystycznie ważni, choć różni. Często dla tych samych odbiorców.*

– Byłem w Sierre zaskoczony, że rzeczy, które robią na Szwajcarach największe wrażenie, zawierają dużą dozę agresji. Jest w tych pracach pomieszanie piękna z agresją – być może poszukiwanie takich dzieł ma związek z życiem Szwajcarów, unormowanym, biegącym spokojnym nurtem. Także w środkach masowego przekazu trwa poszukiwanie sensacji, skandalu, gwałtu. Ale na przykład we Francji ludzie burzą się już przeciw temu, to bezsensowne, żeby bandyta stał się gwiazdą mediów w tym samym stopniu co artysta filmowy. Natomiast te szokujące prace, które się podobają szwajcarskiej młodzieży i nawet dorosłym, owszem są agresywne, ale także, może przede wszystkim, w sensie artystycznym, pod względem...



– Środków wyrazu?

– Niezwykle silnych środków wyrazu. Na przykład obraz „Zemsta oceanu”, na którym katedra wynurza się z morza i przybiera postać ludzką. To szokuje, bo jest odzwierciedleniem rzeczywistości, skali zanieczyszczeń i zagrożeń, i zniszczenia środowiska w sposób nieodwracalny. Ludzie odbierają to, są na te sprawy wyczerpani, słuchają radia, oglądają telewizję, a sztuka odwołuje się do ich wiedzy.

– Artyści pracujący dla podobnej publiczności – Giger, Achilleos, Vallejo, Foss. Co o nich sądzisz?

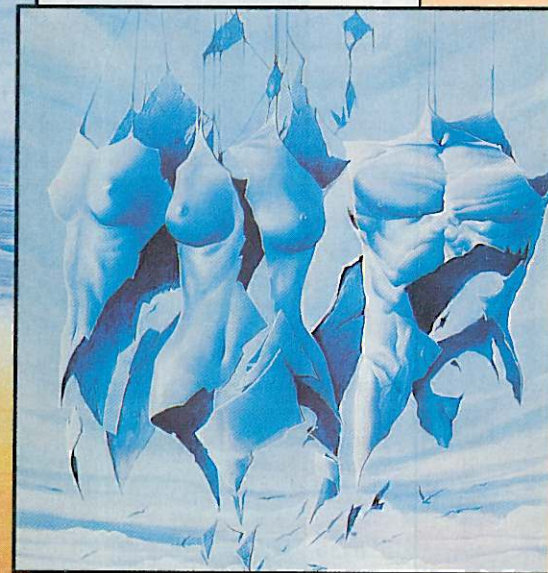
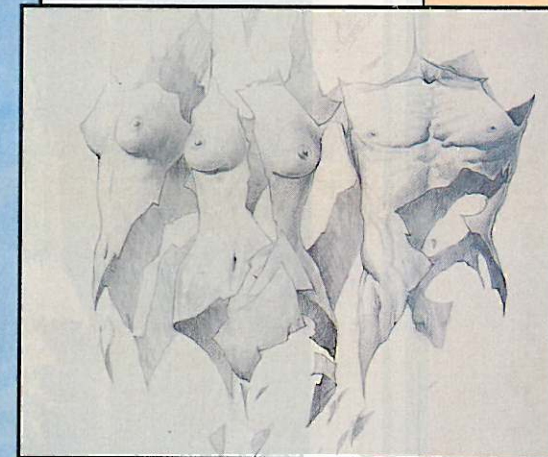
– Cenię Gigera, choć jego świat, pełen koszmarów, tragizmu, ciemny i niezdrowy, jest zupełnie przeciwny mojemu. To szokujące i interesujące, bo szliśmy podobnymi drogami i jesteśmy w jednym wieku. Światy Gigera są jakby nawet już nie w piwnicy, tylko w zamkniętej skrzyni. A ja nie znoszę być zamknięty. Jednocześnie w tym przerażającym i okrutnym świecie Gigera pojawiają się wspaniałe piękne twarze. To jest odzwierciedlenie jego środowiska, w którym jest masa fantastycznych modelek. Magazyny są zarzucone przepięknymi facet-

kami, modelkami duńskimi, amerykańskimi. Dla nich piękno jest codziennym wysiłkiem.

Foss był pierwszym, który zainteresował się samochodami przyszłości, to znaczy statkami kosmicznymi. Ale one zestarzały się tak samo, jak samochody sprzed 20 lat; stały się retro. Ich piękno, uzasadnione postępem technicznym, zostało w obrazach piętno aktualności, a ta starzeje się najszybciej. Przed jego wspaniałym kiedyś malarstwem kosmicznym stoję jak przed wystawą samochodów, którymi jeździła Marlena Dietrich. To jest spojrzenie archeologiczne, niedzisiejsze. Sztuka Gigera trwa, czuje się, że jest przecierpiana, pijana, osobista jak dzieło Dicka, że nas oplata i ciągnie się za nami jak nocne wizje, jak ser camembert, którego nie można oderwać od skóry.

– Achilleos, Vallejo?

– Polskim czytelnikom mogę powiedzieć, że niespecjalnie przepadam za Achilleosem, mimo że lubię go jako człowieka. Mam nadzieję, że widać wyraźnie różnice między jego rysunkiem a moim.

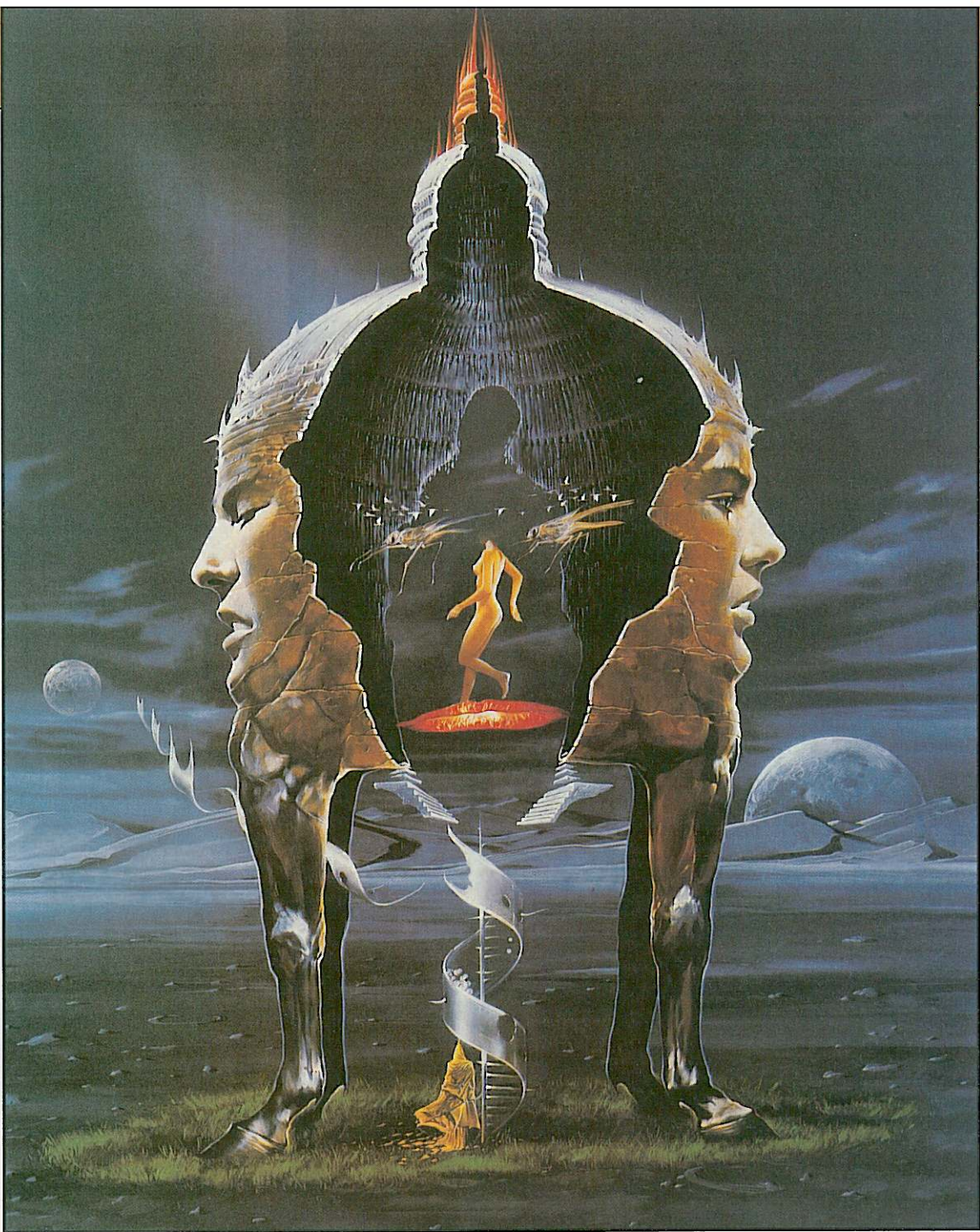


On jest ilustratorem, a ja artystą malarzem. Ja nie robię sytuacji poddyktowanej przez wydawcę, że na przykład siedzi dziewczyna na smoku. Nie znoszę tego, to jest sposób pracy wydawców angielskich i amerykańskich, oni zamawiają ilustracje w sposób cholernie konkretny, dają wręcz szkic sytuacyjny pierwszego planu i tła. Francuzi pozwalają mi robić, co chcę, oczekują tego ode mnie.

– *My w Polsce, przez długie lata torturowani okładkami marnymi albo czysto typograficznymi, tęsknimy do okładek ilustracyjnych, lubimy je.*

– Rozumiem, ale jednocześnie uważam, że jest rzeczą niebezpieczną jeśli artysta stara się nadać skończoną formę postaciom i sytuacjom, które pisarz z natury rzeczy opisuje w sposób mglisty, niekonkretny, bo przecież operuje słowem. Na czym polega bogactwo literatury SF? Także na użyciu delikatnych środków, pobudzających dopiero wyobraźnię czytelnika, która pisarską wizję może rozwinąć bardzo daleko. Dlatego nie mogę zaakceptować Vallejo, Achilleosa, bo oni dają za każdym razem dokładnie to samo.

Ten sam szablon, te same postacie; nie rozwijają wyobraźni, nie apelują do niej, tylko ją zatrzymują. Mówię z taką nieprzyjemną pewnością, bo dyskutowałem o tym z pisarzami. Silverberg pisał mi, że sprawia mu przyjemność, że jego świat jest bliski mojemu światu, ale ten mój nie jest ilustracją, tylko jakby punktem wyjścia do napisania książki. To są te same myśli, podobna wyobraźnia, podobne światy SF, które w jednym rezonują książką, a w drugim obrazem. Nie jestem ilustratorem, nie chcę, nie umiem nim być. Pracując dla wydawcy dobieram sobie powieści filozoficzne, poetyckie, staram się plastycznie kondensować pewne sprawy, żeby czytelnik mógł je odczytać na wszystkich trzech albo przynajmniej na jednym poziomie. Odrzucam propozycje, które w sposób oczywisty nie mają nic wspólnego z moim światem – poszukiwaniem tajemnicy, filozoficznej symboliki, gdzie każdy detal coś znaczy i gdzie jest bogactwo tych znaczeń. I gdzie jest piękno doprowadzone do doskonałości, przeciwstawione agresywnemu, rozsypującemu się światu.



– A plany na przyszłość, jakaś zmiana warsztatowa, jakieś tematyczne wnioski wyciągnięte z wydarzeń ostatnich lat?

– Coraz częściej myślę o rzeźbie, w malarstwie idę coraz bardziej w kierunku „malarstwa czystego”, ale to nadal będzie się wiązało z moim światem. Patrząc na swoje obrazy sprzed 8-10 lat nie widzę znaczącego upływu czasu. Nie przewiduję też wyraźniejszej reakcji na zmianę, nie prowadzę harmonogramu rozwoju artystycznego, żeby się nie przerazić, nie sparaliżować. Nowinka techniczna – przechodzę na olej, bo akryl szybko schnie, 15 lat poświęciłem na opanowanie tej techniki, teraz stwierdzam, że olejem będzie szybciej. Mieszkam techniki, olej łatwiejszy, ołówek najtrudniejszy, bo nie dopuszcza fałszu. Moim marzeniem byłoby robienie wideoklipów, widzę, że dzisiejsi reżyserzy nie mają wielu pomysłów, to się wzięło ze zwiastunów filmowych, z rozpętnienia obrazu. A aktualność, reakcja na ostatnie lata? Cały czas robi to Bilal, jego myślenie jest dziennikarskie, publicystyczne. Nie chcę tego, mnie chodzi o wieczność, o pozaczas. Dlatego bardziej wierzę Gigerowi, Bilal zestarzeje się szybciej.

– Wracamy do punktu wyjścia: wyobraźmy sobie, że nie wyjechałeś z Polski u schyłku lat sześćdziesiątych. Co się z tobą dzieje?

– Być może wszedłbym w film. Mieszkając przecież w Dziekance, spotykałem się tam z Maksymiukiem, Markiem Tomaszewskim, Kieślowskim. Widziałem w Paryżu ostatni jego film („Podwójne życie Weroniki”), to są podobne poszukiwania: dwoistość osobowości, bogactwo estetyczne, poezja w kuli. Czulem z nim bliskość, jakbyśmy wczoraj rozmawiali. On przecież też nie zaczął od kina, studiował teatr i marzył o nim. To był dziwny czas, komunizm sam jeszcze wtedy w siebie wierzył, w Chinach był okres palenia książek i ustalania rewolucyjnego kanonu. Niebezpieczny czas. Francuskie bajki zaczynają się zwykle: „Kiedyś było tak”. Rosyjskie: „Żył, był car”. A nasze, polskie: „Za siedmioma górami, za siedmioma lasami...” Myślę, że wyjechałbym do tego Paryża wcześniej czy później.

Opracował Maciej Parowski

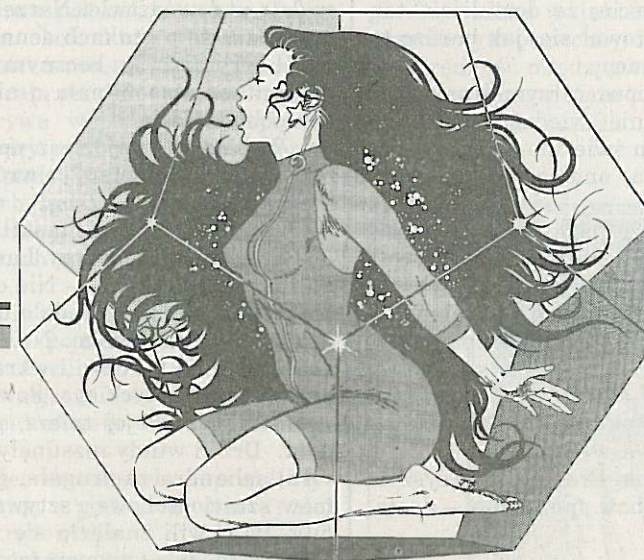
powieść

ANNE McCAFFREY

PIEŚŃ KRYSTAŁU

(7)

The
Crystal
Singer



przełożyła
Paulina
Braiter

Wsteczny ciąg silników i dziwne kołysanie promu wskazywały, iż pojazd manewruje przy wejściu do doków Bazy. Poczula wstrząs świadczący o tym, że manewry zakończyły się.

– Niezgrabiasz! – stwierdził znajomy głos kilka rzędów przed Killashandrą.

– Zapewne jeden z twoich ostatnich rekrutów popisuje się przed nami – odparł przeciągle Olin.

Killashandra pomyślała, że naprawdę musiała być półprzytomna, kiedy wsiadała na pokład, skoro nie zauważyła Borelli i jej towarzysza. Właśnie odpięła pasy, gdy ze zdumieniem usłyszała w ustach Borelli własne nazwisko.

– Killashandra Ree? – powiedziała śpiewaczka znajomym, pogardliwym tonem. – A skąd mam wiedzieć, czy jest na pokładzie? Nie znam jej.

Całkowita obojętność na zapewne uprzejme pytanie rozwścieczyła Killashandrę. Nie dziwota, że śpiewacy kryształu nie cieszyli się najlepszą opinią.

Kiedy dotarła do drzwi, przystanęła nagle, bowiem jej wyczulony wzrok zaatakowała feeria barw mundurów dwóch oczekujących przy wejściu ludzi. Na ich piersiach widniały obce emblematy o jaskrawych, oślepiających i całkowicie niezharmonizowanych kolorach: planeta i dwa księżyce, otoczone dwoma ruchomymi pasmami asteroidów. Przemykając na moment oczy Killashandra zdecydowała, iż wrażenie ruchu musi pochodzić od oddechu odzianych w mundury przybyszów.

– Jestem Killashandra Ree – oznajmiła uprzejmie, w duchu jednak niemal zrozumiała, skąd wzięła się arogancka reakcja Borelli. W oczach ludzi po adaptacji,

operujących w odmiennym spektrum barw, uniform Trundomoux był nie do zniesienia.

– Gwiazdny kapitan Francu z Marynarki Trundomoux, do pani usług, członkini Cechu Ree – sztywnym gestem wskazał swego towarzysza. – Starszy porucznik-inżynier Tallaf.

Mrużąc oczy zdołała częściowo wyeliminować odrażające kolory i docenić, że przybysze są wyjątkowo przystojni. Podobnie jak większość pilotów byli smukli i wysocy, w tej chwili zaś – najwyraźniej podenerwowani. Trema?

W wejściu do śluzy pojawił się pilot promu, stanowiący w swym zwykłym kombinezonie całkowite przeciwieństwo oficerów z Trundomoux.

– Jesteście ze statku Trundoli? Ładunek można odebrać na niższym pokładzie.

Killashandra ujrzała, jak kapitan Francu skrzywił się na dźwięk popularnego przezwiska. Wydało jej się, iż porucznik był tym raczej rozbawiony.

– Starszy porucznik-intendent Pendel zajął się wyładunkiem, kapitanie...

– Starszy kapitan Amon, Francu. Czy Pendel został dokładnie poinstruowany co do kryształu?

Francu zeszytniał.

– Gdzie dokujecie? – ciągnął Amon spoglądając na swą bransoletę.

– Nasz krążownik – Francu podkreślił typ statku wyjątkowo nadętym tonem – znajduje się na trajektorii hiperbolicznej. – Killashandrę ogarnęło nagłe przecucie, iż jej towarzysz podróży musi być wyjątkowym nudziarzem.

– Och, zatem kupiliście siedemdziesiątkę ósemkę – odparł Amon z tak wspinałym lekceważeniem, że Killashandra musiała powstrzymać śmiech. Oficerowie wymienili zaskoczone spojrzenia. – Faktycznie, w którejś z waszych starych pięćdziesiątek dziewczątek nie dotarliście tu tak szybko. To dla ciebie prawdziwy komplement, Killa – w końcu polecisz ich najnowszym statkiem.

Killashandra była przekonana, że nigdy wcześniej nie widziała Amona na oczy, dostrzegła jednak lekkie mruknięcie, jakie towarzyszyło zdrobieniu.

– Nie sądzę, aby komplement ten przeznaczony był dla mnie, Amonie – uśmiechnęła się ze zrozumieniem – lecz raczej dla czarnych kryształów.

– Wy, Trundole, macie szczęście, że dostaliście ten kwintet – Amon również zorientował się, jak bardzo to przezwisko irytuje kapitana Francu.

– Ostatecznie układ Trundomoux otrzymał priorytet FPR – odrzekła dyplomatycznie wiedząc, że musi podróżować z tymi ludźmi. Amon świetnie się bawił, doprowadzając Francu do wrzenia, ona jednak powinna zachować umiar.

– To prawda. Killa, jest jeszcze parę drobiazgów... – poprowadził ją w stronę wyjścia Cechu.

– Kapitanie Amon, zapewniano nas, iż po przybyciu członkini Cechu nie będzie już dalszych opóźnień... – bransoleta Francu zapiszczała. – Tak? Zabezpieczone? Będziemy w ładowniku...

– Killashandra musi najpierw odmeldować się w centrum dowodzenia Bazy Shankill, kapitanie. Musicie na nią poczekać w... gdzie cumuje wasz ładownik?

– Poziom 4, wyjście 18 – słowem Francu towarzyszyło gniewne, a jednocześnie pełne obaw spojrzenie. – Jesteśmy na hiperbolicznej.

– To nie potrwa długo.

Amon pociągnął ją za sobą i Killashandra zdążyła jedynie przesłać zdumionym oficerom uspokajający uśmiech.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała gwałtownie, uwalniając ramię, gdy tylko drzwi zasunęły się za ich plecami. – Jeśli są na hiperbolicznej, mamy niewiele czasu, by dotrzeć do ich krążownika.

– Tutaj! – ponownie złapał jej rękę i pociągnął do bocznej salki. Natychmiast otoczyła ją woń jedzenia i Killashandra poczuła, jak bardzo jest głodna. Jęknęła.

– Jedz! – rozkazał Amon. – Musisz wepchnąć do żołądka tak wiele, jak tylko zdołasz – wsunął jej w usta kilka owoców pieprzowca. – Dopóki krążownik będzie leciał na napędzie wewnątrzukładowym, nie dostaniesz tam nic do jedzenia. Siedemdziesiątki ósemki są pozbawione selektorów i innego luksusowego wyposażenia, a podczas rozpędzania statku mesa będzie zamknięta. Padniesz z głodu. Mam tu wszystko, czego możesz potrzebować podczas podróży. Wiem, że wśród załogi Trundoli są również kobiety, lecz ich mundury nie nadają się dla śpiewaków. Wypaliłyby ci oczy. W zestawie znajdziesz soczewki korygujące, które obniżą nasycenie barw do mniej więcej znośnego poziomu. – Amon recytował spis wyposażenia, po kolei sprawdzając zawartość niewielkiej torby. – Kilka zmian ubrań, ale wszystko najwyższej jakości. Dam ci też zapas żywności. Musimy naprawdę się pośpieszyć, skoro tkwią na hiperboli. Te ich pasy asteroidów chyba rzeczywiście przynoszą niezły dochód, jeśli stać ich było na siedemdziesiątkę ósemkę – dodał z podziwem. – Widziałem, ile przywieźli zasobników. Ale Cech i tak z pewnością ich wykiwał. Masz, spróbuj tych orzechów. Pełno w nich witamin i innych niezbędnych składników. Słyszałem,

że lubisz yarrańskie piwo. Popij. Dobra. A teraz jeszcze słówko przyjacielskiej przestrogi. W obecności tych wieśniaków odgrywaj śpiewaczkę kryształu do kwadratu. Ten kapitan nie sprawia zbyt korzystnego wrażenia, widziałem już wielu takich. Jedz! Nie mogę zatrzymać cię zbyt długo – pośpiesznie zamykał nieruszone pojemniki z jedzeniem i wpychał do jej bagażu. Zabrzęczała bransoleta: – Słucham? Tak, wiem. Czysta formalność? Do diabła, ona konała z głodu, baranie. Nadchodzi Przejście, a znasz przecież krążowniki. Będziemy za milisekundę. – Amon przewiesił sobie torbę Killashandry przez ramię, chwycił w jedną dłoń talerz niewielkich, chrupkich kwadratów, w drugą złapał dzbanek yarrańskiego piwa. – Możesz jeść po drodze, ale Francu szaleje w dowództwie. Narzeka na spóźnienie. Czy ktoś uprzedził cię o atakach senności? – Amon prowadził ją w dół korytarza, ku bocznym windom.

– Antona wspominała o nich. Mam instrukcje i środek pobudzający.

– W bagażu znajdziesz opakowanie różowych tabletek. Cholera! I dopiero co wróciłaś z Pasm! To nie fair w stosunku do ciebie, wiesz.

– Trag nauczył mnie instalacji.

– Trag? A, przyboczny Lanzeckiego – Amon spojrzał na nią z szacunkiem. – Nie chodzi o to, co masz zrobić, ale gdzie i z kim. Trundole to idealny przykład tego, co nazywamy Problemem. No, jesteśmy. Odetchnij głęboko, mała, i od tej chwili wkraczasz na scenę jako członkini Cechu Heptyckiego. Powodzenia!

Amon wyrwał jej talerz, gestem nakazał, by otarła usta. Drzwi windy rozsunęły się.

Killashandra zamrugała, gdy wściekłe kolory uniformów sześciuosobowej, sztywnej eskorty niemal ją oślepiły. Po chwili znalazła się w oczekującym ładowniku. Ledwie zdążyła wymamrotać słowa podziękii w stronę Amona, który pozdrowił ją wesołym, nieoficjalnym salutem, gdy zatrzasnęła się szluga. Killashandra o mało nie upadła na pojemnik z kryształem, przymocowany dokładnie pośrodku wąskiego przejścia. Dostrzegła znajomy dwunastościan Cechu i zaskakująco wielki symbol Trundomoux. Nawet ich znak promieniował natrętnymi barwami. Kapitan wskazał dla niej miejsce, a porucznik sprawdził zabezpieczenia fotela.

Ku zaskoczeniu Killashandry kapitan zajął miejsce przy sterach, Tallaf natomiast przysiadł na tradycyjnym fotelu drugiego pilota – nieco z tyłu i po lewej. Dowództwo Bazy Shankill udzieliło ostatnich zezwoleń i łącznik między służą a korytarzem oddzielił się od korpusu statku.

Francu z wprawą kierował statkiem, lecz Killashandra nie mogła uwolnić się od myśli, iż kapitanowie krążowników raczej rzadko startują marnymi ładownikami z baz księżycowych. A może to zwyczaj Trundoli? Nie wolno jej przyzwyczaić się do nazywania ich tym mianem.

Ładownik był wyposażony w zewnętrzne przekazniki wideo i Killashandra z przyjemnością obserwowała spektakularne widoki Ballybranu, małego Shilmora'a i niezliczonych błyszczących statków, przycumowanych w dokach Bazy bądź krążących po zsynchronizowanych orbitach. Prawdopodobnie wszyscy starali się zdobyć jak najwięcej kryształu, nim zacznie się Przejście. Zaciekało ją, czy jest tam też Andrus. W pobliżu ładownika nie dostrzegła żadnego statku Rag Delta Blue Swan.

Niemal od początku krótkiej podróży widziała krążownik. Blask planety oświetlał go wzdłuż dłuższej osi, dzięki czemu statek wydawał się większy. Niemal

spodziewała się, iż będzie ustrojony w szalone, barwne wzory, lecz kadłub miał tradycyjny pomarańczowy odcień. Przymocowane do niego zasobniki były mocno zużyte, połatane i powgniatane. Ładownik powoli zrównywał się ze statkiem i Killashandra nie mogła oszacować prędkości krążownika, który zdawał się mówić „Zdążam w tę stronę i nic mnie nie zatrzyma”. I słusznie, pomyślała Killashandra, bowiem pojazd wędrował po dokładnie skalkulowanej hiperbolicznej trajektorii, wykorzystującej ciążenie słońc i planet znajdujących się w pobliżu.

Kapitan czysto wprowadził ładownik do doku, szluga z łagodnym szczękiem uderzyła o wewnętrzny płaszcz statku. Członkowie załogi zerwali się ze swych miejsc. Kapitan wraz ze zdążającym o pół kroku za nim Tallafem przystanął gwałtownie obok fotela Killashandry. Pospiesznie odpięła zabezpieczenia, uświadamiając sobie nagle, iż powstrzymała całą procedurę lądowania.

Z głośnym sykiem pokrywa wyjścia odskoczyła do przodu i czaszkę Killashandry przeszył potworny wysoki pisk. Po chwili dźwięk ustał. Wtedy ujrzała dwa rzędy sztywno wyprostowanych ludzi flankujących przejście od ładownika do wyjścia z doku. Tam czekało na nią kilku oficerów, wśród nich dwie osoby o kobiecych sylwetkach.

Trzask i syk za jej plecami i oto kątem oka dostrzegła członków załogi, unoszących pojemnik z kryształem. Poczuła kolejne ułkucie niechęci. Nawet jeśli wydotanie się z planety na czas Przejścia było aż tak istotne, czy wszystkie te formalności i oficjalności stanowiły korzystniejszą alternatywę?

Głęboko zaczerpnęła powietrza i ruszyła naprzód, wysoko unosząc głowę. Stapając z godnością starożytniej królowej zeszła na pokład krążownika.

Obie kobiety, pełniące w załodze funkcje podoficerów – nazwała je Tik i Tak, bowiem nigdy nie udało jej się dosłyszeć ich prawdziwych imion – odprowadziły ją do kabiny, w porównaniu z którą nawet kwatery studentki na Fuerte była szczytem przestronności. Gdy jednak pokazano jej pomysłowe rozwiązania, dzięki którym w małym pomieszczeniu zdołano upakować wszelkie niezbędne urządzenia, Killashandra upomniała się w duchu. Ballybran przyzwyczaił ją do pewnych luksusów i obdarzył poczuciem własnej wyższości. Skromniejsze warunki sprowadzą ją bliżej poziomu zwykłych śmiertelników. Tik i Tak zademonstrowały, jak kocha przekształcać się w stół, gdzie przechowywane są dzbanki z wodą – po jednym na każdą kabinę, nie więcej; wskazały szafkę, kryjącą tri-di, podały kod biblioteki statku i pięć razy przypomniały o ścisłym racjonowaniu wody. Sprytnie ukrytą toaletę łatwo było zlokalizować dzięki silnej woni chemikaliów.

Pomruk kryształów, dochodzący przez ściany, pozwolił Killashandrze zasugerować dziewczynom, że mają zapewne obowiązki w sterowni. Chciała założyć wreszcie soczewki na swe piękne oczy, aby przytłumić wstrętne blask otaczających ją kolorów. Poza tym w niewielkiej przestrzeni kabiny wyraźnie czuła niewyuczwalne dla innych zapachy swego niedokończonego posiłku, a nie miała najmniejszej ochoty dzielić się z towarzyszkami. Te kilka kęsów, które zdążyła przełknąć na Shankillu, jedynie zaostrzyło jej apetyt.

Tik i Tak zareagowały wreszcie na kolejny przeszywający jęk napędu. Obiecały, że kiedy tylko silniki nabiorą pełnej mocy, powrócą, aby spełnić jej nawet najbardziej błahsze życzenia.

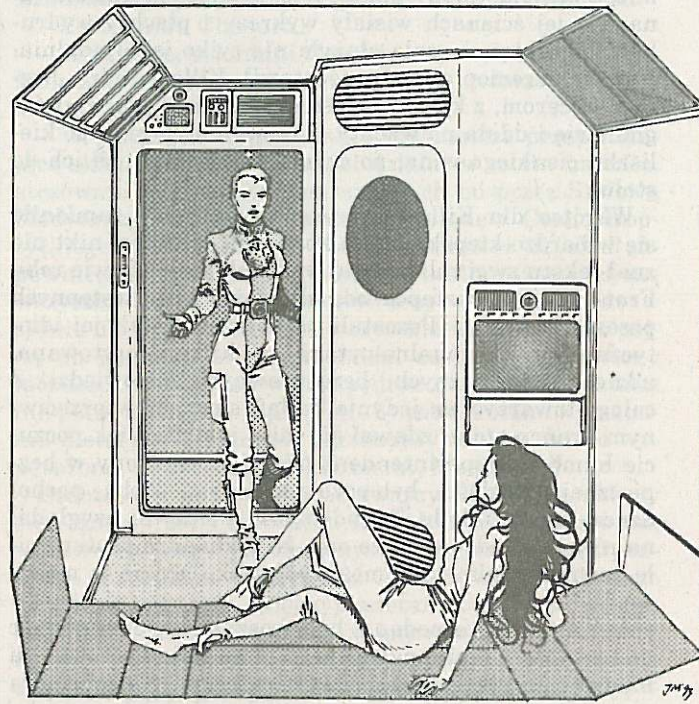
W tak niewielkiej kabinie można było jedną ręką zamknąć drzwi i jednocześnie kopnięciem spuścić koje.

Killashandra zaspokajała potrzeby swego symbionta odczytując w tym samym czasie instrukcję dołączoną do soczewek. W przerwie między kęsami wsunęła je na obolałe gałki oczne i diabelskie kolory kabiny natychmiast zbladły. Z początku Ballybran wydawał jej się taki bezbarwny! Skończyła zapakowaną przez Amona żywność i spróbowała obliczyć, ile czasu dzieli ją od następnego posiłku.

Poczuła, jak napęd stabilizuje się, kryształy były znakomicie nastrojone i nie sprawiały jej żadnych kłopotów. Na tym etapie podróży nie miała już nic do roboty, toteż ułożyła się możliwie najwygodniej na wąskiej koi i zasnęła.

Kolejny przenikliwy skowyt poderwał ją na równe nogi. Czy zdoła w jakiś sposób wygłuszyć swą kabinę przeciw tym potwornym hałasom?

– Prędkość międzygwiazdowa osiągnięta. Od tej chwili obowiązujące regulamin podróży. Wszyscy oficerowie za-



meldują się w mesie. Czy członkini Cechu Killashandra Ree zaszczyca nas swym towarzystwem?

Będzie również musiała coś zrobić z tymi ogólnostatkowymi komunikatami.

– Członkini Cechu? Słyszysz mnie pani?

– Tak, tak, oczywiście – odparła członkini Cechu, pośpiesznie wciskając przełącznik umieszczony obok koi na poziomie oczu. – Z przyjemnością przybędę do mesy.

Opróżniła torbę na łóżko, przerzuciła ubrania, znalazła tabletki, o których wspominał Amon i włożyła je do kieszonki na ramieniu kombinezonu. Następnie przebrała się w bardziej elegancką tunikę i właśnie zaczęła się zastanawiać, gdzie też na siedemdziesiątkę ósemkę ma szukać mesy, gdy zaanonsowana krótkim stukaniem do drzwi do kabiny wkroczyła Tik albo może Tak.

– Prywatność, panienko, prywatność. Nigdy nie otwieraj moich drzwi, póki ci nie powiem.

– Tak jest, proszę pani, przepraszam. To znaczy... – Dziewczyna aż się skuliła słysząc surowe upomnienie.

– Czy na drzwiach kabiny nie ma światełka ostrzegawczego? – Killashandra nie mogła łatwo pogodzić się z nieograniczonym dostępem do jej kabiny, ani jako Fuertanka, ani jako członkini Cechu.

– Nie, proszę pani. To statek wojskowy – odparła drżącym głosem dziewczyna.

– Owszem, należący do układu Trundomoux. Ale ja jestem przedstawicielką Cechu Heptyckiego i spodziewam się poszanowania mojej prywatności. Gdziekolwiek się znajduje.

– Przekażę to innym, proszę pani. Nikt z nas już o tym nie zapomni.

Killashandra nie wątpiła w jej słowa, teraz jednak musiała uzyskać podobne zapewnienie od oficerów. Francu nie będzie stwarzał problemów, ale Tallaf... Podążając za Tik w stronę mesy postanowiła, iż jak najszybciej musi wydostać z biblioteki plan statku. Najwyraźniej krążownik nadal dostosowywano do potrzeb Trundomoux, bowiem w mijanych przez nie korytarzach pracowały grupki członków załogi. Wszyscy przyglądali jej się z szacunkiem.

Mesa oficerska mogłaby być całkiem przyjemnym pomieszczeniem, gdyby nie to, iż była kiepsko umeblowana. Na jej ścianach wisiały wykresy i płachty wydruków sugerując, że sala służyła nie tylko jako jadalnia. Francu ceremonialnie przedstawił Killashandrę licznym oficerom, z których część natychmiast potem pożegnała się i udała na wachty. Pozostali otrzymali po kieliszku cienkiego wina, po czym kapitan zaprosił ich do stołu.

Wkrótce dla Killashandry całe spotkanie zamieniło się w bardzo kiepską operę komiczną, w której nikt nie znał tekstu swej roli ani nie wiedział, co właściwie robi. Francu i jego zastępcę odpadliby już przy wstępnych przesłuchaniach. Pozostali po kolei zadawali jej idiotyczne, konwencjonalne pytania, na które, poirytowana, udzielała sprzecznych, bezsensownych odpowiedzi. Z całego towarzystwa jedynie Tallaf, siedzący w przeciwnym krańcu stołu, zdawał się mieć jakiegokolwiek poczucie humoru. Superintendent, również usadzony w bezpiecznej odległości, był poza nią jedyną osobą, pochodzącą spoza układu Trundomoux. Ponieważ wyglądał na równie znudzonego, co ona, Killashandra postanowiła zawrzeć z nim znajomość, gdy tylko będzie to możliwe.

Jedzenie, które podano, było koszmarnie, choć sądząc po apetycie, z jakim pałaszowali je młodszy oficerowie, tu musiano je uważać za prawdziwą ucztę. Killashandra nie znalazła na talerzu nic, co odpowiadałoby wymienionym przez Antonę daniom, toteż bez entuzjazmu żuła i połykała niestrawną papkę.

Obiad zakończył się, gdy wszyscy zerwali się na nogi i oświadczyli chórem, iż poświęcą wszystkie swe siły dalszemu rozwojowi układu Trundomoux, przezwyciężając wszelkie możliwe przeszkody.

Killashandra zdołała opanować wyraz twarzy podczas tego niespodziewanego wybuchu patriotyzmu, szczególnie kiedy uświadomiła sobie, iż niektórzy młodszy oficerowie wygłaszali owe komunały z autentycznym zębem. Biorąc pod uwagę niedawny zakup siedemdziesiątki ósemki, jak również pięciu czarnych kryształów, ślepa lojalność obywateli mogła okazać się potrzebna. Cech również zyskiwał sobie lojalność swych członków, lecz powodowały nimi bardziej samolubne niż altruistyczne względy. Cóż, wyniki, jakie osiągnęli Trundomoux, były imponujące, lecz to od Cechu zakupili najbardziej prestiżowy dowód powodzenia.

Obsługa mesy sprawnie sprzątnęła ze stołu. Killashandra, z braku lepszych zajęć, przyglądała im się w milczeniu. Nie wiedziała, co powiedzieć, a perspektywa podobnych wieczorów w przyszłości napędzała ją przerażeniem.

– Czy miałyby pani ochotę na drinka, członkini Cechu? – spytał superintendent, który zniemacka pojawił się obok niej.

– Z przyjemnością. Łyk yarrańskiego piwa stanowiłby uwieńczenie podobnie znakomitego posiłku – odparła ironicznie, bowiem piwo sprawiłoby raczej, że cała ta niestrawna papka z powrotem stanęłaby jej w gardle.

Ku jej niekłamanemu zdumieniu mężczyzna uśmiechnął się radośnie.

– P a n i – podkreślił ten wyraz, jakby sugerując, iż jest ona ostatnią osobą, po której spodziewałby się podobnej reakcji – lubi yarrańskie piwo?

– Tak, to mój ulubiony napój. Słyszał pan o nim?

– Oczywiście, że o nim słyszałem – do wesołego śmiechu mężczyzny dołączyli inni stojący w pobliżu. – Jestem Yarraninem. Nazywam się Pendel. Dostanie pani kufel z mojej prywatnej baryłki! – wezwał jednego z członków obsługi, gestem naśladując nalewanie piwa do szklanki, po czym uniósł dwa palce.

– Członkini Cechu... – wtrącił kapitan – mamy tu wino...

– Tak się składa, kapitanie Francu, że Cech Heptycki darzy szczególnie upodobaniem yarrańskie piwo – odparła, świadoma, iż irytuje swego rozmówcę. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie. – Jeśli to nie uszczupli pańskich prywatnych zapasów...

– Uszczupli? – porucznik-intendent Pendel wydawał się niezwykle rozbawiony tą sugestią. Uwadze Killashandry nie umknęło jego szybkie spojrzenie w stronę Francu ani też wyraźne niezadowolenie kapitana. – Ależ nie, bynajmniej. Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność. Zawsze powtarzam, że prawdziwy yarrański trunek jest najlepszy, bowiem terrański chmiel i słód znakomicie przyjęły się u nas. Ale, jak mówią, każdemu wedle jego upodobań.

Podano kufle. Niezadowolenie Francu rosło w miarę, jak Killashandra sęczyła napój, okazując przesadne ukontentowanie. W rzeczywistości piwo było lekko zwietrzałe. Ciekawe, jak długo Pendel trzymał je w swej beczulce? A może browar Cechu przewyższał nawet rdzennie yarrańskie piwnice?

Pendel gawędził swobodnie, omawiając różne trunki z licznych planet. Killashandra z ulgą odkryła przynajmniej jedną obeznaną ze światem osobę pośród trundolskich wieśniaków. Dopóki dyskutowali na temat jedzenia i napojów, Killashandra również potrafiła odgrywać światową damę.

– Czy pamięta pani cokolwiek z Yarry? – spytał, skinięciem dłoni prosząc o dwa nowe kufle.

Tak sformułowane pytanie zaskoczyło Killashandrę, choć sama nie umiała powiedzieć dlaczego. Pendel nie stanowił przecież żadnego zagrożenia.

– Ze wszystkich planet, jakie odwiedziłam, ma ona najlepsze piwo i najsympatyczniejszych mieszkańców. Ciekawe, czy jedno ma związek z drugim? Dawno opuścił pan planetę?

– Zbyt dawno, a jednak nie dość dawno – odparł Yarranin, a jego wesoła twarz nagle posmutniała. Westchnął ciężko, po czym ujął pełny kufel i wolno pociągnął łyk świeżego napoju. Jak jedna szklanka zwietrzałego piwa mogła wywołać taką tęsknotę za domem? Killashandra nie była pewna. – Sam jednak zdecydowałam się na ten krok, a my, Yarranie, umiemy cieszyć się życiem niezależnie od okoliczności.

Nagle w sali zadźwięczał ostry sygnał, zwiastujący zmianę wacht. Killashandra wykorzystała okazję, aby pożegnać się i wycofać do siebie.

Tym razem Tak, bowiem widziała, jak Tik odchodzi wraz z grupą oficerów przejmujących służbę, odprowa-

dziła ją przez labirynt korytarzy do jej celi. Wyślizgując się ze swej tuniki Killashandra zastanawiała się, jak znieśnie następnych sześć dni podróży. I jak zdoła zaspokoić wymagania swego symbionta, jeśli stale będą jej tu serwować podobne świństwa. Zасыpiając pomyślała, że zwietrzałe yarrańskie piwo działa bardziej nasennie niż jego świeższy odpowiednik.

Następnego ranka uświadomiła sobie nagle, że skoro Pendel miał w swych prywatnych zapasach yarrańskie piwo, to może dysponuje też innymi specjałami. Natychmiast poprosiła Tik, pełniącą wartę przy jej drzwiach, aby zaprowadziła ją do superintendenta.

Przechodząc obok zamkniętego i zabezpieczonego wjazdu poczuła czarny kryształ i uśmiechnęła się na widok bezsensownych zabezpieczeń. Kto mógłby ukraść kryształ w przestrzeni? A może Trundole obawiali się, by czarny kwarc nie opanował jakiejś nieświadomej ofiary? Zdumiała się niepomiernie, gdy Tik zastukała do drzwi i natychmiast odsunęła je na bok. Najwidoczniej Yarranom nie przeszkadzało podobne naruszenie prywatności. Pendel przywitał ją serdecznie. Jego kabiną była tylko nieco większa od jej pokoju. Wszyscy troje musieli stać blisko siebie, aby pomieścić się obok koi-stołu. Na półce stał jednak koszyk owoców i dzbanek yarrańskiego piwa.

– Czym mogę pani służyć? – spytał Pendel, odprawiając Tik i zamknąwszy za nią drzwi.

Killashandra wyjaśniła, w czym rzecz, i pokazała mu spis Antony.

– Ależ oczywiście, mogę pani dostarczyć wszystkie te produkty i jeszcze więcej. Tutejsze pożywienie – tu machnął ręką w stronę sterowni statku – może wystarczyć ludziom, którzy nie znają niczego lepszego. Pani jednak, członkini Cechu...

– Mam na imię Killashandra.

– Tak? Dziękuję. A więc, Killashandro, ty przywykłaś do wszystkiego, co najlepsze w całej Galaktyce.

– Jeśli zdołam zaspokoić moje wymagania dietetyczne – Killashandra wskazała listę Antony – nie będę narzekać. – Nie mogła powstrzymać głodnego spojrzenia, jakim obrzuciła owoce w koszyku.

– Jadłaś coś dziś rano? Nie? – wyraźnie wstrząśnięty Pendel podał jej koszyk, odsunął drzwi i wrzasnął do Tik, stojącej na straży:

– Śniadanie, natychmiast! I proszę bez tej papki – zerknął na listę. – Racje 23 i 48 plus dodatkowa porcja owoców.

Na twarzy Tik konsternacja z powodu tak niezwykle go rozkazu toczyła walkę ze strachem.

– Pośpiesz się, dziewczyno. Dalej! Wydałem ci rozkaz! – uspokoił ją Pendel.

– A ja go potwierdziłam! – dodała stanowczo Killashandra, po czym wgrzyzała się w owoc, aby choć częściowo ukoić burczenie w brzuchu.

Pendel zamknął drzwi i uśmiechnął się złośliwie.

– Oczywiście, za sekundę będziemy tu mieli Chasurta... – superintendent zatarł dłonie. – Te racje należą do niego. To medyk – Pendel skrzywił się porozumiewawczo – którego doświadczenie obejmuje przede wszystkim odmrożenia kosmiczne i oparzenia laserowe. Racje zawierają wszystko, co wymieniono na twojej liście: minerały śladowe, potas, wapń i tak dalej.

Jedzenie i lekarz pojawili się w kabinie w tym samym momencie. Gdyby nie szybka interwencja Pendela, śniadanie Killashandry zostałoby skonfiskowane z drżących rąk Tik przez wściekłego Chasurta.

– Kto zezwolił na wydanie moich racji? – Chasurt, krępy mężczyzna w średnim wieku, obdarzony wyjąt-

wo bezmyślną twarzą, przypominał Killashandrę Maestro Valdiego i jego wzniosłe oburzenie.

– Ja! – odrzekli chórem Pendel i Killashandra. Pendel odebrał Tik tacę i natychmiast przekazał ją Killashandrze, która – odsunawszy się w najdalszy kąt kabiny – pozwoliła swemu towarzyszkowi okiełznać furie medyka.

Jedząc w tempie wywołanym nie tylko przez głód, Killashandra pochłonięła gorące płatki z orzechami. Pendel starał się zmusić Chasurta do odczytania listy Antony, lekarz natomiast natrętnie dopytywał się, co ma zrobić, gdy nastąpi prawdziwy wypadek i chorzy będą potrzebowali racji, pożeranych przez tę... tę... tę niewątpliwie zdrową kobietę. Nie podobał mu się również okazywany przez Killashandrę pośpiech. Fakt, że Pendel miał prawo wydać jego racje, jeszcze bardziej rozścieczył Chasurta, toteż ukończywszy drugie danie Killashandra poczuła się w obowiązku interweniować.

– Poruczniku Chasurt...

– Kapitanie, członkini Cechu! – twarz lekarza aż posinięła z obrazy. Drżąc ze złości ręką wskazał insygnia na kołnierzu.

– W porządku, kapitanie – Killashandra przepraszała, skłoniła głowę. – Pendel działał w moim imieniu, stosownie do instrukcji, narzuconych mi przez Szefową Medycznego Działu Badawczego Antonę z Cechu Heptyckiego na Ballybranie. Nasz Cechmistrz uzyskał zapewnienia, że podczas tej podróży zostaną zaspokojone wszystkie moje niezbędne potrzeby. Jeśli nie będę w stanie ukończyć instalacji, wszystkie wasze wysiłki pójdą na marne, zaś system nadal zostanie pozbawiony łączności. Z tego, co wiem, podróż do waszego układu nie potrwa długo, wątpię więc, by me skromne wymagania dietetyczne znacząco uszczupliły zapasy świeżo wyposażonej siedemdziesiątki ósemki. Mam rację?

Podczas jej wypowiedzi na twarzy Chasurta odbijały się różne sprzeczne uczucia. Killashandra, choć nie tak wprawna w odczytywaniu języka ciała jak Lanzecki, odniosła nieodparte wrażenie, iż Chasurt wolałby, by jego układ stracił łąca międzyplanetarne. Była to jednak zupełnie irracjonalna myśl. Najprawdopodobniej lekarz należał do tych urzędników, którym trzeba bezustannie schlebiać i traktować z najwyższą ostrożnością. Przypomniała sobie radę Amona i zrozumiała nagle, jak bardzo skuteczna może się okazać w konfrontacji z tego typu osobowością.

– Nie chcę panu przypominać, kapitanie Chasurt, że zgodnie z hierarchią Federacji Planet Rozumnych jako członkini Cechu podróżująca z misją zleconą przez Cech Heptycki przewyższam rangą każdego na tym statku, łącznie z kapitanem Francu. Proponowałabym, aby sprawdził pan w swym banku dane dotyczące śpiewaków kryształu. To ułatwi nasze kontakty w przyszłości. A teraz proszę mi podać owoce.

Chasurt przejął koszyk, dostarczony podczas przemo- wy Killashandry.

– Minerały śladowe są dla nas szczególnie istotne – oznajmiła, sięgając po kosz. Musiała mocno szarpnąć, nim odzyskała owoce, co dodatkowo rozjuszyło Chasurta. Killashandra z uśmiechem skinęła głową w stronę Tik, po czym odprawiła ją i zatrzasnęła drzwi przed nosem lekarza.

Pendel uniósł kubek yarrańskiego piwa w niemym to- aście, po czym oparł się o ścianę.

– Zdajesz sobie sprawę, że następny będzie kapitan?

– Sam też nieźle dajesz sobie z nimi radę.

– Nie mogą się mnie pozbyć – Pendel zachichotał, potarł palcem nos i mrugnął do niej porozumiewawczo. –

Zatrudnia mnie Konsorcjum Górnicze, nie Rada Trundoli. KG nadal dyktuje warunki. Ci tutaj nie są zresztą tacy źli jak na prowincjuszy z metalem zamiast mózgów. Zmienia się. Zmienia się na pewno – Pendel zoczył kufem szeroki łuk, wskazując najpierw Killashandry, a potem zapieczętowane pomieszczenie z kryształem.

– Czy słusznie podejrzewam, że nie wszyscy zainteresowani pragną tej zmiany?

Pendel roześmiał się.

– Też mi nowina.

Komunikator pisał przenikliwie i Pendel mrugnął do Killashandry.

– Mówi kapitan. Co to za historia ze specjalnymi racjami? Podobno wydałeś je bez upoważnienia.

– Kapitanie Francu – wyjaśnił przeciągle Pendel. Jego ton był niemal obraźliwy. – Wydaje mi się, że rozkazy jasno stwierdzają, by zaspokoić wszelkie wymagania członkini Cechu...

– Powiedziano mi, że nie potrzeba jej niczego specjalnego.

– Członkini Cechu Ree nie wymaga niczego szczególnego lecz – jak wielokrotnie panu powtarzałem – jedzenie serwowane na tym statku pozostawia wiele do życzenia, jeśli chodzi o jego wartości odżywcze i smakowe. Chasurt ma wystarczające zapasy. Wiem o tym. Sam mu je kupowałem.

Killashandra nie dosłyszała żadnego szczęku, nic. Lecz skarga kapitana została odrzucona. Killashandra spojrzała na Pendela z większym szacunkiem.

– Porządny gość, ten Francu. Pracowity. Znakomity dowódca. Nigdy nie stracił nawet jednej osoby. Idealny kandydat na dowódcę najnowszej jednostki – Pendel znowu potarł nos. Jego szeroki uśmiech sugerował, iż kapitan Francu ma również liczne wady.

– Doceniam twoją pomoc i wsparcie, Pendel, i dziękuję. Dziękuję również za piwo. Chciałabym prosić o jeszcze jedną przysługę, oczywiście jeżeli to możliwe. Czy muszę wysłuchiwać wszystkich komunikatów? – kolejny ostry dźwięk podkreślił jej słowa.

– Zostaw to mnie, Killashandro – oznajmił pewnym tonem superintendent. – Tymczasem przygotuję dla ciebie kilka racji. – Przepraszając wskazał stos pustych talerzy i kubków, piętrzący się na zasłanym wydrukami stole. Pojęła aluzję. Zabrała ze sobą półmisek z owocami i wychodząc na korytarz wesoło mrugnęła do Pendela.

Yarranin działał szybko i już niedługo po tym, jak Tik zaprowadziła ją z powrotem do ciasnej kabiny, denerwujące dźwięki ucichły.

Pojawiła się Tik, oznajmiwszy swoje przybycie uprzejmym pukaniem do drzwi. Spokojnie czekała na wezwanie. W obu rękach dźwigała paczki, owinięte zwykłym plastikiem. Jedna zawierała specjalne racje, w drugiej znajdował się zestaw owoców. Tik odwróciła wzrok od podobnych luksusów i Killashandra wyczuła, iż wszelka hojność z jej strony byłaby niemile widziana. Podziękowała zatem dziewczynie, prosząc, by przyszła po nią dopiero przed kolacją. Wiedziała, że musi pokazać się choć raz dziennie i westchnęła na myśl o podobnym nudziarstwie. Posilając się leniwie bezcennymi zapasami Chasurta, oglądała jednocześnie plan pokładowy statku. Co chwila pojawiały się na nim nowe zmiany. Killashandra nie miała pojęcia, w jakim celu je wprowadzano. Czy miał to być transportowiec, liniowiec pasażerski czy statek szkoleniowy? Specyfikacje krążownika, również ulegające stałym zmianom, nic dla niej nie znaczyły, lecz długie szeregi liczb były naprawdę imponujące.

W odpowiednim czasie została odeskortowana do mezy oficerskiej. Na szczęście zarówno Francu, jak i Chasurt nie pojawili się na kolacji, nawiązała więc rozmowę z Tallafem. Pozbawiony towarzystwa kapitana młody człowiek sprawiał zdecydowanie korzystniejsze wrażenie, choć gdy się podniecał, jego szyja nadymała się nieprzyjemnie. Przyznał, iż urodził się i wychował na planecie, a jego przygotowanie do funkcji zastępcy kapitana było bardziej teoretyczne niż praktyczne. Większość oficerów i członków załogi pochodziło z przestrzeni bądź stacji kosmicznych. W jego tonie dosłyszala cień smutku, jakby żałował różnic, dzielących go od reszty.

– Z tego, co słyszałam, wasz układ jest zupełnie odizolowany z powodu braku komunikacji – zagadnęła Killashandra.

Tallaf rozejrzał się z niepokojem.

– Rozumiem też, że krok naprzód nie jest popularny w niektórych kręgach.

Młodzieniec spojrzał na nią z podziwem i grozą.

– Daj spokój, Tallaf – prowokowała Killashandra. – Od momentu, gdy wsiadłam na ten statek, jest to dla mnie oczywiste. Zapewniam cię, nie ma w tym nic niezwykłego.

– Śpiewacy kryształu mnóstwo podróżują, prawda? – w jego oczach zabłysła lekka zazdrość.

– Niekoniecznie. To zadanie jest bardzo szczególne i wiąże się z wyprawą do szczególnego świata w szczególnych okolicznościach. – Tallaf wyprostował się z dumą słysząc taki komplement dla swego układu. – To naprawdę znaczące osiągnięcie dla tak młodego państwa. – Killashandra była oszołomiona własną elokwencją. – Zakupić jednocześnie siedemdziesiątkę ósemkę i czarny kryształ.

Przez cały czas uważnie obserwowała swego rozmówcę i doszła do wniosku, iż młody Tallaf jest zdecydowanym zwolennikiem natychmiastowej komunikacji międzygwiazdnej. Westchnęła, żałując, że nie dostarczono jej więcej danych na temat Trundoli. A może galaktografia nic ponadto nie miała?

Pojawił się Pendel, pozdrawiając stojące wokół niewielkie grupki oficerów. Dopiero w tym momencie Killashandra uświadomiła sobie, iż wraz z Tallafem stoją osobno. Uśmiechnęła się ciepło do swego towarzysza, doceniając jego hart ducha. Jednocześnie z drugiej strony zmaterializował się członek załogi, dźwigający dwa kubki yarrańskiego piwa. Tallaf dyskretnie odszedł na bok, zaś Killashandra uniosła kubek w toaście. Bez wątplenia pod jowialną maską Pendela krył się niemały autorytet.

Superintendent zachichotał.

– Dobry chłopiec z tego Tallafa.

– Jest za kryształem?

– Oczywiście. Dlatego został pierwszym oficerem podczas tej podróży. To jego pierwsza wyprawa – miły uśmiech na trwałe zagościł na twarzy Pendela, gdy ten rozejrzał się po mesie. Killashandra była pewna, iż jej towarzysz wiedział dokładnie, kto powinien się tu znaleźć, a kto nie. – Nieźle jak na taką zbieraninę. W pewnym wieku człowiek zaczyna stawiać przed sobą coraz to nowe cele – Yarranin spojrzał jej prosto w oczy ponad krawędzią kubka. – Pragnienie przygody przywiodło mnie do tego układu dwie i pół dekady temu. Trafiliem na idealny moment. Pilnie potrzebowali doświadzonego intendenta. Zaopatrzenie kosztowało ich potworne sumy. – W głosie Pendela zabrzmiało dawne oburzenie. Nagle uśmiechnął się. – Nie da się porządnie prowadzić interesów bez sprawnej łączności.

– I dlatego kryształ jest tak ważny? I ta siedemdziesiątka ósemka! – uniosła ku niemu szklanę, jakby to on sam tego dokonał. – Wy, Yarranie, jesteście znani ze swej przenikliwości. Z waszego układu pochodzi sporo śpiewaków kryształu – bardziej wyczuła, niż dostrzegła reakcję Pendela. – Och, daj spokój – ciągnęła gładko. Jeśli nie zdoła zyskać poparcia tego człowieka, to prawdopodobnie trafi w ręce Chasurta, a na to nie miała najmniejszej ochoty. – Nie wierzysz chyba w tę gadaninę o śpiewakach? – zmusiła się do bardzo przekonującego wybuchu śmiechu.

– Oczywiście, że nie – Pendel wzruszył ramionami, lecz jego uśmiechowi brakowało nieco pewności siebie.

– Szczególnie teraz, gdy mnie poznałeś, możesz stwierdzić, że śpiewacy kryształu są równie ludzcy, co reszta załogi tego statku. Albo nawet – Killashandra rozejrzała się po mesie, spoglądając na jej wystraszonego gościa – nieco bardziej.

Pendel przyjrzał się swym kolegom i skrzywił usta.

– Przynajmniej potrafię docenić porządną trunek – ciągnęła Killashandra, tłumiąc w duchu niechęć i rozbawienie. Pendel nie był wcale takim kosmopolitą, za którego lubił uchodzić, choć w zestawieniu z innymi Trundolami sprawiał wrażenie świetnie poinformowanego. W jakiś sposób będzie musiała utrzymać pomiędzy nimi przyjacielski dystans. – Doceniam też ich wysiłki – stwierdziła, ponownie spoglądając po sali.

– Podobnie jak Cech Heptycki – Pendel odzyskał swój zaraźliwy optymizm. – Nikt z nas jednak nie spodziewał się, iż to śpiewak kryształu dokona instalacji.

– Federacja Planet Rozumnych ma swą własną listę priorytetów. Nie nam zastanawiać się nad tym – Killashandra nie pamiętała, skąd pochodziło ostatnie zdanie, lecz w tym wypadku zdawało się świetnie pasować.

Na szczęście pojawiły się wreszcie parujące półmiski i tace. Killashandra zauważyła, że jedynie ona i Pendel otrzymali bardziej zjadliwe dania.

Pod nieobecność surowego kapitana Francu Killashandra zdołała wciągnąć do rozmowy większość starszych oficerów. Choć młodszy podoficerowie byli zbyt nieśmiali, by się odezwać, czuła, że słuchają każdego słowa i dokładnie wszystko zapamiętują. Nadal byli podatni na wpływy i gdyby tylko udało jej się wyrzucić na nich odpowiednie wrażenie i dzięki rozumnie dozowanym pochlebstwom zachować przychylność Pendela, zdziałała tu więcej, niż przewidywał kontrakt. A Trundole będą potrzebowali więcej kryształu.

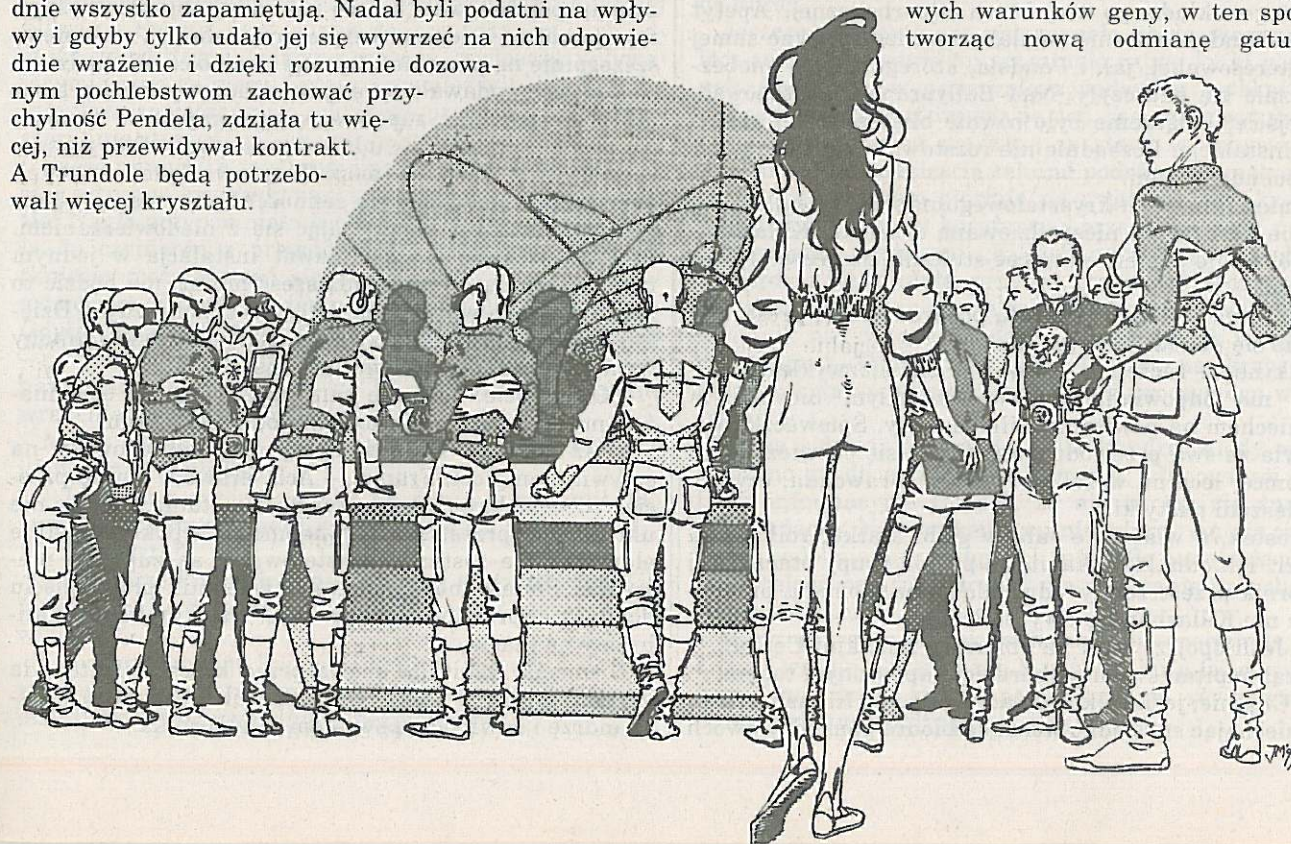
Tej nocy, gdy wyciągnęła się na przeraźliwie twardej koi, raz jeszcze rozważyła swój efektowny wieczorny występ. „Kryształowa kukulka”, „krzemowy pajak”. Tak Maestro Valdi nazwał śpiewaków kryształu. Teraz wydało jej się, że już wie dlaczego: chodziło o instynkt przetrwania symbionta. I, biorąc pod uwagę podświadomą reakcję Pendela na jej osobę, pojęła również dlaczego symbiont pozostał tajemnicą zawodową. Istnieją w końcu gorsze zagrożenia niż zapewnienie przetrwania gatunku, który płacił godziwy czynsz za swe utrzymanie.

Rozdział XII

Killashandra w pełni wykorzystała następnych pięć dni. Tik i Tak prowadziły ją na spacer wokół krążownika, ona zaś wiele z nimi rozmawiała, od czasu do czasu wspominając od niechcenia, jak ekscytująca jest jej praca i jakiego wymaga wysiłku. Krzemowy pajak przygotowuje sobie kokon do snu podczas Przejęcia. Kilka razy pomyślała nieprzychylnie o Cechu i Lanzeckim. Jak mogli wysłać ją pomiędzy zupełnie niedoinformowanych Trundomoux i nie uprzedzić, iż są oni do tego stopnia zacofani?

Często słuchała rozmów podoficerów, kiedy tylko jej obecność przestawała ich paraliżować. Przysłuchiwała się też ogólnym dyskusjom i dobrodusznym kłótniom robotników. Dzięki temu dowiedziała się sporo na temat wspólnie historii układu Trundomoux i przestała nawet w myślach nazywać jego mieszkańców Trundolami.

Układ przyciągał wielu niespokojnych łowców przygód, tak jak kiedyś Pendela. Część z nich, fizycznie bądź psychicznie nieprzystosowana do niebezpieczeństwa, zniknęła. Pozostali mieli liczne potomstwo, z którego drogą selekcji naturalnej również odpadli najsłabsi, choć część z nich znalazła zatrudnienie na względnie bezpiecznych większych stacjach górniczych. Drugie pokolenie przetrwało z kolei zagrożenia, towarzyszące trudom oddzielania kawałków rudy uranowej od macierzystej skały, ekspediovania ich na orbitę i kierowania w długie szeregi zasobników. Owe rogate dusze przekazały dzieciom w spadku swe zaadaptowane do miejscowych warunków geny, w ten sposób tworząc nową odmianę gatunku



ludzkiego. Ten układ był na swój sposób równie oryginalny jak Ballybran, warunki przyjęcia do wspólnoty podobnie rygorystyczne, a szkolenie pracowników – niezwykle dokładne.

Pewnej nocy, zonglując w myślach elementami wstępnej selekcji – niebezpieczeństwa otwartej przestrzeni kontra testy sprawności fizycznej na Shankillu – Killashandra popadła w filozoficzny nastrój. Galaktyka to nie tylko satelity, okrążające swe płomienne słońca, ale też skomplikowane metafizyczne związki dusz. W tej chwili właśnie ona stanowiła pomost między dwoma systemami gwiazdowymi i całkowicie odmiennymi mentalnościami. Musi wykorzystać urok jednego świata, by przetrwać w drugim.

Trundomoux wykształcili już kilka własnych tradycji, między innymi wieczorną przysięgę oficerów, kult wody, lekceważenie śmierci, dziwny brak zaufania do produktów „obcych” cywilizacji. Killashandra doszła do wniosku, iż ta ostatnia cecha stanowiła przyczynę dzwicznych zmian, wprowadzanych na statku. Później, już po obejrzeniu materiałów dotyczących stacji wydobywczych i konstrukcji przestrzennych, zrozumiała dlaczego były one konieczne. W sensie kosmicznym Trundomoux stale przystosowywali się do swego wrogiego środowiska. Jednocześnie zaś twierdzili z uporem, że żaden inny układ, włączając w to jej własny, nie ma im do zaoferowania nic pożytecznego, czego nie można by ulepszyć.

Killashandra słuchała też subtelniej wyrażanych opinii co do sensu zakładania natychmiastowej łączności międzygwiazdowej. Niektórzy ludzie podchodzili sceptycznie do całej sprawy i uważali, że kryształ nie będą działać. Miało to być związane ze szczególną cechą układu Trundomoux, który utrzymywałby ich w izolacji. Inni sądzili, iż zakup kryształów to szokująca strata czasu, wysiłku i cennego kredytu w metalach. Linia podziału przebiegała w poprzek grup wiekowych, przedstawicieli pierwszego i drugiego pokolenia, a nawet przybyszów spoza układu, zatrudnionych na specjalnych kontraktach.

Tymczasem krążownik szybko zbliżał się do swego oczystego układu po trajektorii hiperbolicznej. Apetyt Killashandry znacznie zmalał, ku uldze zarówno samej zainteresowanej, jak i Pendela, którego zapasy niebezpiecznie się skurczyły. Nad Ballybranem następowało Przejście; Połączenie było równie bliskie, co jej pierwsza instalacja. Rozsądnie nie rozstawiała się z tabletkami pobudzającymi.

Zmiana dźwięku kryształowego napędu zbiegła się w czasie z pierwszą, niespodziewaną drzemką. Killashandrze obudziło dopiero natrętne stukanie do drzwi. To była Tik.

– Kapitan Francu przesyła pozdrowienia i prosi, aby udała się pani ze mną na mostek.

Tik nagle zaczęła zachowywać się niezwykle oficjalnie, nie odpowiadając nawet zwykłym nieśmiałym uśmiechem na powitanie Killashandry. Śpiewaczka podążyła za swą przewodniczką. Czuła się odświeżona po drzemce, lecz na wszelki wypadek sprawdziła, czy ma w kieszeni pastylki.

Mostek, a właściwie sala w głębi statku, roił się od ludzi. Tik odnalazła kapitana pośród grupy otaczającej zbiornik przestrzenny, odwołała go na moment, przekazała mu Killashandrę i wycofała się.

– Jeśli spojrzysz pani na zbiornik, członkini Cechu... – zaczął kapitan swym najbardziej napuszczonym tonem.

– Chętnie, jeśli tylko zdołam – odparła Killashandra i uśmiechając się słodko wcisnęła biodro pomiędzy dwóch

mężczyzn. Następnie energicznym ruchem odsunęła ich na boki i sama zajęła pozycję obserwacyjną. Pozostawiła między sobą a Francu jednego oficera, rzucając mu uspokajające spojrzenie. – Ach tak. Fascynujące. – Widok naprawdę ją zachwycił, chciała jednak sprawić wrażenie osoby, dla której wizyta na mostku i zbiornik przestrzenny to nie pierwszorzędna. Krążownik stanowił maleńką plamkę, zdążającą spoza orbity najdalszej planety w samo serce układu. Mrugające światełka oznaczały stacje wydobywcze w pasmach asteroidów; dwa jasne punkty to bazy księżycowe. Planeta, czwarta licząc od słońca, lśniła najjaskrawiej, mimo że jako ostatnia została zasiedlona przez mieszkańców tego ciężko pracującego układu.

– Zaczynamy redukcję prędkości, członkini Cechu, jeśli nie zauważyła pani zmiany napędu...

– Śpiewacy kryształu są niezwykle wrażliwi na działanie kryształowego napędu, kapitanie. To cecha zawodowa.

Francu zacisnął zęby. Nie przywykł, by ktokolwiek mu przerywał.

– Poruszamy się po kursie hiperbolicznym, który przecina orbity dwóch stacji wydobywczych. Same stacje będą musiały zejść z kursu, aby się z nami spotkać.

– Czasami postęp bywa kłopotliwy.

Francu rzucił jej wrogie spojrzenie.

– Bazy księżycowe nie przedstawiają sobą specjalnego problemu, choć dotarcie na Terris będzie wymagało dłuższego lotu promem...

– Znacznie trudniej zapewne przyjdzie panu dotrzeć do planety, prawda? – Killashandra wskazała palcem.

– Bynajmniej – tym razem to Francu okazał lekceważenie. – Zwykła kwestia wyhamowania, wykorzystania ciężenia planety i słońca, odpowiedniego odbicia i jesteśmy na nowym kursie.

– Bardzo sprytne – Killashandra z trudem stłumiła niechęć. Dlaczego nawet najprostsze wyjaśnienia tego człowieka budziły w niej najgorsze instynkty?

– Musi pani zrozumieć, członkini Cechu, jak napięty jest nasz plan lotu. Poinformowano mnie, iż instalacja jednego kryształu nie trwa dłużej niż sześć minut. Będziemy potrzebowali każdej sekundy, aby móc dostarczyć panią na miejsce i bezpiecznie zabrać z powrotem, szczególnie na planecie. Pojmuje pani, o co mi chodzi?

– Zawsze wydawało mi się, że w fachowych rękach sama procedura jest zupełnie prosta, kapitanie Francu. Na pewno wszystko się uda. – Sześć minut. Dali jej spory margines czasu – a może Trag uwzględnił w swych obliczeniach nadciągającą senność? Spojrzała na zbiornik przestrzenny, uśmiechając się z niedowierzaniem. Problem w tym, że jeśli nawet instalacja w jednym miejscu zajmie jej mniej niż sześć minut, nie będzie to miało żadnego wpływu na dalszy rozkład jazdy – Dzięki panu, kapitanie. Czy mogę otrzymać uaktualniony wydruk przed przybyciem na miejsce?

– Oczywiście. Zostanie pani uprzedzona na osiemnaście minut przed każdorazowym odlotem promu.

– Aż tyle? – Killashandra znów zareagowała na sztywny ton głosu Francu. – Ach, prawda. Muszę przecież odebrać kryształ. Naprawdę, kapitanie, nikt go nie ukradnie w przestrzeni Trundomoux, a póki wszystkie elementy nie zostaną zainstalowane, są zupełnie niegroźne. Śmiało można umieścić pojemnik przy wejściu do śluzy i porządnie zabezpieczyć. Dzięki temu zyskaliśmy na czasie,

W umyśle kapitana obawa przed kryształem toczyła bój ze względami czasowymi. Ukłonił się sztywno Killashandrze i odwrócił z powrotem do zbiornika.

– Zbliżenie na pierwszy cel i podajcie poprawkę kursu.

– Jak daleko do pierwszego celu, kapitanie?

– Pięć godzin, sześć minut i trzydzieści sześć sekund, członkini Cechu.

Killashandra odeszła od zbiornika, jej miejsce natychmiast zajęli poprzedni obserwatorzy. Skinęła na Tik i dziewczyna z ogromną ulgą wyprowadziła ją z mostku.

Chętnie zostałaaby, aby przyjrzeć się zmianie kursu krążownika i podejściu do pierwszej stacji górniczej. Cały manewr wymagał olbrzymiej precyzji, biorąc pod uwagę cztery – bądź pięć, jeśli uwzględnić obsesję kapitana na punkcie czasu – wchodzące w grę wymiary.

Sześć minut, podczas których miała ustalić albo zmienić opinie całego układu. Sześć minut razy pięć – to dawało jej dokładnie pół godziny czasu galaktycznego. Killashandra uśmiechnęła się do siebie. Układ Trundomoux miał już własne tradycje. Doda do nich teraz widowsko międzygwiazdowe. Zmieni plany Francu – zamiast ukradkowego prześlizgiwania się z miejsca na miejsce urządzi Trundomoux najpiękniejszy spektakl w ich życiu – od tej pory będą mogli rozmawiać między sobą. Z pewnością należy odpowiednio uczcić podobne wydarzenie. Sześć minut to niewiele czasu. Sama dopilnuje, by wystarczyło do jej celów. Powstaną nowe legendy o śpiewakach kryształu.

Ubrania Trundomoux były jaskrawe, przetykane metalowymi włóknami, które odbijały choćby najsłabsze światło. Nawet kombinowany ochronny mieniący się od barw, szokujących oranżów i płomiennego różu. I choć w oczach Killashandry cała ta feeria była trudna do wytrzymania, wychowane w przestrzeni pokolenia Trundomoux już dawno uznały ją za pożyteczną i piękną.

Podczas gdy statek schodził ku pierwszemu miejscu przeznaczenia, stacji wydobywczej nazwanej Copper, Killashandra przygotowała swój kostium. Czarny, odpowiadający barwie kryształu. Czarny i zwiewny, aby dostatecznie wyróżniał się pośród kolorowych, obcisłych strojów Trundomoux. Pożałowała, że nie ma z sobą choć niektórych kosmetyków, pozostawionych w studenckiej kłitce na Fuerte. Jest jednak dość wysoka, by i tak odcinać się od tłumu. Odziana w czerń, z włosami spływającymi luźno na plecy. Fryzura również odróżniała ją od członków społeczeństwa oddanego pracy w przestrzeni, starannie strzygąc albo goląc swe włosy.

Sześć minut! Ta myśl nie dawała jej spokoju. A przecież sztuczne kryształy zakładała w dużo krótszym czasie! Nagle przypomniała sobie – tym razem będzie miała do czynienia z prawdziwym kryształem. Jego dotknięcie może okazać się zgubne. Może powinna być wdzięczna Francu za ten precyzyjnie określony plan. Gdyby nawet wpadła w trans, mogła liczyć na kapitana – na pewno natychmiast go przerwie. Nie wolno jej jednak poddać się kryształowi. To zniszczyłoby zupełnie wrażenie, jakie zamierzała wyrzucić.

Miała sporo czasu, żeby się tym martwić, wreszcie jednak zjawił się Tallaf.

– Ładownik gotowy i czeka na panią – oznajmił niezwykle oficjalnym tonem, stając w pozycji zasadniczej.

– A kryształ?

Tallaf przełknął ślinę, unikając jej wzroku, choć Killashandrze wydało się, iż młody oficer jest raczej rozba- wiony.

– Superintendent Pendel przeniósł pojemnik do śluzy, aby był tam gotów na pani przybycie. Oczywiście pojemnik został odpowiednio zabezpieczony.

I rzeczywiście. Strzegły go również dwa rzędy żołnierzy, którzy w ciasnej służbie starali się znaleźć jak najdalej od kryształu. Dno i boki pojemnika zostały bezpiecznie przymocowane do pokładu, wierzch natomiast rozpieczętowano. Jeden ze strażników miał za pasem pistolet do nakładania pieczęci.

Killashandra ruszyła naprzód, uważając, by nie zaplać się w długą, powiewną spódnicę.

– Otwórzcie to – poleciła w przestrzeń. Po chwili wahanie Pendel wykonał jej rozkaz, ukradkiem do niej mrugając.

Ku ogromnej uldze Killashandry przed spakowaniem każdy z pięciu kryształów został spowity w ochronny kokon. Nie musi brać w rękę surowego kryształu, póki nie dotrze na miejsce. Uniosła niewielki pakunek i znów poczuła ulgę. Kryształ wiedział, że to ona, ale nie spieszył się. I był to prawdziwy kryształ. Przez jedną straszną sekundę ogarnęła ją obawa, iż, dzięki szalonnemu zbiegowi okoliczności, spakowano omyłkowo sztuczne bryły.

Uniosła pakunek prosto przed sobą w wyciągniętych rękach i powędrowała do ładownika. Gdy tylko usiadła na wyznaczony fotel, wszyscy wokół niej zaczęli strasznie się śpieszyć: zapięli jej pasy, zajęli własne miejsce, śluzą zasunęła się z hukim.

Przyśpieszenie wcisnęło ją w siedzenie.

– Czy jesteśmy spóźnieni, Tallafie? – spytała.

– Nie, proszę pani, idealnie mieścimy się w czasie.

– Jak daleko od śluzy stacji znajduje się sala komunikacyjna?

– Dokładnie pięć minut i dwadzieścia sekund.

– W nieważkości? – Jej suknia w nieważkości wyglądała idiotycznie. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała?

Tallaf spojrzął na nią ze zdumieniem.

– Wszystkie jednostki poza najmniejszymi bojami de- tekcyjnymi mają własną grawitację, proszę pani.

Ładownik odpalił rakiety hamujące. Siła odrzutu ponownie wcisnęła pasażerów w fotele.

– Myślałam, że nie mamy opóźnienia.

– Owszem, ale musimy wprowadzić pewne poprawki do kursu.

Jeszcze raz statkiem wstrząsnęło nagle szarpnięcie, lecz samo dokowanie przypominało raczej lekki pocałunek. Załoga znów pracowała z podwójną szybkością i Killashandra, zaraziwszy się ich tempem, wstała, po czym wkroczyła na pierwszą ze stacji wydobywczych. Pięć minut i dwadzieścia sekund podróży wewnątrz stacji Copper polegało głównie na gwałtownych skrętach wzdłuż wijących się korytarzy i przeskakiwaniu ponad ochronnymi grodziami. Killashandra mogła z dumą stwierdzić, iż zdołała przebyć trasę bez jednego potknięcia. Cały czas niosła przed sobą kokon z kryształem tak, aby wszyscy mogli go zobaczyć. A widownię miała liczną. Tłumy ludzi gromadziły się na skrzyżowaniach korytarzy, aby być świadkami uroczystego wydarzenia.

Co za szkoda, pomyślała Killashandra, kiedy wprowadzono ją do sali komunikacyjnej, stanowiącej centrum informacyjne Copper, że nie tu ma się znaleźć główne łącze. Na tym księżycu nie zdarzy się nic ciekawego, podobnie na następnych, póki nie nadejdzie chwila instalacji ostatniej bryły i nie powstanie natychmiastowe połączenie.

Mimo wszystko jednak czuła na sobie spojrzenia, ciekawe i wrogie. Skierowano ją wprost ku miejscu instalacji. Znajdowało się na podwyższonym zewnętrznym poziomie – znakomity punkt strategiczny.

Killashandra wspięła się na niskie schody, rzuciła okiem na obejmy, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, po czym odwróciła się ku środkowi sali. Zdjęła plastyczny kokon z kryształu i uniosła nad głowę mętną, nieprzejrzystą bryłę. Usłyszała westchnienia, gdy zebrani po raz pierwszy ujrzeni to, przez co zadłżyli swój cały układ gwiazdny. Wśród ludzi podniósł się szmer, lecz w tym momencie Killashandra poczuła, jak kryształowy blok rozgrzewa jej się w dłoniach, przybierając lśniąca czarną barwę, od której wzięła się jego nazwa. Bryła poczęła wibrować jej w rękach, zanim jednak Killashandra zdążyła wpaść w trans, obróciła się gwałtownie i złożyła kryształ na wcześniej przygotowanym miejscu. Boczne uchwyty poruszyły się lekko pod delikatnym naciskiem jej dłoni. Z kolei założyła górną obejmę i, położywszy palec na nadal ciemniejącym kryształ, ostrożnie zwiększała nacisk. Kryształ zaczął wpadać w rezonans, drgał pod jej palcem, wywołując dławienie w gardle. Z całej siły zwalczała pragnienie, aby pogłodzić bryłę i gołymi rękami dokończyć instalację. Jak oparzona, oderwała dłoń od pięknego kryształowego bloku. Wyjęła niewielki młoteczek i postukała w kryształ. Jego czysty głos zabrzmiał donośnie w ciszy, która nagle zapadła w sali.

Wysoko unosząc głowę, Killashandra wymaszerowała z sali. Tallaf musiał podbiec, aby wysunąć się przed nią i wskazać drogę wśród licznych zakrętów i skrzyżowań.

Z każdym krokiem coraz bardziej oddalała się od kryształu i jej ciało przeszył nagle towarzyszący rozstaniu ból. Jeszcze jedna drobna kwestia, której nikt wcześniej z nią nie przedyskutował: jak trudno pozostawić własny kryształ.

Krótką jazdą z powrotem na krążownik złagodziła ból. Podobnie jak senność, która z wolna ogarnęła Killashandrę. Nie mogło to być zmęczenie po krótkim przebież przedstawienu. Nie, to musi być senność, przed którą ją ostrzegano. Połączenie było bardzo bliskie. Na szczęście udało jej się zachować świadomość do chwili, gdy dotarła do własnego pokoju.

- Tik, nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano aż do przybycia na następną stację. Zamorduję każdego intruza! Zrozumiano? Żeby się upewnić, przekaz też moje rozkazy Pendelowi.

- Tak jest, proszę pani - Tik można było zaufać, zaś Pendel miał sporą władzę.

Killashandra osunęła się na twarde łóżko, naciągnęła na siebie cienką kołdrę i zasnęła.

Wydawało się, iż minęła zaledwie chwila, gdy rozległo się walenie do drzwi i zaniepokojony głos Tik wezwał ją grzecznie, lecz stanowczo.

- Już idę. Czy dotarliśmy do następnej stacji? - połąknęła środek pobudzający i zmusiła się, by szeroko otworzyć oczy. Chciała wyglądać na w pełni rozbudzoną.

Na zewnątrz stał Tallaf, trzymając w dłoniach pełną jedzenia tacę. Wyniosłym gestem poleciła mu ją odnieść.

- Musisz coś zjeść, Killashandro - nalegał młody oficer. Z troską sprawiło, iż zapomniał o wszelkich formalnościach.

- Czy jesteśmy już przy następnej stacji?

- Najpierw jedzenie.

Sięgnęła po yarrańskie piwo, starając się nie okazać obrzydzenia, jakie wzbudził w niej zapach posiłku, który jeszcze niedawno uznawała za zupełnie kuszący. Nawet piwo nie smakowało tak, jak powinno.

- Zabiorę to do pokoju - oznajmiła, zasuważąc drzwi i zastanawiając się, czy mdłości stanowią wynik działa-

nia tabletki, piwa, symbionta czy nerwów. Wbrew wszelkim zasadom wykorzystała wodę pitną i obmyła sobie twarz. Efekt był zbawienny. Bez chwili wahania wylała yarrańskie piwo do toalety. Pendel nie musi o tym wiedzieć.

Tallaf ponownie zastukał do drzwi. Tym razem była już przytomna; środek pobudzający zaczął działać. Ruszyła naprzód, pełna sztucznej energii i świadoma faktu, iż nie tylko załoga statku obserwuje ją w drodze do służby.

Pendel był na miejscu. Otworzył pojemnik i odstąpił krok w tył, robiąc jej miejsce, by mogła wydobyć kryształ. Trzymając ciężar przed sobą w wyciągniętych dłoniach Killashandra właśnie składała sobie gratulacje za bezbłędne odgrywanie roli, kiedy potknęła się lekko o próg ładownika. Najlepiej będzie, jak odrobinę skróci spódnicę z przodu, i to koniecznie przed przybyciem do bazy księżycowej. Nikt jednak nie zauważył jej niezręczności. Zasiadła w fotelu, gotowa do podróży.

Stacja Iron była większa od stacji Copper, lecz równie chaotycznie zaplanowana, przynajmniej jeśli chodzi o chodniki, grodzie i korytarze.

- To trwa dłużej niż pięć minut dwadzieścia sekund - zaprotestowała, zastanawiając się, jak długo działa lekarstwo.

- Już jesteśmy na miejscu.

Sala komunikacyjna wyraźnie zasługiwała w opinii projektantów na większą przestrzeń niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie stacji. A im większa stacja, tym więcej ludzi zbierało się w miejscu instalacji. Killashandra uwolniła kryształ z kokonu, uniosła go wysoko tak, by mogli go ujrzeć wszyscy zgromadzeni, i sprawnie umieściła na miejscu, nim zdążył opanować jej umysł i odwieść od obowiązków. A może środek, który zażyła pomógł jej przewyciężyć działanie kryształu? Niezależnie od wszystkiego Killashandra nadal czuła ból towarzyszący ostatecznemu rozstaniu z tym odłamkiem ciemniejącego kwarcu.

Lekarstwo pozwoliło jej dojść o własnych siłach do kabiny. Z wdzięcznością przyjęła zaofiarowane przez Pendelę piwo, lecz w samotności kwatery natychmiast je wylała. Zużyła dzienną rację wody, by zaspokoić pragnienie i zdołała nawet dotrzeć do łóżka, nim ogarnął ją sen.

Kiedy Tik zbudziła ją przy pierwszym księżycu, świadomość powróciła znacznie wolniej. Jedna tabletka dodała jej sił podczas lotu, druga pozwoliła dokonać instalacji, lecz przy wysiadaniu na krążowniku Tallaf musiał ją obudzić. Pendel nalegał, żeby coś zjadła, choć Killashandra z trudem otwierała oczy. Przełknęła nieco zupy i kawałek soczystego owocu, nagle jednak zaschło jej w gardle, a skóra napięła się wzdłuż kości odpowiadających głuchym bólem na zew kryształu, który już na zawsze pozostał na pozbawionej powietrza powierzchni księżycy.

Trzy tabletki umożliwiły jej dokonanie czwartej instalacji, podczas której musiała w pewnym momencie ukradkiem zażyć jeszcze jeden proszek. Odruchowo odgrywała rolę najwyższej kapłanki, nieświadoma setek otaczających ją twarzy, oczu, śledzących każdy jej ruch, oraz zdumionych westchnień, gdy czysty głos kryształu rozległ się w sali.

Jedno mogła powiedzieć na temat Trundomoux: kiedy już raz znaleźli funkcjonalną strukturę, trzymali się jej. Wszystkie sale komunikacyjne były dokładnie takie same. Killashandra umiała trafić na ślepo w miejsce, gdzie miał być zamontowany kryształ. W drodze powrotnej wciąż potykała się o spódnicę, której nie zdąży-

ła skrócić. Nagle Tallaf ujął ją pod ramię. Skoncentrowała się wyłącznie na utrzymaniu natchnionego uśmiechu, aż wreszcie dotarła do ładownika, gdzie z ulgą opadła na fotel.

- Dobrze się czujesz, Killashandro? - spytał niespokojnie Tallaf.

- Po prostu jestem zmęczona. Nie masz pojęcia, jak trudno jest rozstać się z kryształami, które sam wydobyłeś. Płacząc, kiedy je zostawiasz. Pozwólcie mi spać.

Gdyby nie ta przypadkowa uwaga, Killashandra musiałaby zapewne znieść zabiegi Chasurta, bowiem jej okresy żywotności, przeplatane śpiączką, nie pozostały niezauważone. W dodatku przeciwnicy zakupu kryształów nie byli zbyt zachwyceni widokiem niewielkich, pozbawionych jakiegokolwiek blasku brył, otrzymanych w zamian za ogromny ładunek metali wysokiej jakości.

Tallaf natychmiast po tym, jak bezpiecznie odprowadził Killashandrę do jej kabiny, zamienił kilka słów z Pendelem. Pendel rozmówił się dyskretnie z innymi i nagle Chasurta wezwano do zbadania niegroźnej epidemii zatruc pokarmowych. Następnie musiał postawić diagnozę w dwóch przypadkach wymagających długich i skomplikowanych testów, po czym został zaproszony do zwykłej, radiowej konsultacji dotyczącej ofiary poważnych oparzeń przestrzennych.

Killashandrę zbudzono, aby mogła odbyć ostatni, najdłuższy lot na powierzchnię planety, gdzie miała dokonać ostatecznej instalacji. Długi sen podzielał na nią zbawiennie i choć z niepokojem stwierdziła, iż nie pozostało jej już zbyt wiele tabletek pobudzających, uznała, że poradzi sobie bez nich. Przyjęła dostarczone przez Pendelę owoce i napój z glukozą, choć zdecydowanie wolałaby wodę, nawet tę odzyskiwaną - jedyną dostępną na krążowniku.

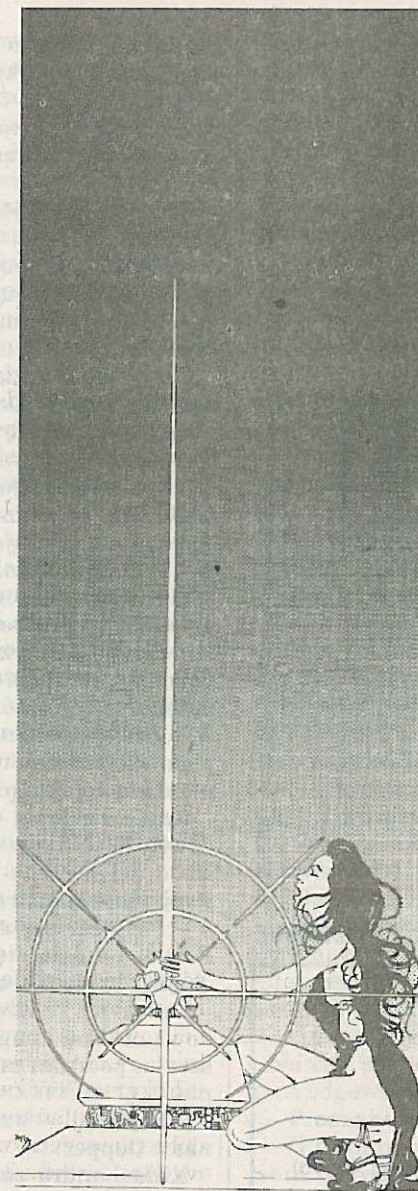
Czuła pewność, że sprostą zadaniu, póki nie ujrzała pojemnika z kryształem. Nagle uświadomiła sobie, iż ten największy blok będzie stawiał najsilniejszy opór. Nie śmiała trzymać go na kolanach przez całą drogę.

- Zanieście pojemnik na pokład. W ten sposób kryształ-matka będzie bezpieczniejszy - poleciła krótko. Wsiadła do ładownika, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować i wydać inne rozkazy.

Pendel i Tallaf pospiesznie nakazali strażnikowi, by postąpił zgodnie z jej zaleceniem i pojemnik znalazł się na pokładzie statku, zabezpieczony i umocowany, zanim jeszcze przybył kapitan Francu. Kapitan przystanął nagle, spojrzawszy na skrzynek ze zdumieniem i wściekłością, po czym przeniósł wzrok na Killashandrę, która uśmiechnęła się uprzejmie.

- Pozostałe kryształy przewoziła pani osobiście, członkini Cechu...

- O tak, ale tym razem czeka nas dłuższa podróż, a jeśli ten blok nie zostanie bezpiecznie zainstalowany w



głównej sali komunikacyjnej, pozostałe na nic się nie zdadzą i cała wasza wyprawa okaże się całkowicie bezużyteczna.

- Kapitanie, czynnik czasu... - Tallaf wystąpił naprzód, jego twarz wyrażała lekkie zaniepokojenie.

Francu wysunął szczękę, minął kryształ i pomaszerował na rufę ładownika. Słyszała szcęk metalowych płytek, gdy zapinał pasy. Przypuszczała, że mają szczęście - w tym nastroju byłby nieobliczalnym pilotem.

Ładownik odłączył się od krążownika i przez moment jakby zawisł bez ruchu, podczas gdy macierzysty statek ustąpił mu pola. Nagle, zanim jeszcze zasłonięto ekrany widokowe, Killashandra uświadomiła sobie, że ich prom wykonał już całą robotę: krążownik skierował go na kurs, z którego nie było odwrotu.

Usiłowała zachować świadomość, lecz huk i gorąco towarzyszące wejściu w atmosferę planety wyrwały ją z kolejnej drzemki. Rozejrzała się wokół, przez sekundę zagubiona w nieznanym otoczeniu. Pospieszenie przełknęła dwie pastylki pobudzające i uśmiechnęła się pogodnie, jakby jedynie oszczędzała siły.

Ładownik zdążył już całkowicie wyhamować, nim lekarstwo w pełni zadziało. Kiedy otwarł się właz wyjściowy, Killashandra zastanawiała się właśnie, czy nie powinna zażyć jeszcze jednej tabletki.

Natychmiast pojawiła się platforma ładownicza. Ze swego miejsca Killashandra widziała potężny tłum, zebrany po obu stronach szerokiej alei, prowadzącej do wielkiego budynku, mieszczącego centrum łącz-

ności. Jego dach pokrywały anteny, dziesiątki anten, poprzekrzywianych niczym wyrzucone w niebo czapki. Czapki anten pozdrawiały właśnie ją, jej poświęcenie.

- Kryształ, członkini Cechu! - kwaśny głos Francu również przypominał jej o tym ostatecznym rozstaniu.

Otworzyła pojemnik i wyjęła kryształ-matkę, po czym odetchnęła głęboko i ruszyła w dół rampy, dzierząc go przed sobą. Zawsze najlepiej grało jej się przy pełnej widowni. Poprzednie instalacje stanowiły jedynie próby, to była premiera.

Świeże planetarne powietrze było rześkie i przesycone dziwną, przyjemną wonią. Odetchnęła głęboko. Tym razem nie przyspieszy kroku.

Z jednej strony Killashandry pojawił się Francu, z drugiej stanął Tallaf. Obaj mamrotali coś na temat koniecznego pośpiechu.

- Jak dobrze jest odetchnąć świeżym powietrzem. Moje płuca są pełne starego smrodu. Muszę oddychać.

- Musi pani iść szybciej - Francu uśmiechał się nerwowo w obliczu ogromnych tłumów, zebranych na powierzchni większej niż cały jego krążownik.

- Gdybyś mogła się pospieszyć, Killashandro. Mamy spóźnienie - szepnął z niepokojem Tallaf.

- Oni wszyscy przybyli tu, żeby zobaczyć kryształ - zaprotestowała Killashandra, jednocześnie przyspiesza-

ANDRZEJ SAPKOWSKI

OSTATNIE ŻYCZENIE



GOŚCIE

* Graham Masterton

* Robert Holdstock (laureat World Fantasy Award)
– zaproszeni przez Dom Wydawniczy „Rebis”

* Péter Kuczka

* Éva Balázs

* László Ábrán

z redakcji „Galaktiki”

– zaproszeni przez „Nową Fantastykę”

Zgłoszenia – informacje:

KOMITET ORGANIZACYJNY

POLCON '93

10-504 OLSZTYN

ul. Kościuszki 32/8

Gra strategiczna SF dla dwóch osób „POŻERACZE UMYŚŁÓW”

Dostępna tylko w sprzedaży wysyłkowej!

Zamówienia proszę składać na kartkach pocztowych
pod adresem

CEREZ s.c., 70-848 Szczecin, ul. Kostrzyńska 8

Grę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym
(cena gry 34 tys. zł + koszt przesyłki).

jąc lekko. Uniosła kokon nad głowę, usłyszała falę zaszkoczonych okrzyków i ujrzała, jak gapie zbliżają się ku niej. Czy są tu po to, by obserwować zwycięstwo, czy raczej klęskę kryształu? Ta widownia nie była przyjaźnie nastawiona. Killashandra umiała wyczuć wrogość i strach.

Podszła do wejścia budynku, nieco wyprzedzając obu pilotów.

– Musimy się pośpieszyć, członkini Cechu – oznajmił jakiś mężczyzna, ujmując ją pod ramię.

– Inaczej nie możemy zagwarantować pani bezpieczeństwa.

Usłyszała, jak za jej plecami zatrząskują się ciężkie, żelazne wrota. Dobiegający z zewnątrz przytłumiony pomruk stawał się coraz głośniejszy.

– Panowie, dawano mi już do zrozumienia, że projekt ten nie jest specjalnie popularny. Ale jedna wysłana i odebrana wiadomość przekona ich – ruchem głowy wskazała napierających na budynek ludzi.

– Tędy, członkini Cechu.

Teraz prawie już biegli i Killashandra z irytacją pomyślała, że przesadny pośpiech zrujnuje całe jej przedstawienie. Idiotyzm! Co za absurd – znaleźć się w podobnej sytuacji! Szczególnie, że znów ogarnęła ją nieprzeczona senna. Podtrzymując kryształ jedną ręką – w końcu w pobliżu nie było nikogo, komu miałyby zaimponować podczas tej gonitwy – drugą zdołała wsunąć do ust dwie kolejne pigułki.

Nagle znalazła się w głównej sali gigantycznej budowli. Krzątający się wokół technicy bardziej troszczyli się o zewnętrzne skanery niż o wydruki i wskaźniki swej własnej aparatury.

– Pośpiesz się z tym, Killashandro – nalegał Tallaf. Powoli wspięła się na podwyższenie, gdzie spoczywały obejmujące kryształ-matki.

Drżącymi ze zdenerwowania palcami zsunęła plastikową otulinę i nagle, gdy jej dłoń dotknęła nagiego kryształu, poczuła, jak ogarnia ją spokój i dziwne odprężenie.

– Szybciej! – wrzasnął Francu. – Jeśli to nie połączy nas z Copper...

Killashandra zmiażdżyła go wzrokiem, lecz gwałtowna niechęć, jaką do niego czuła, zerwała wąty czar. Teraz słyszała już zgiełk tłumu, narastające wzburzenie i złość. Nie ośmieliła się dłużej opóźniać instalacji. Ale jednocześnie nie chciała oddawać swych czarnych kryształów tym ignorantom, barbarzyńcom, społeczeństwu metalowych mózdków...

Kryształ-matka znalazł się w obejmach. Pod wpływem panującego w sali ciepła stopniowo zmienił barwę aż po głęboką, matową czerń.

– Szybciej!

– Czy coś nie tak?

– Nie działa!

– Oczywiście, że kryształ zaśpiewa – Killashandra uniosła młoteczek i uderzyła kryształową bryłę.

Potężne czyste A kryształ-matki wypełniło salę, uciśnięcie nieważną gadaninę. Killashandra stała, oszołomiona. A przeszło w wyższy dźwięk, akord pięciu kryształów, dwa F i dwa E odpowiedziały echem w czarnych ścianach. Ludzkie gardło nie może produkować akordów. Ponieważ w uszach ciągle dźwięczało jej dominujące A największej bryły, ten właśnie dźwięk buchnął z ust Killashandry, a ona sama całkowicie poddała się wstrząsowi łącza. Dźwięk zalał ją niczym ogromna fala, sama była dźwiękiem i instrumentem... Wizje, jedna za drugą, ogień w żyłach, grzmot w kościach, serce zamierające z bólu i rozkoszy tak wszech-

potężnej, iż odpowiedział każdy nerw jej ciała, każdy zwój mózgu. Kryształowy chór wprawił ją w trans jeszcze głębszy niż wtedy, po raz pierwszy, w Pasmach. Nadal podtrzymując ton, mimo bólu w płucach, nieprzywykłych do podobnego wysiłku, Killashandra znalazła się jednocześnie w salach komunikacyjnych obu stacji wydobywczych i księżyców. Rozszczepiła się na dźwięki wędrujące od jednego kryształu do drugiego, odrębne, a przecież zjednoczone. Fragment pierwszej wiadomości wysłany, i natychmiast odebrany, i na zawsze odłączony od reszty.

– Copper do Bazy, Copper do Bazy Głównej! – Znała wiadomość, bowiem słowa przepłynęły nie tylko przez kryształ, ale też i przez nią samą. Usłyszała natychmiastową odpowiedź i pełne niedowierzania okrzyki. To ona wycięła te kryształy, ona złożyła je na miejscach ich przeznaczenia i skazała na wieczny śpiew dla innych. Nikt nie powiedział jej, że ich pieśń powędruje przez nią.

– Killashandra? – ktoś jej dotknął. Krzyknęła. Tłum otaczających ją ciał zerwał niewiarygodną więź z kryształowym łączem. Upadła na kolana, zbyt wyczerpana, by płakać, za bardzo oszołomiona, by się opierać.

– Killashandra! – ktoś dźwignął ją na nogi.

Czuła, jak za jej plecami rozbrzmiewa potężna kryształowa pieśń, ona jednak już na zawsze została wykluczona z zakłętą kręgów.

– Zabierzcie ją do lądownika.

– Czy to bezpieczne?

– Oczywiście, że tak. Łączy zadziałało! W tej chwili wie już o tym cały układ!

– Tymi drzwiami, poruczniku. Będziecie musieli pójść okreśną trasą. Tłum blokuje drogę do statku.

– Nie mamy czasu, żeby krążyć.

– Przebijemy się przez tłum. Ponieście ją z przodu. Zobaczycie, jak szybko się rozstapia!

– Nie boją się chyba kobiety!

– To nie kobieta. To śpiewaczka kryształu!

Killashandra czuła, jak niosą ją poprzez gęsty tłum. Słyszała szybkie, urywane słowa i donośne, radosne wiwaty. Gdzieś w zakamarku mózgu skojarzyła okrzyki i wiwaty z oklaskami. Obecność tak wielu ludzi i to w dodatku tak blisko stała się nagle nieznośną męczarnią.

– Zabierzcie mnie stąd – szepnęła ochryple, przywierając do mężczyzny, który z desperacją unosił ją ku statkowi.

Nie odpowiedział, lecz przyspieszył kroku, dysząc ze zmęczenia. Kiedy obok zjawił się drugi mężczyzna, pierwszy ledwo zdołał uwolnić się z jej objęć.

– To opóźnienie może uniemożliwić cały manewr.

– Kapitanie, nie mieliśmy pojęcia, jakie panują nastroje. Nikt nas nie uprzedził, że zbiera się taki tłum. Już prawie jesteśmy.

– Jeśli straciliśmy okienko...

– Rozkażemy, aby przejechała nas fregata...

– Zamknijcie się i pozwólcie mi spać. Przestańcie tak szarpać...

– Spać? – oburzenie w głosie Francu na moment wyrwało ją z nieświadomości. – Ona chce spać, kiedy...

– Po prostu usiądź wygodnie w fotelu, Killashandro. Ja cię zapnę.

– Pić. Chcę pić. Cokolwiek. Wody.

– Nie teraz. Nie teraz.

– Tak, teraz! Zaszło mi w ustach.

– Kapitanie, pan pilotuje. Oto woda, Killashandro.

Zaczęła łapczywie pić. To była woda, prawdziwa woda, zimna, świeża, czysta woda, której już nikt powtórnie nie wykorzysta. Woda. Dla niej. Część wylała się

przy wstrząsach i Killashandra zaprotestowała, zlizując wilgoć z dłoni. Potężna siła odepchnęła ją od wody. Killashandra zaczęła błagać o więcej.

Ktoś ją uspokajał, póki wreszcie przygniatający ją ciężar znikł i mogła napić się tyle, ile chciała.

– Czy teraz już wszystko w porządku, Killashandro? – wydało jej się, że to Tallaf zadał jej pytanie.

– Tak. Teraz potrzebuję tylko snu. Dajcie mi spać, póki się nie obudzę.

Rozdział XIII

Budzenie stanowiło stopniowy, niezwykle powolny proces. Killashandra czuła, jak znów wstępuje w nią życie poczynając od mózgu, który przesyłał sennie bodźce do reszty ciała; znowu może się poruszać. Wykonała długą serię przeciągnięć i ziewnięć, przetykanych nagłymi przebłyskami wizji. Z początku uważała je za mikrosny, potem jednak uświadomiła sobie, że wszystkie oglądane są z jednego punktu widzenia: jej oczami. Oszołomiły ją twarze i aplauz, i światło błyszczące z pocerniałego kryształu. Przypominające orgazm uczucie w lędźwiach ostatecznie przywróciło jej świadomość. Ogarnął ją smutek. Te niby-sny stanowiły echo połączenia z kryształem.

Kryształ! Gwałtownie usiadła na łóżku, o włos unikając zderzenia z wiszącą nad nim półką. Znajdowała się na tym przeklętym krążowniku! Zerknęła na bransoletę, po czym z niedowierzaniem porównała wyświetlony czas z zegarem kabinowym.

– Trzy dni! Przespałam trzy dni! – Antona uprzedzała ją o takiej możliwości.

Killashandra opadła na łóżko, starając się rozruszać mięśnie pleców i ramion. Chyba w ogóle nie zmieniała pozycji, tak była zeszytniała.

Jej uwagę przyciągnęło ciche skrobanie w drzwi.

– Tak?

– Członkini Cechu, obudziła się pani?

Na tak postawione pytanie mogła udzielić kilku różnych odpowiedzi, rozpoznała jednak głos Chasurta.

– Proszę wejść.

– Nie śpi pani?

– Z pewnością nie odpowiadałbym przez sen. Niech pan wejdzie! – Gdy drzwi rozsunęły się, dodała: – I proszę poprosić Pendela, żeby dostarczył mi coś przyzwoitego do jedzenia.

– Ja zadecyduję, czy wolno pani jeść – oznajmił, wyciągając ku niej aparat diagnostyczny. Podobny widziała już u Antony.

– Nie tę papkę, którą serwuje się w mesie, lecz płyny i owoce...

– Gdyby tylko zechciała pani zachować spokój...

– Ależ jestem spokojna! – Killashandra poczuła, że za chwilę może jednak nie być. – Podobne okresy snu są całkowicie normalne...

– Nie udało nam się połączyć z Ballybranem, aby otrzymać instrukcje.

– Jakie instrukcje?

– Dotyczące właściwego leczenia tej przedłużającej się śpiączki.

– To nie była żadna śpiączka. Czemu nie sprawdził pan danych w waszej własnej bibliotece medycznej? Chcę coś do picia. I jedzenia.

– Jestem medtechnikiem pokładowym...

– Który nigdy nie zetknął się ze śpiewakiem kryształu i nie ma pojęcia o specyfice mojego zawodu. – Killashandra wciągnęła na siebie cechowy kombinezon, pierwszą rzecz, jaką wpadła jej w ręce. Następnie zeskoczyła z łóżka i przemknęła obok Chasurta, bezsku-

tecnie próbującego ją złapać. – Pendel! – ruszyła w dół korytarza. Nieco zaskoczyło ją, że może tak sprawnie manewrować po podobnym wyczerpaniu. Symbiont coś zabierał, ale też i wiele dawał.

– Członkini Cechu! – Chasurt ścigał ją, ale wyprzedziła go na starcie i miała dłuższe nogi.

Ponownie skręciła i znalazła się w korytarzu zaopatrzenia. Najpierw dostrzegła Tik, stojącą przy drzwiach Pendela, po czym ukazała się jego głowa.

– Pendel? Umieram z tęsknoty za yarrańskim piwem! Proszę, powiedz, że masz jeszcze jakieś owoce! I może kubek tej pysznej zupy, którą podałeś mi jakieś sto lat temu?

Nim zdążyła dotrzeć do drzwi, Pendel trzymał już w pogotowiu na wpół opróżnioną szklankę piwa i owoc. Odebrawszy mu je, precyzyjnie się pomiędzy intendentem i Tik, pozostawiając ich za sobą, aby zatrzymali Chasurta.

– Proszę, Killashandro – powiedział Pendel, stojąc tyłem do drzwi i całkowicie je blokując. Tik ruszyła naprzód i zasłoniła Killashandrę, tworząc drugą linię obrony. – Masz tu więcej owoców. Chasurcie, nie denerwuj się. Możesz pójść ze mną i dodać do jej zupy wszelkie środki odżywcze i pobudzające, jakie tylko uznasz za stosowne. I odłóż do kieszeni ten idiotyczny spray. Śpiewacy kryształu nie potrzebują zazwyczaj jakichkolwiek leków. Czy nie znasz się na niczym poza odmrożeniem próżniowym i laserowymi oparzeniami?

Pendel odciągnął medyka, gestem nakazując Tik, aby zamknęła drzwi i pozostała na straży. Killashandra skończyła piwo i wgrzyła się w owoc. Z ulgą przykneśli oczy, gdy sok i miąższ zwilżyły jej wysuszone usta i podniebienie. Jadła powoli, kierowana nieomylnym instynktem symbionta, który najlepiej wiedział, co było mu potrzebne po dłuższym poście. Z niesmakiem przypomniała sobie swój szaleńczy apetyt przed Przejściem. Na szczęście, to już była przeszłość.

– Proszę pani...

Killashandra dosłyszała delikatny szept wyłącznie dzięki temu, że w kabinie poza chrupaniem owocowej skórki panowała zupełna cisza.

– Tik? – Po raz pierwszy dziewczyna zwróciła się wprost do niej.

– Proszę pani... dziękuję za kryształ! – wyjąkała pośpiesznie Tik. – Oficer komunikacyjny pozwolił mi połączyć się z matką na Copper. Od razu. Żadnego czekania. Żadnych obaw, że coś poszło nie tak i nie będzie słyhać... Powiedział, że dzięki kryształowi mogę łączyć się z Copper, kiedy tylko zechcę! – oczy Tik były okrągłe i lekko wilgotne.

– Cieszę się, Tik, naprawdę – Killashandrze jej własna odpowiedź wydała się jakby płaska, lecz pełna szacunku i lęku reakcja Tik okropnie ją zaambarasowała.

Nagle drzwi odskoczyły i Tik ledwo utrzymała równowagę. W otworze stanął kapitan Francu. Biła z niego furia.

– Medyk poinformował mnie, że odrzuciłaś jego pomoc – małeńkie pomieszczenie nie było w stanie pomieścić jego wściekłości.

– Nie potrzebuję jego pomocy. Jestem śpiewaczką kryształu.

– Dopóki znajdujesz się na pokładzie tego statku, podlegasz moim rozkazom...

Killashandra wstała, popychając Tik na zwolniony przez siebie fotel. Jej gniew znacznie przewyższał wszystko, na co było stać Francu. Z kieszeni na udzie wyjęła kartę identyfikacyjną Cechu i podsunęła ją pod nos kapitana.

– Nawet ty musisz rozpoznać ten dokument!

W tym momencie do pokoju wszedł Pendel, niosący w dłoniach załadowaną tacę.

– Pełnomocnictwo Sesji Federacji Planet Rozumnych!

– sapnął i ładunek zadygotał mu w rękach. – Widziałem coś takiego tylko raz w życiu.

– Bez wątpienia cierpisz na rozstrój wywołany dłuższym okresem braku... – zaczął kapitan.

– Nonsens. Podaj mi tę tacę, Pendel. Dziękuję.

– Członkini Cechu, proszę mnie wysłuchać!

– Oczywiście, ale jeśli łaska będę jednocześnie jeść, ponieważ moje ciało potrzebuje pokarmu po długim odpoczynku.

– Byłaś w stanie śpiączki...

– Robiłam to, co wszyscy śpiewacy kryształu – odpoczywałam po trudnym i wyczerpującym zadaniu. Nie mam zamiaru mówić nic więcej, póki się nie pożywię.

– Niewątpliwie ucierpiał twoje władze umysłowe, skoro szantażujesz mnie pełnomocnictwem FPR tylko dlatego, że jesteś głodna – Francu aż zapłuł się ze złości.

– I posłużę się tym pełnomocnictwem, gdy tylko znajdę najbliższą stację przesiadkową.

– Masz pozostać na tym statku aż do Stacji Satelitarnej Pięciu Układów...

– Zostanę tu tylko do czasu, gdy uda mi się skontaktować z jakimkolwiek krążownikiem, promem albo wahadłowcem z najbliższego układu. I mam na to wystarczające uprawnienia. Zgadza się?

– Tak – odparł Pendel.

Kapitan zmierzył go piorunującym spojrzeniem, przez moment popatrzył na Killashandrę, niezdolny wykrztusić choć słowo. Następnie obrócił się na pięcie i pomaszrował korytarzem.

Tik obserwowała Killashandrę z pobladłą ze strachu twarzą.

– Już w porządku – powiedział uspokajająco Pendel. Oczywiście nie wspomnisz nikomu o tym, co się tu działo, nawet gdyby cię wypytywano. Nie sądzę, aby kapitan Francu miał ochotę pamiętać ten incydent.

– Jak szybko mogę opuścić ten statek? Oczywiście bez żalu do ciebie i Tik.

Pendel nachylił się nad klawiaturą i wystukał kod. Oczekiwanie trwało dłużej niż zwykle, w końcu jednak ekran ożywił się i pojawiły się na nim cztery linijki znaków.

– Ten odradzam. Hałaśliwy tankowiec, fatalne jedzenie – Pendel znów coś wypisał. Tym razem odczyt był dłuższy. – Aha. Możemy urządzić przesiadkę na niewielkiej, ale wygodnej stacji tranzytowej na selkicki statek prosto na Scorię. Normalnie nie polecałbym nikomu Selkitów, ale będziesz jedyną pasażerką w ich sekcji tlenowej.

– Wspaniale, biorę to.

– To oznacza jeszcze trzy dni u nas.

– Większość czasu i tak prześpię. Potrzebuję też dużo lekkich posiłków.

– Jest tylko jeden problem – Pendel odchrząknął i spuścił wzrok – Selkita dociera do Ballybranu pod koniec burz Przejścia. W pierwotnej wersji lądowałabyś w jakiś czas po ich zakończeniu.

– Ach, więc przeprowadzałeś wywiad na mój temat – Killashandra uśmiechnęła się szeroko.

Pendel mrugnął porozumiewawczo i podrapał się po nosie.

– Uznałem, że trochę obiektywnych informacji nie zaszkodzi.

– A zatem Chasurt stwierdził, że burze wywołały moją śpiączkę?

– Coś w tym stylu.

– Nikt nie jest tak głupi, by narażać się na wichury. Jeśli to tylko możliwe, w ogóle opuszczamy planetę. Jeśli nie, przesypiamy je.

– Dotarli do mnie plotki, że śpiewacy kryształu hibernują.

– Mniej więcej.

– No, no. Jeszcze jedno yarrańskie piwo, Killashandro?

Nigdy nie dowiedziała się, co tak usatysfakcjonowało Pendela, z przyjemnością jednak wypili razem parę piw, póki znów nie ogarnęła jej senność. Pendel odprowadził ją do kabiny, gdzie Tak trwała na posterunku. Załatwiono niewielkie, lekko strawne posiłki i Killashandra położyła się do łóżka, w duchu błogosławiąc przezorność, która zaopatrzyła ją w pełnomocnictwo FPR. Co takiego chciał z nią zrobić Francu, gdyby udało mu się podporządkować ją sobie? Oddałby ją Chasurtowi, aby sprawdził, dlaczego śpiewacy kryształu różnią się od innych?

Niespecjalnie zachwycała ją perspektywa spędzenia następnych kilku dni na tym statku, mogła jednak odprężyć się i wypocząć, teraz, gdy miała już za sobą napięcie towarzyszące instalacji. Trag będzie z niej zadowolony. Nawet jeśli pewna część Trundomoux nie podzielała jego uczuć. Szkoda.

Mimo wszystko jednak obdarzyli ją prawdziwą owacją. Wykończyła się, ale zapoczątkowała nową tradycję. Jej występ podczas instalacji planetarnej przemienił wścieklą tłuszcę w rozentuzjasmowany tłum. Tak, jako śpiewaczka kryształu spisała się całkiem dobrze.

Czy kiedykolwiek jeszcze uda jej się doświadczyć tego niewiarygodnego kontaktu z połączonymi fragmentami czarnego kryształu? Tego wszechogarniającego uczucia, jakby nagle zjednoczyła się ze wszystkimi czarnymi kryształami w Galaktyce?

Zadrzała w bolesnym pożądaniu i pośpiesznie porzuciła tę myśl. Będą jeszcze takie okazje, teraz wiedziała to na pewno. Tymczasem, gdy tylko ucichną wichury, będzie mogła znów śpiewać kryształ.

Śpiewać kryształ? Śpiewać?

Killashandra zaczęła się śmiać, wspominając, jak wmaszerowała do planetarnego ośrodka komunikacji, środkiem sceny, a wokół kłębił się wściekły motłoch. Ona sama, w roli najwyższej kapłanki, dopełniła rytuału, który połączył dotąd odizolowane elementy Trundomoux! Występ solowy w najlepszym tego słowa znaczeniu. I grała przed publicznością, złożoną z całego układu! Cóż za otwierającą nutę zaśpiewała wraz z kryształem! Co za owacje! Echa z odległych satelitów. Osiągnęła dokładnie to, o czym marzyła, czym nieraz chętnie się przed swymi rówieśnikami na Fuerte. Była pierwszą śpiewaczką w tym systemie i być może jedyną śpiewaczką kryształu, jaka kiedykolwiek pojawi się w Trundomoux.

Killashandra roześmiała się na tę ironię losu. A potem zapłakała, ponieważ nie było nikogo poza nią samą, kto mógłby dowiedzieć się, że spełniła swą ambicję.

Killashandra Ree była śpiewaczką w prawdziwym sensie tego słowa. Prawdziwą śpiewaczką kryształu!

Repryza

– Skąd się tu wzięłaś tak szybko? – spytał ostro operator śluzy, gdy tylko weszła – Brrrr! Jakim transportem przyleciałaś? Okropnie śmierdzisz.

– Selkickim – odparła ponuro Killashandra. Na statku, w pomieszczeniach przystosowanych przez

Selkitów dla potrzeb jej gatunku zdążyła już przywyknąć do swej woni.

– Istnieją pewne statki, którymi się nie lata. Szkoda, że cię nie uprzedzili – palcami szczególnie zatkał nos.

– Zapamiętam, możesz być pewien.

Ruszyła w kierunku tymczasowych kabin Cechu.

– Hej, nie ma wolnych miejsc. Wiesz przecież, że burze Przejścia jeszcze nie ucichły.

– Wiem, ale dostanie się tutaj było ważniejsze niż przeczekanie pogody.

– Nie, jeśli musiałaś podróżować z Selkitami. Ale mamy mnóstwo wolnych kabin w normalnej części – mężczyzna kciukiem wskazał wejście, w które jakże naiwnie wkroczyła kilka miesięcy temu. – Jak na razie żadnych przybyszów. A to, gdzie się zatrzymasz, nie ma wpływu na twój kredyt, wiesz przecież.

Killashandra podziękowała mu i przekroczyła błękitne, otwierające się na podobieństwo żrenicy przejście i poszła w stronę hoteliku. Próbowala przypomnieć sobie dziewczynę, jaką wtedy była, i nie mogła zrozumieć, jak wiele zdążyło wydarzyć się od tamtej chwili. Łącznie z jednoczesnym zaspokojeniem dwóch ambicji.

Smród, który z siebie wydzielała, zwrócił uwagę Forda, nadal siedzącego w recepcji.

– Ależ ty jesteś śpiewaczką! Nie powinno cię tu być – zmarszczył nos i zadrżał, obлизując wargi. – Śpiewacy mają własne kwatery.

– Wszędzie pełno. Po prostu daj mi pokój i pozwól, że się odkażę.

Killashandra podeszła do lady, aby przycisnąć przegub do płytki.

– Nie, nie, to nie będzie konieczne! – Ford podał jej klucz, wyciągając rękę. Wyrażnie starał się trzymać jak najdalej.

– Wiem, że ze mną źle, lecz czy aż tak?

Recepcjonista zaczął mamrotać przeprosiny, ale Killashandra podążała już za wskazaniem klucza.

– Dافع ci największy, jaki mamy! – w korytarzu dobiegł ją jeszcze głos Forda.

Pokój znajdował się na niższym poziomie i – zakładając, że operator nie mylił się co do nieobecności gości – Killashandra natychmiast zaczęła zdzierać z siebie cuchnące ubranie. Nagle rozgrzanie klucza wskazało, że dotarła do właściwych drzwi. Wpadła do środka, zamknęła je za sobą i wsparła się o ścianę, zrzucając buty i spodnie. Spojrzała na podróżny worek i zdecydowała, że pranie tego wszystkiego nie ma sensu. Z ogromną ulgą wpełchnęła swe rzeczy do zsypu.

Stacja księżycowa wyposażona była jedynie w prysznic, ale w łazience Killashandra znalazła całkiem przyzwoity wybór ziołowych i perfumowanych balsamów do kąpieli. Przez długą chwilę stała pod strumieniem wody, tak gorącym, jak się tylko dało, po czym zaczęła z całej siły nacierać się płynami, póki jej skóra nie przybrała barwy żywej czerwieni. Wyszła z kabiny prysznicowej obwąchując dłonie i ramiona, nachyliła się, aby zbadać węchem kolana, i wreszcie zdecydowała, że jej stan można już od biedy nazwać czystością.

Dopiero susząc włosy uświadomiła sobie, że nie ma żadnego świeżego ubrania. Połączyła się z magazynem i zamówiła pierwszy kombinezon, jaki ukazał się na faksie, następnie zaś wystukała numer perfum i wybrała dużą butelkę czegoś mocnego. Po selkickim statku potrzebowała mocnych akcentów w życiu. No cóż, Pendel próbował ją ostrzec. Ale jeśli się zastanowić, nawet Selkici byli lepsi niż przebywanie w pobliżu

Francu i tego tępaka Chasurta.

Przypomniała sobie, że może wyjąć z oczu soczewki kontaktowe i westchnęła z ulgą, gdy pokój wokół niej wypełniły prawdziwie kojące kolory.

Zamówiła yarrańskie piwo, zastanawiając się, jak Lanzecki znosi Przejście. Z własnej woli zamurowana na selickim statku pozbyła się wszelkich resztek niechęci do Mistrza Cechu i teraz bardzo chciała zachować przyjaźń z tym człowiekiem. Samotność to znakomity lekarz: cuchnąca samotność sprawiała, że czuło się wdzięczność za zapamiętane przysługi i uprzejmość. Tych zaś winna była Lanzeckiemu więcej niż oskarżeń.

Piwo było takie pyszne! Uniosła kufel w niemym toastie dla Pendela. Miała nadzieję, że na każdego napotkanego Francu przypadnie co najmniej jeden Pendel.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Ciasno owinęła się ręcznikiem, zastanawiając się, dlaczego osobiście dostarczyli jej zamówienie, zamiast zwyczajnie wysłać je podajnikiem. Zwolniła zamek i właśnie miała odsunąć drzwi, gdy ubiegła ją ręka z zewnątrz.

– Co tu robisz? – do pokoju wszedł Lanzecki. Jego gniewna postać górowała nad nią w ciasnym korytarzyku. Zamknął za sobą drzwi i rzucił trzymaną w ręku paczkę w kierunku łóżka.

– A co ty robisz na Shankillu? – usiłowała mocniej otulić piersi ręcznikiem.

Oparł dłonie na biodrach i wbił w nią wzrok. Jego oczy błyszczały, twarz miała zacięty wyraz, usta wykrzywiała złość.

– Shankill oferuje najlepszy strategiczny punkt, z którego można ocenić przepływ mas burzowych.

– A zatem nawet ty uciekasz przed huraganem – stwierdziła z gigantyczną ulgą.

– Tak, i chciałem, żebyś i ty go uniknęła, ale zjawiłaś się kilkanaście dni za wcześnie! – jego ręka uniosła się w gniewnym geście, jakby chciał ją uderzyć.

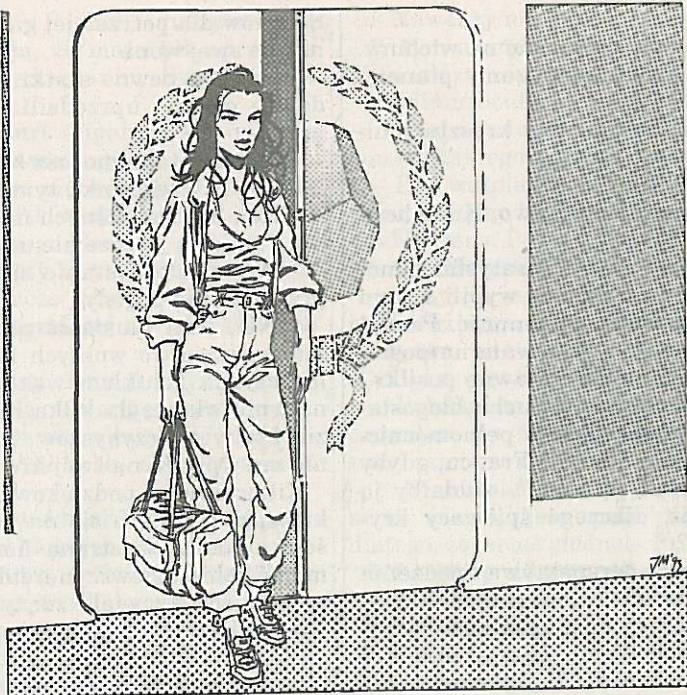
– Właściwie czemu nie? – Killashandra postanowiła bronić swej decyzji. – Skończyłam te przekłete instalacje. Czy wichury były aż tak złe, jak przepowiadali? Nic nie słyszałam.

– Według rozkładu miałaś wrócić komfortową fregatą pasażerską dokładnie za siedem dni – zmrużył oczy, uważnie mierząc ją wzrokiem. – No, mogło być gorzej – dodał niechętnie. Nie była pewna, czy miał na myśli ją, czy może burzę.

– Przyleciałam selickim frachtowcem.

– Zdaję sobie z tego sprawę – skrzywił się lekko.

– Próbowałam się odczyścić. To było okropne. Dlaczego nie powiedziano mi o Selkitach? Nie, to nieprawda, uprzedzono mnie, ale nie chciałam słuchać, bo nie mogłam zostać już ani chwili dłużej na tym koszmarnym krajozniku. – Ręcznik rozluźnił się nieco, kiedy wspominała Francu. – Dlaczego przynajmniej nie ostrzegłeś



mnie przed Trundolami?

Lanzecki wzruszył ramionami.

– Nie dysponowaliśmy zbyt bogatymi danymi. Ale przynajmniej nie miałas żadnych uprzedzeń ani nieprzyjemnych wspomnień na temat innych izolowanych układów. Mogłaś działać.

– Może już nigdy nie zetkną się ze śpiewakiem.

– Stykają się z Cechem – Lanzecki zaczął się uśmiechać. Jego ciało rozluźniło się, spojrzenie pociepało.

– Co ważniejsze, Lanzecki – starała się utrzymać dzielący ich dystans, póki nie odeprze wszystkich zarzu-

tów. – Czemu nie uprzedziłeś mnie o wstrząsie połączenia? Zaśpiewałam centralny kryształ, łączę i w ogóle, i rzuciło mnie na kolana.

– Wstrząs połączenia to zapewne jedyna rzecz, jakiej się to udało – położył swe ciepłe dłonie na ramionach Killashandry i przytrzymał stanowczo, a jego oczy wpatrywały się w jej twarz. – Nikt nie potrafi opisać tego wstrząsu. Różni ludzie doświadczają go na odmiennych poziomach, to zależy od osobowości. Ostrzec znaczyłoby zniszczyć to przeżycie.

– Z pewnością bym się nie zmartwiła!

Zaśmiał się cicho na tę ironiczną uwagę i pociągnął ją ku sobie. Ten uścisk stanowił największe przeprosiny, jakich mogła od niego oczekiwać.

– Niektórzy nie czują nic.

– Biedacy – tym razem w jej słowach nie było ironii.

– Zaś co do ciebie, Killashandro... Połączenie zestawu kryształów, które sama wyciąłaś, jeszcze mocniej wiąże cię z czarnym kryształem. – Mówił powoli, a w jego głosie znów rozbrzmiewał ów skrywany ból, który już kiedyś słyszała. Pozwoliła przyciągnąć się do tego mocnego ciała. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła, nawet kiedy przeklinała go w duchu. Teraz z wdzięcznością odpłacała mu się za znalezienie w jego ramionach ukojenie. – Cechowi potrzeba śpiewaków czarnego kryształu.

– Czy to dlatego osobiście kierowałeś moją karierą, Lanzecki? – sięgnęła dłonią ku jego wargom i poczuła, jak wyginają się z rozbawieniem.

– Moje życie zawodowe należy do Cechu, Killashandro. Nigdy o tym nie zapominaj. Natomiast życie osobiste to już zupełnie inna, całkowicie prywatna sprawa – gdy mówił, ustami zmysłowo muskał jej palce.

– Lubię cię, Lanzecki, niech szlag trafi twą kłamiwą gębę – odparła. Roznosiła ją radość bycia razem z nim.

Ujął jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni. Jej ciało przeszło doskonale zapamiętany dreszcz.

– Przez następne kilkadziesiąt lat, Killashandro, postaraj się o tym nie zapomnieć.

Jarostaw Musiał

MAG BEOR

Athaom spędził dzieciństwo i młodość na szczęśliwej, zielonej wyspie Mag Beor. Nikt nie znał jego pochodzenia. Znaleziono go nad rzeką, leżącego u stóp wyniosłej postaci ulepionej z gliny. Na pamiątkę tego zdarzenia nazwano chłopca Atha a Om – co oznacza Syn Gliny. Wkrótce narosła barwna legenda i nikt już nie pamiętał albo może nie wierzył, że ten oto wesoły, silny młodzieniec jest jej bohaterem.

On sam jednak nigdy o tym nie zapomniał. Wyrósł na rozumnego, sprawnego w wielu sztukach praktycznych, militarnych i towarzyskich mężczyznę, wielką dumę i jeszcze większą miłość swych przybranych rodziców (oraz niejednej panny na wydaniu). Czasem jednak, gdy wszyscy zajęci byli swoimi sprawami, siedł nad rzekę, siadał na piasku ze skrzyżowanymi nogami, a spod jego przymkniętych powiek wypływały łzy.

Swoją roztropnością i umiejętnościami szybko zdobył sobie tak wielki szacunek, że już w wieku dwudziestu pięciu lat mianowano go członkiem Rady Plemiennej i poślubiono mu najenotliwszą i najpiękniejszą dziewczynę na wyspie – Ivae.

W tym okresie Mag Beor osiągnęła szczyt rozkwitu. Kwitł handel z wielkimi wyspami Tir Sorchy i Tir Nan Og. Coraz łatwiej było zbić fortunę i pojawili się ludzie, którym pieniądze służyły za protezę charakteru. Ludziom tym nie w smak było, że młodzian, który „niczego w życiu nie zdobył własnymi rękami”, miałby decydować o ich sprawach.

W ten sposób po raz pierwszy Athaom zetknął się z zawiścią i żądzą władzy. Kiedy pracownicy obywateli uzyskali odpowiednio wpływy, usunięto go z Rady pod pretekstem, że jest zbyt młody. Aby nikt nie miał wątpliwości, przemianowano Radę Plemienną na Radę Starszych.

Dla Athaoma było to ogromne upokorzenie. Dopiero teraz, kiedy zadano jej dotkliwy cios, zdał sobie sprawę ze swej wielkiej dumy. Udało mu się jednak stłumić pragnienie zemsty. Postanowił żyć własnym życiem, nie oglądając się na nikogo i pozostawić sprawę swojemu biegowi.

Ivae była zadowolona z takiej decyzji męża. Miała nadzieję, iż będzie miał dla niej więcej czasu, a może nawet zapragnie mieć syna...

♦♦ Zawistnikom zbyt łatwy sukces szybko uderzył do głowy. Wyrzucenie z Rady nie cierpianego



AGNIESZCE...

GDY ŹRÓDŁO WYSYCHA,
WIELE ZOSTAJE WEZWANYCH.
NIELICZNI ODNAJDUJĄ DROGĘ –
WĘDROWCY SZUKAJĄCY ŻYCIA.

(TIEABHAR KHARAILL)

ATHAOM

Marek Drogosz

piecznie poszukać ukojenia dzikich pragnień swej brudnej, chorej, biednej duszy.

Pewnego dnia Peburo zaprosił Athaoma wraz z Ivae do siebie na uroczystą wieczerzę. Rozkazał swojej żonie wyciągnąć młodzieńca na spacer do ogrodu. Gdy to się stało, z beczelną uprzejmością pokazał Ivae uzbrojonych po zęby zbirów ze Straży Dobrobytu i zagroził, że jeżeli natychmiast mu się nie odda, Athaom straci życie i cześć jako zwykły złodziej. Ivae błagała go o opamiętanie, szlochając z rozpacz, lecz musiała ulec brutalnej sile.

Peburo wezwał Athaoma. Pod tą samą groźbą, co przedtem, Ivae potwierdziła ze łzami, że dobrowolnie oddała się Peburo.

♦♦ Prawo Mag Beor stanowiło, że niewierna żona przechodzi na własność kochanka, staje się jego niewolnicą – jeśli ten ją zechce. W przeciwnym przypadku zostaje stracona. Nie trzeba chyba dodawać, kto ustanowił to prawo.

♦♦ Athaom był zdruzgotany. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Jego sercem szarpały miłość i nienawiść. W tym momencie zrozumiał, że

świat wali się w gruzy: nie tylko jego własny, ale też wszystkich jego współplemieńców.

HEMETON

Przez siedem dni biegał jak oszalały bez jedzenia i picia po ulicach i ścieżkach Mag Beor. Wreszcie ktoś odważny i litościwy poradził mu, aby udał się do świętego lasu Hemeton, do mędrca i nauczyciela, druida Cathbada.

Athaom posłuchał również dlatego, że było to przedsięwzięcie wielce ryzykowne. Wszyscy mieszkańcy Mag Beor wiedzieli od dziecka, że Hemeton posiada wielką prastarą mądrość i takąż samą moc. Jeśli nie zaakceptuje gościa, który go odwiedza, śmiać ten nigdy nie znajdzie drogi powrotu.

– Jestem Guidgen lub, jeśli wolisz, Syn Puszczy. Wielka Hemeton przysłała mnie, bym zaprowadził Cię do mistrza Cathbada – to rzekłszy mężczyzna odwrócił się i ruszył przed siebie. Athaom podążył za nim.

Po półgodzinnym marszu stanęli przed prostą chatą z drewnianych bali. Guidgen skinął ręką na pożegnanie i bez słowa oddalił się.

CATHBAD

Na progu chaty stanął siwy starzec.

– Witaj Athaom! Długo czekałem na Ciebie.

Athaom rzucił się na kolana.

– Mistrzu Cathbad! – wykrzyknął i w tej chwili poczuł, jak bardzo jest wyczerpany. Sekundę później padł bez przytomności przed druidem.

MAREK DROGOSZ

Urodzony 28 IX 1969 r. w Radomsku, absolwent psychologii UW. Zajmuje się symulacją komputerową sieci neuropodobnych. W planach ma pracę naukową na uczelni, zaś w wolnym czasie – uzupełniające ćwiczenia literackie. Również fantastyczne.

Opowiadanie „Athaom” jest debiutem Drogosza. Podobnie jak w przypadku „Misterium tremendum” A. Szrejtera („NF” 1/93) i tu poprosiłem autora o krótki warsztatowy komentarz, by wskazać przynajmniej niektóre z kulturowych, psychologicznych tropów i odwołań rozsiągniętych w opowiadaniu.

(mp)

Opowiadanie narodziło się z brzmienia celtyckich słów i melodii, które grały mi w uszach i w duszy (proszę posłuchać choćby niektórych współczesnych utworów Clanned Enyi, Dead Can Dance). Chciałem bawić się tym brzmieniem, nadawać mu nowe znaczenia i przywoływać pierwotne. Sięgnąłem więc po „Mitologię Celtów” Jerzego Gąssowskiego. Stąd większość imion i nazw w opowiadaniu jest nawiązaniem do podań celtyckich (np. Mag Beor powstała ze złożenia nazw Tir na mBeo – Ziemia Żywych oraz Mag Mor – Wielka Równina, które są różnymi określeniami celtyckiego raju; Cathbad to mędrzec, druid z iryjskich eposów; Mathair to bóstwo związa-

ne ze śmiercią i światem zmarłych; itd...). Podczas pracy po raz kolejny uderzyła mnie bliskość starożytnych legend celtyckich – z punktu widzenia kultury słowiańskiej są one bodaj mniej egzotyczne niż mity greckie, rzymskie, czy nawet chrześcijańskie. Drażniąca była przy tym świadomość, jak mało o nich wiemy. Opowiadanie zaczęło więc przybierać kształt mojego własnego „transkulturowego” mitu – pojawiły się w nim i zaczęły spłatać wątki z różnych mitologii (nie zepsuję Państwu zabawy ich odszukiwaniem!). Pewna oschłość, oszczędność stylu jest zamierzona; miała stworzyć wrażenie raczej sprawozdania z dawnej legendy niż rasowego utworu literackiego.

Od dawna – od czasu pochłonięcia Tetralogii Ziemiomorza Ursuli Le Guin, która wspaniale ujęła literacko psychoanalityczną, Jungowską koncepcję rozwoju człowieka – chciałem napisać opowiadanie o wielkiej podróży będącej jednocześnie podróżą w głąb siebie. Wyobrażenia tej „głębi” zawdzięczam w dużej mierze archetypom Carla Junga, bioenergetyce Alexandra Lowena, „śniącemu ciału w baśni” Arnolda Mindella. „Socjologiczny” aspekt opowiadania pochodzi od Ericha Fromma, który pokazywał, w jaki sposób mity splecione są z losem jednostek i społeczeństw.

Marek Drogosz

Cathbad jako druid cieszył się wielką czcią, budził jednak również wielki lęk. Ludzie udawali się do niego po poradę jedynie w skrajnie trudnych sytuacjach. Jeżeli w ogóle wracali, zwykle wiadali do łodzi i znikali za horyzontem. Nigdy ni słowem, ni czynem nie zdradzali tego, co zobaczyli lub usłyszeli u druida.

♦♦ Athaom wkroczył do chłodnego Hemeton w południe. Zapadał zmierzch, gdy zrozpaczony usiadł i oparł się o wielki kamień, leżący pośrodku okrągłej polany. Trafił na nią już piąty raz.

Postanowił odpocząć. Po chwili dostrzegł jednak coś dziwnego: drzewa zaczęły się poruszać w niezwykły sposób. Zbliżyły się! Otaczały go zewsząd, pochylając potężne korony. Pomyślał, że to już koniec, że Las go nie zaakceptował. Zamknął oczy. Szum wielkich liści wydał mu się naraz kojący. Obojętny na wszystko, zaczął się wsłuchiwać w ich melodię. Po chwili rozróżnił w niej jakby przeciągłe i cicho wypowiedziane przez ogromne płuca nieznane słowo: „Kharaiill... Kharaiill...”

Ocknął się, gdy słońce świeciło mu prosto nad głową. Zerwał się na równe nogi. Stał przed nim smukły, jasnowłosy mężczyzna w miękkiej brązowo-zielonej opończy.

Starzec podniósł go i zaniósł do chaty. Athaom został napojony, nakarmiony i wykąpany. Spał trzy doby. Kiedy się obudził, Cathbad oznajmił mu, że wkrótce wyruszy w bezkresną podróż. Musi bowiem odnaleźć prastarą księgę, starszą niż ród ludzki, która zwie się Kharaiill. W niej Athaom odczyta swe przeznaczenie – tylko tak może uwolnić się od piętna wiecznego cierpienia. Athaom przypomniał sobie słowo szeptane przez drzewa.

Druid zabronił mu zadawania pytań, za to przez trzy kolejne dni nauczył go więcej o widzialnym i niewidzialnym świecie niż ktokolwiek inny przez ostatnie trzydzieści lat. Czwartego dnia rzekł do Athaoma:

– Jest tylko jedna jedyna Księga Kharaiill, istnieje jednak w wielu miejscach jednocześnie. Nie myśl więc zbyt długo, w jakim kierunku się udać; i tak przeczytasz z niej tyle, ile ona sama na to pozwoli. Swą wędrówkę rozpocznesz jeszcze dziś.

Ledwie Athaom zdążył się przysposobić, a już Cathbad wołał na niego od drzwi. Stopa Athaoma zawisała nad progiem. Przed chatą stał wielki niedźwiedź.

– To Artaios. Na jego grzbiecie odbędziesz pierwszą część poszukiwań – rzekł uspokajająco druid.

Gdy tylko Athaom wspiał się na szczyt ogromnego cielska, pomknęli chyżej niż najlepszy koń wyścigowy. Athaom nie zdążył nawet krzyknąć słów pożegnania.

Ten sposób podróżowania okazał się nadspodziewanie wygodny – bezszelestnie, z wielką szybkością mknęli pośród drzew (coż, z całą pewnością nie był to zwyczajny niedźwiedź). Athaom mógł nawet się zdrzemnąć.

OGAM

Obudził go chłodny poranek i szum morza. Słowność podpowiedziało mu, że znajduje się na za-

kształt zorzy lub raczej kolorowych języków ognia. Początkowo przemieszczały się chaotycznie, aż wreszcie utworzyły wyraźny napis w magicznym języku Ogam: Cual'egn Gwaiir, po czym natychmiast się rozpierzchnęły.

Ku swemu własnemu zaskoczeniu Athaom bez cienia wątpliwości zrozumiał, iż napis nakazywał mu, by wezwał Gwaiira. Widział, co prawda, pismo Ogam u Cathbada, ale ten nie zdradził mu znaczenia nawet jednego wyrazu. Zapowiedział za to, że Księga Kharaiill ma własne sposoby przemawiania. Athaom pojął teraz, co druid miał na myśli. Poczuł jednocześnie ulgę i wielkie podniecenie. Aby się uspokoić, postanowił przespać się i wprowadzić wskazówkę w czyn następnego dnia o świcie.



Beata Nyczaj

GWAIIR

chodnim, nie znanym sobie dotąd brzegu Mag Beor. Ludzie bardzo rzadko się tu pojawiali. Na północnym i południowym wybrzeżu wiele było osad i przystani. Stamtąd prowadziły szlaki morskie do Tir Sorchy i Tir Nan Og, a także innych, mniejszych wysp. Na zachód od Mag Beor było tylko bezkresne morze. Powiadano nawet, że szaleńcy, którzy tam wyruszają, docierają aż do krawędzi świata i spadają w czeluści piekieł.

Athaom przypomniał sobie słowa mistrza Cathbada o bezkresnej podróży i zrozumiał, dokąd wiedzie jego droga.

Przez następne czterdzieści dni, żywiąc się małżami, krabami i owocami, Athaom wybudował cztery tratwy: każda kolejna była większa od poprzedniej. Czterokrotnie wyruszał na zachód i czterokrotnie wezbrane morze z powrotem wyrzucało go na brzeg. Wreszcie, doszczętnie wyczerpany, Athaom siadł na piasku ze skrzyżowanymi nogami, bezmyślnie wpatrując się w horyzont. Gotów był tak siedzieć choćby do śmierci, póki ktoś lub coś nie wskaże mu, co dalej robić.

Było już prawie ciemno, gdy nad horyzontem pojawiło się zadziwiające zjawisko – coś na

Rankiem, nie myśląc wiele, zwrócił się twarzą prosto na zachód i ile sił w płucach zaczął krzyzczeć: – Gwai-ir!! Gwaai-ir!!!... Robił przerwy, rozglądał się, nasłuchiwał. Nic się nie działo. Trwało to przez następne dziesięć godzin. Athaom całkiem zachrypl, aż wreszcie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Bliski był zupełnego zwątpienia. Wtedy właśnie wysoko, wysoko na niebie dostrzegł szybko poruszający się czarny punkcik, który zaraz zamienił się w kreskę, a potem w kształt wielkiego ptaka. Cicho i szybko jak myśl spłynął na ziemię ogromny orzeł Gwaiir.

Athaom zadrżał i poczuł się jak polna myszka – mały i bezsilny – wobec tego olbrzyma. Gwaiir przemówił:

– Chłopcze, popełniłeś wielki błąd nie wzywając mnie od razu. Gdybyś spał o kilka chwil dłużej, nie przybyłbym nigdy, a kości twoje białaby na tej plaży.

Głos jego był tak łagodny, a zarazem tak władczy, że Athaom z cichym jękiem osunął się na ziemię w poddańczym ukłonie. Gwaiir schwycił go dziobem, delikatnie posadził pomiędzy swymi

potężnymi skrzydłami i błyskawicznie wzniósł się w powietrze.

◆◆ Lecieli goniąc zachodzące słońce. Athaomowi zdawało się, że minęła już noc, może nawet następny dzień, a ono wciąż błyskało czerwonym skrawkiem tarczy znad horyzontu. Była to tak piękna podróż, że Athaom żałował w duchu, gdy wreszcie wylądowali na skalistym brzegu nieznannej wyspy na końcu świata.

Gwaiir postawił go przed sobą na ziemi.

– Ta wyspa to Maighe Meld. Czeka tu na ciebie ktoś, kto bardzo cię potrzebuje – rzekł, po czym wzniósł się i w kilka chwil rozpląnął w przestworzach.

MAIGHE MELD

Na Maighe Meld Athaom przeżył dziesięć lat. Trafił do bardzo prymitywnego ludu, który nie znał nawet ognia, nie umiał uprawiać ziemi, polować nie miał na co, bo na wyspie nie było grubej zwierzyny, a zajmował się głównie zbieractwem. Przy pierwszym spotkaniu Athaom ledwo wywinał się śmierci. Tubylców dręczyły od wielu lat najróżniejsze plagi, pragnęli więc złożyć swym bogom Wielką Ofiarę. Na szczęście zdołał ich przekonać na migi, że to on właśnie jest posłańcem Słońca i zna cudowne sposoby odpędzania złych mocy.

Kiedy skrzeszał ogień, najpierw uciekli, potem skwapliwie zgodzili się, że jest bogiem i zaczęli oddawać mu cześć. Nazwali go TarroMettaos, co w ich języku znaczyło Niosący Ogień z Nieba.

Athaom bardzo szybko opanował ten język – niewiele w nim było słów. W ciągu roku wprowadził drugie tyle nowych. Nauczył ich krzesać ogień, uprawiać ziemię, gotować strawę, leczyć wiele chorób, wytwarzać narzędzia, a nawet malować, śpiewać i tańczyć.

W ciągu pięciu lat liczba mieszkańców Maighe Meld podwoiła się, do czego zresztą Athaom wcale nie przyczynił, płodząc dzieci z przynajmniej trzecią częścią kobiet. Należy mu przy tym oddać sprawiedliwość, że jego również zasługą była wielka poprawa jakości sztuki miłosnej na wyspie.

◆◆ Dokładnie w rocznicę swego przybycia Athaom zapragnął odwiedzić miejsce, na którym wylądował. Kiedy tam dotarł, Gwaiir już na niego czekał. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Gwaiir pochylił się i dotknął swym potężnym dziobem piersi Athaoma.

– Co roku będę przybywał, by sycić się twym sercem – rzekł cicho. Po chwili rozpostarł skrzydła i lekko jak motyl, szybko jak strzała uniósł się w powietrze.

Jeden z szamanów obserwował tę scenę z daleka. Odtąd otoczono Athaoma jeszcze większą czcią, a jego coroczne spotkania z Gwaiirem obchodzono przez dziesięć dni jako najważniejsze święto.

Sam Athaom czuł jakby rzeczywiście jego serce stawało się coraz lżejsze.

◆◆ W ciągu dziewięciu lat Athaom dał cywilizację i kulturę dzikiemu ludowi, sam stając się kró-

lem i bogiem. W dziesiątym roku jego sprawiedliwych rządów szczęście odwróciło się od Maighe Meld.

◆◆ Do brzegów wyspy przybiło dwadzieścia okrętów, dźwigających na swych pokładach najeźdźców w zbrojach z kutego żelaza i twardo wyprawionych skór, w rogatych hełmach, z dzikim spojrzeniem, wielkimi mieczami i równie wielkimi rudymi brodami. Wszystko zostało zrabowane, splądrowane, zniszczone, spalone. Rudobrodzi wymordowali trzy czwarte mieszkańców wyspy, zgwałcili wszystkie kobiety. Nikt im się nie przeciwstawił – nikt na Maighe Meld, prócz Athaoma, nie potrafił walczyć. On sam zaś próbował zginąć, lecz najeźdźcy nie tknęli go, obawiając się zapewne jego boskiej mocy. Nawet kiedy już odpłynęli, dzieło zniszczenia trwało dalej. Pozostała po nich bowiem jakaś okropna, śmiertelna choroba, której Athaom nie potrafił uleczyć.

◆◆ Stało się. W dzień dziesiątej rocznicy swego przybycia na Maighe Meld Athaom spoglądał w niebo, stojąc na urwistym wybrzeżu. Był jedynym człowiekiem na wyspie. Jego serce jeszcze nigdy nie było tak ciężkie.

◆◆ Musisz stawić czoło pustce – przemówił Gwaiir. – Przybyłem, aby po raz ostatni pomóc ci dźwigać twoje serce.

Poszybowałi prosto na południe.

TIR NAM BAN

Zbliżali się do wyspy, która już z daleka wydawała się zielonożółtym rajem zagubionym w pustce oceanu.

– Żegnaj, Athaom – rzekł Gwaiir, gdy już stanęli na cudownej, słonecznej plaży. – Nie obawiaj się nigdy samotności, bo dzielą ją z tobą wszystkie istoty.

Athaom jeszcze długo po tym, jak Gwaiir niczym duch wzniósł się ku niebu, stał w tym samym miejscu i rozmyślał o wszystkich, co mu się przydarzyło.

◆◆ Nagle pochwyciły go cztery silne ręce. W okamgnieniu został skrepowany. Dwóch rośliwych wojowników w lekkich kaftanach ze skóry zdobionej złotem popędziło go oszczepami w głąb wyspy. Athaoma opanowało bardziej zdumienie niż strach, gdyż delikatność twarzy i dłoni, a także wypukłość ubioru na piersi zdradziły mu, że wojownicy ci to... kobiety!

Wyspa okazała się piękniejsza niż mógł sobie wyobrazić (i niż można by to opisać). Wkrótce dotarli do wspaniałego pałacu z białych, różowych i błękitnych marmurów inkrustowanych złotem i drogimi kamieniami. Athaoma poprowadzono do wielkiej centralnej sali i rzucono na posadzkę przed cudownie piękną kobietą w zwiewnej sukni, swobodnie rozciągniętą na ogromnym purpurowym tronie.

– Czy wiesz, że mężczyzna przybywając na tę wyspę skazuje się na śmierć? – zapytała w języku Ogam, a Athaom wszystko zrozumiał.

– Nie! – zaśmiała się – ty nic nie wiesz. Słuchaj więc uważnie: jesteś na Tir Nam Ban, Wypie Kobiet, a ja jestem Rosmerta, jej władczyni.

– Przyniósł cię Gwaiir – mówiła dalej po krótkiej przerwie – posiadasz również łaskę rozumienia Ogam. Tylko dlatego uczynię dla ciebie wyjątek. Masz szczęście – roześmiała się – nie robię tego częściej niż raz na tysiąc lat. Staniesz przed pięćdziesięcioma moimi poddankami. Jeśli któraś z nich cię zechce, ocalisz życie, zostając jej niewolnikiem. Jeśli choć raz się poskarży, zginięsz. Uwolnię cię z tego zobowiązania dopiero po jej śmierci. Wtedy będziesz mógł odpłynąć z Tir Nam Ban – zakończyła wciąż się śmiejąc.

Athaomowi nie wydało się to zbyt przerażające wobec zdarzeń, których los mu nie szczędził w innych miejscach. Ze spokojem zgodził się stawić czoło kolejnej próbie. Umieszczono go w niewielkim pokoiku, przez który kolejno przechodziły kobiety piękne i zwyczajne, starsze i młodsze, zawstydzone bądź bezczelne, podchodzące doń blisko bądź oglądające go z daleka. W przedstawieniu tym uczestniczyła królowa Rosmerta i widać było, że wspaniale się bawi. Przez cały czas jednak bacznie obserwowała Athaoma. Gdy odrzuciła go czterdziesta dziewczyna panna, a jego twarz pozostała pogodna, Rosmerta postanowiła mimo wszystko go ocalić.

Pięćdziesiąta kobieta wydała się Athaomowi najstarszym i najbrzydszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Zwała się Mathair. Została jego wybawicielką.

Była złośliwą jędzą. Rozkazywała Athaomowi wykonywać najcięższe i najbardziej niepotrzebne prace, spełniać najdziwniejsze zachcianki. On jednak bardzo szybko nauczył się odgadywać lub wręcz wyprzedzać życzenia swojej pani. Znosił jej wybryki z wielką cierpliwością wcale nie powodowany strachem o życie, ale raczej współczuciem, gdyż nauczył się dostrzegać cudzą samotność.

Po dziesięciu latach wspólnego życia Mathair na łożu śmierci wyznała Athaomowi, że był jedyną istotą, którą pokochała i tylko jemu zawdzięcza, iż umiera lekko, bez żalu i nienawiści w sercu.

◆◆ Athaom odzyskał nie tylko wolność, ale w darze od Rosmerty otrzymał smukłą, szybką

łódź o dźwięcznej nazwie Immram Curaig (co oznacza po prostu „żegluga”). Na jej pokładzie czym prędzej opuścił rajska wyspę Tir Nam Ban, kierując się na północny wschód, na Mag Beor.

IVAE

Płynął przez czterdzieści dni. Nie było w ciągu całej tej podróży nawet godziny, w której by nie myślał o swojej żonie Ivae. Nie widział jej od dwudziestu lat. Czy zastanie ją jeszcze wśród żywych? Czy wciąż jest niewolnicą tego łotra Peburo? Zrozumiał przy tym nie-

zmiernie jasno, jak niedoskonała była dawniej jego miłość. Myślał o Ivae, ponawiając wysiłki, by wykorzystać nawet najmniejszy podmuch wiatru.

Po przybiciu do brzegu Mag Beor najpierw udał się z drżącym sercem do mistrza Cathbada, by powiadomić go o niepowodzeniu swej wyprawy. Jakież było jego zdumienie i szczęście, gdy zastał tam Ivae – całą, zdrową, wciąż kochającą, wciąż tak samo młodą, obejmującą go ze łzami radości.

Cathbad wyjaśnił mu, że zaraz po jego odjeździe rozpoczęły się wśród uzurpatorów właśnie, których ofiarą pierwszy padł Peburo. Potem przez trzynaście lat trwała wojna domowa. Jak tylko się zaczęła, Cathbad wziął Ivae do siebie (tu Athaom ścisnął go za kolana). Dzieła zniszczenia dokonali Rudobrodzi. W tej chwili wyspa jest zupełnie zniszczona i opustoszała.

Cathbad uspokoił też Athaoma, że jego trudny nie poszły na marne. Sam o tym bowiem nie wiedząc odnalazł Księgę Kharail – każdym swym czynem odwracał kolejne jej karty.

◆◆ Po kilku miesiącach gościny małżonkowie pożegnali Cathbada – Athaom zbudował bowiem nowy dom. Żyło im się bardzo ciężko, ale byli szczęśliwi, tym bardziej że wkrótce bogowie pobłogosławili ich bliźniakami. Na pamiątkę wielkiej podróży Athaoma rodzice nazwali chłopców Khari i Aill (w języku Ogam słowa te oznaczają duchową siłę i wewnętrzną harmonię). Malcy ci dali początek nowemu, wspaniałemu narodowi, ale to już zupełnie inna historia.

Marek Drogosz



Beata Nyczaj

W połowie czerwca koszmary zniknęły, Paweł zaczął spać normalnie. Pomyślał wtedy, że może to już koniec i wszystko się ułoży. Naprawdę mogło im się udać – jemu i Korce. Mieszkanie po ciotce przejdzie na jego własność, a jeśli nawet nie... to coś wynajmą, wystarczy zwykła kawalerka. Pobiorą się. Jego pensja i jej stypendium pozwolą przeżyć, zresztą rodzice pewnie coś dorzucą. Korka skończy studia, a wtedy zobaczymy. Może powinni spróbować szczęścia za granicą. Są kraje, w których pensja lekarza nie wygląda jak zasiłek.

Tak, to mogło się udać.

Przyszeli lipiec. Wysuszył jeziora i rzeki, spalił ziemię. Temperatura doszła do trzydziestu stopni, potem poszła wyżej i nie wszyscy wytrzymywali. Pewien mężczyzna z Sosnowca zamknął w kuchence mikrofalowej ukochanego pekińczyka swojej żony. W Żyrardowie pod Warszawą trzydziestoletnia kobieta pchnęła śmiertelnie męża kuchennym nożem. Podobno romanśował z młodą bibliotekarką.

I tak to leciało.

Ale dopiero w połowie sierpnia wszystko stanęło na głowie. Wróciły potwory – Paweł miał sen. Inny niż wcześniej. Gdy obrazy wygasły i zniknęły, na ulamek sekundy Paweł pozostawał zawieszony pomiędzy snem a jawą, sam na sam z tym dźwiękiem. Rytmicznym zgrzytaniem gładkiej powierzchni o coś twardego. Ktoś ostrzył noże.

Jeszcze nie rozumiał, co to oznacza.

Potem otworzył oczy.

Korka otworzyła dłoń z jego ramienia. Kucała naga przy łóżku. Wyżej za oknem było już jasno, ale podwórko-studnia pozostawało w cieniu. Paweł odchrząknął i potarł powieki.

– Chyba się zdrzemnąłem.

– Już po szóstej. Ubieraj się. Nie chcę, żeby cię gospodyni zobaczyła!

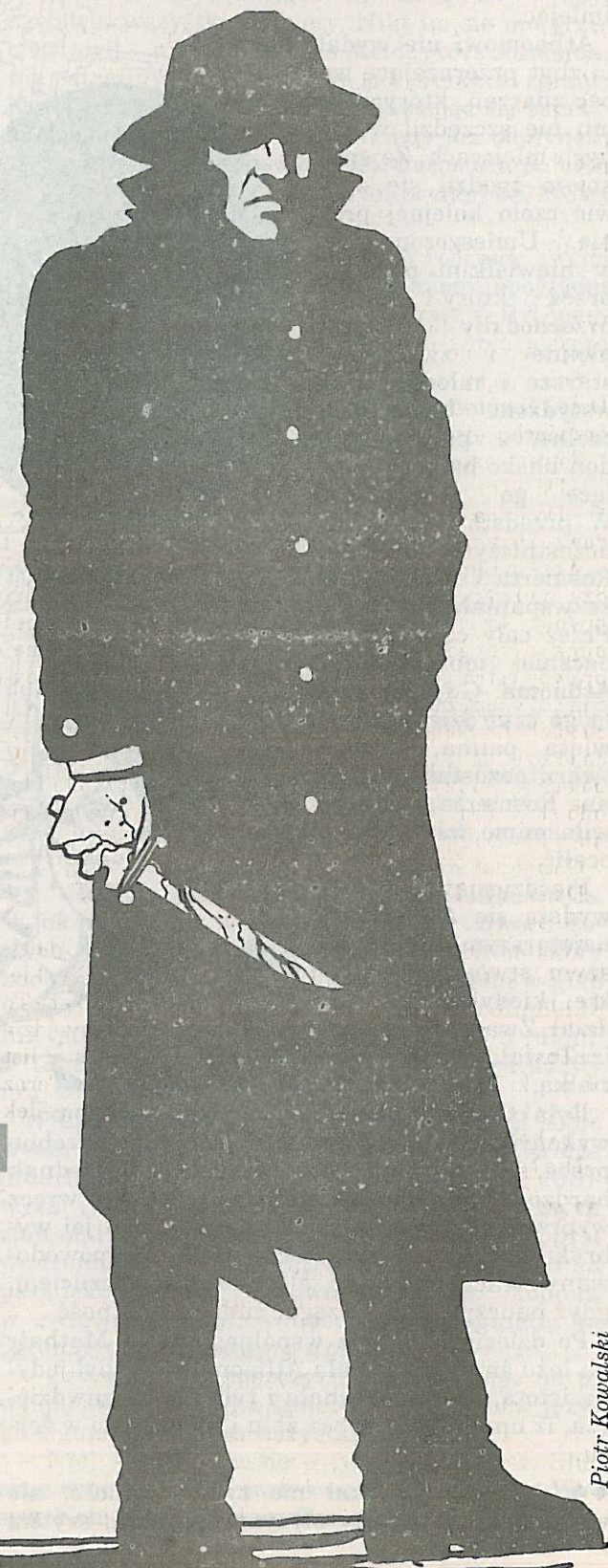
Na policzku dziewczyny połyskliwy płatek odcinał

się od opalonej skóry. Jak przyklejona rybia łuska.

Zmrużyła oczy. Kiedy dotknął tego miejsca i paznokciem zdrapał zaschniętą kropelkę nasienia.

– Jeśli zaraz nie wstaniesz, to przy najbliższym telefonie ona wszystko podkablkuje rodzicom. *Capisci?*

– Jezu, czy ty przypadkiem nie byłaś adoptowana? – Wyplątał się z prześcieradła, wciągnął dżinsy i odnalazł koszulę. Korka krzątała się, zbierając porozrzucone części swojej garderoby. Kiedy skończyła, stał już przy drzwiach gotowy do wyjścia.



Piotr Kowalski

PAPIEROWY TYGRYS

DARIUSZ ZIENTALAK JR

TYGRYS PRAWDZIWIY

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał z palcami w jej włosach.

– Mam dyżur. Idź teraz grzecznie do pracy i zadzwoni do szpitala jutro koło południa. I odpoczywaj. To ci się może przydać.

Uśmiechnął się.

– Poważnie?

– Oczywiście, że tak, kmiotku – oburzyła się. – A co myślałeś?

Pocałowała go w usta. Muśnięcie spierzchniętych i pogryzionych warg było jak magia. Ale siostrzany pocałunek nie pasował do wspomnień o nocy, w której duże nie narodzonych niecierpliwie krążyły nad ich głowami.

Czuł przez koszulę ciepło jej piersi.

Pomyślał o pokoju dusznym od ich oddechów, jej stopach skrzyżowanych na jego plecach i cichym odgłosie podobnym do miauknięcia, z jakim szczytowała.

Potrafisz sprawić, żeby kobieta miauczała?

Rany, znowu mu stawał! Może powinien iść z tym do lekarza, po jakieś tabletki, czy co?

– Kornelio – wymruczał.

– Zmykaj już, zmykaj – szepnęła niecierpliwie. W każdej chwili gospodyni mogła się obudzić i wyjść ze swojego pokoju.

Przez uchylone drzwi sprawdziła korytarz. Pusty. Dała Pawłowi znak, żeby cicho szedł za nią. Przy drzwiach wejściowych ostrożnie pociągnęła zasuwę.

Paweł westchnął.

– Do jutra – wyszeptwała uśmiechając się nerwowo.

– Do jutra – odpowiedział wychodząc na klatkę schodową. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

Wczesne promienie porannego słońca wpłynęły pomiędzy budynki, zepchnęły mrok do bram i wilgotnych piwnic. Na razie był to rześki letni poranek, ale nim miną dwie godziny, słońce zacznie przygrzewać naprawdę ostro, a o jedenastej nie będzie już czym oddychać. Zwłaszcza w mieszkaniu ciotki, którego okna wychodziły na południe. Wszystko jedno, nie zamierzał jechać dziś do pracy. I nie chodziło nawet o zmęczenie, bóle mięśni, piasek pod powiekami. Zbyt wiele kłębiło się w nim myśli, by mógł przez resztę dnia spokojnie odlewać gipsowe amorki.

Chciał dać sobie chwilę na uspokojenie tej burzy.

Dzień wytchnienia.

To przecież nie tak dużo.

W tramwaju pomyślał, że powinien napisać do rodziców. Ostatni raz widział ich krótko po Wielkanocy, kiedy umarła ciotka i trzeba było zająć się pogrzebem. To podczas stypy zdecydowano, że mieszkanie przejdzie na Pawła. Więc został w Warszawie. W maju dostał list od matki, pisała, że koniec z jej pracą na poczcie. Teraz żyli tylko z pensji ojca. Zamierzała zwrócić się o zasiłek – i to była ostatnia wiadomość.

Nie odpisał. Miał własne problemy.

Mieszkanie znajdowało się w dobrym punkcie miasta, trzy kroki od placu Bankowego, dziesięć minut piechotą od Starówki. Było ciche i niezbyt czyste – Paweł nie radził sobie z utrzymaniem porządku. Potrzeba mu było kobiecej ręki.

Mnie też, myślał powłócząc nogami przy wspinaczce na piąte piętro. Mnie też potrzeba kobiecej ręki.

Wziął prysznic i choć nie czuł zmęczenia, zasnął na łóżku, trzymając ręcznik w zaciśniętej dłoni.

I znowu miał sen, którego nie zapamiętał.

Kiedy się obudził, skrawek nieba pomiędzy widocznymi z okna topolami przybrał z kobaltowego koloru głę-

boko niebieski, a powietrze w pokoju było martwe jak w piekle.

Otworzył szeroko okna i plaskając bosymi stopami powędrował do kuchni przyrządzić sobie późniony obiad. Wyjął z piekarnika patelnię, pokroił w cienkie plasterki cebulę, potem kielbasę, przysmażył to, wbił trzy jajka, na koniec dodał starty żółty ser. Zmniejszył płomień i czekając, aż jajecznicą się zetnie, smarował chleb masłem. Odłożył nóż, zalał herbatę wrzątkiem, wreszcie usiadł do stołu.

W kuchni panował półmrok, mimo to nie zapalił światła. Nie przeszkadzały mu zapadające ciemności, nawet jako dziecko nie miał problemów z ciemnymi pokojami ani piwnicami. Dopóki może zobaczyć, co je, wszystko w porządku.

Zamarł. Uświadomił sobie, że cały czas gapi się na pomalowany na biało kredens ciotki, stojący obok szafy pancernej.

Jezu, czyżby... O nie...

Odłożył kromkę i, wstając, wytarł spocone dłonie o spodnie. Z ociąganiem podszedł do kredensu. Kiedy dotknął palcami mosiężnego uchwyty, zatrząsł nim dreszcz. Masz coś do zrobienia – pomyślał i szarpnięciem otworzył szufladę. Pochylił się spoglądając na jej zawartość. Powyjmowano stamtąd noże, widelce i herbaciane łyżeczki. Teraz w środku znajdował się tylko jeden przedmiot.

Jatagan o lekko wygiętej klindze i rozdwojonej głowicy wysadzanej małymi kamieniami, wsunięty w inkrustowaną srebrną pochwę.

Paweł zamknął oczy.

Bestia tu była, czuł to, krążyła w pobliżu czekając na odpowiedni moment. Jak, do diabła, mógł pomyśleć, że udało mu się jej wymknąć. I to po tylu razach...

Do diabła, musi się bronić! I nie tylko siebie.

Tyle że nie potrafi.

W łazience odkręcił wodę i wszedł do wanny. Systematycznie namydlił całe ciało, po czym spłukał pianę prysznicem. Jeszcze raz. I jeszcze. Zsunął napletek i wymył żołądek ciepłą wodą. Wyszorował zęby. Pałeczkami higienicznymi wyczyścił uszy.

Wytarł ciało włochatym ręcznikiem i nagi wrócił do kuchni. Zabrał jatagan z szuflady, ustawił na środku krzesło, usiadł kładąc broń na kolanach.

Pozostało tylko czekać.

Drzewa zaszemrały muśnięte nocnym podmuchem wiatru. Znowu zapadła cisza przerywana natarczywą grą świerszczy i odgłosami cienkich obcasów szybko stukających o trotuar. Większość sodowych lamp nie działała i gdyby nie fakt, że w domach paliły się jeszcze światła, Barbara Tracz nigdy nie zdecydowałaby się na tę drogę. Już prędzej obeszlaby cały kwartał i dotarła do swojego bliźniaka główną ulicą.

Mieszkała w domku z mężem i dzieckiem od sześciu lat i nie miała dotąd podobnych problemów. Jeździła samochodem. A teraz wóz stał na kanale i jeśli przewidywania technika o włosach przetykanych lupieżem okazały się trafne, to naprawa odessie sporą część pieniędzy przeznaczonych na remont mieszkania. Jakby tego było mało, musiała dłużej zostać w pracy i w efekcie dopiero o dziesiątej wysiadła z autobusu.

Obrzucała nerwowym spojrzeniem krzaki po drugiej stronie pustej ulicy. Chyba coś się tam poruszyło.

Spokojnie, to tylko kot albo pies.

Najpewniej.

Mimo to przyspieszyła kroku, bo wcale nie musiał to być pies, kot czy inny zwierzak. Mógł to być zbój wyrwający kobietom torebki. Albo gwałcieciel.

Poczuła chłód w żołądku. Nieświadomie zaczęła rozważać, co robi, jeśli to JEST zbój albo gwałcieciel. Obejrzała się. Nic. Zawsze może zacząć krzyczeć, ludzie jeszcze nie śpią i ktoś do cholery wyrzy zobaczyć, co się dzieje. Albo i nie. No więc będzie musiała bronić się sama. Każdy z jej butów nieźle by się do tego nadawał. Czytała, że napadnięta kobieta wyjęła zbrojeńcowi oko właśnie szpilką.

Głośny brzęk i odgłos szklanych odłamków sypiących się na bruk.

Nawet świerszcze umilkły.

Barbara stanęła jak wmurowana. Z bijącym w oszalałym tempie sercem spojrzała przez ramię.

Ulica za nią była ciemniejsza niż przed chwilą. Lampa, zgasała jedna lampa i – mogło jej się tylko wydawać – ale w tej ciemności chyba coś stało. Czekalo.

Aż znowu odwróci się plecami.

Po raz pierwszy tego wieczoru Barbara Tracz zaczęła na serio odczuwać strach. Mimo to próbowała się opanować, bo przecież, do diabła, nie mogła tak stać w nieskończoność. Tym bardziej, jeśli grozi jej niebezpieczeństwo. Czy lampa może wybuchnąć sama z siebie? Pewnie tak. Odetchnęła głęboko i spróbowała wyłowić z ciemności dźwięk, który mogła wydać z siebie żywa istota. Nic. Cisza. Barbara zaczęła iść stawiając drobne, szybkie kroczki. W pewnej chwili usłyszała – choć stapania nie była tego pewna – czyjs oddech i odgłos stapania, ale dźwięki te zlały się ze skutkiem jej butów. W każdym razie nie obejrzała się już za siebie. Do domu zostało jej nie więcej jak dwieście metrów, ulica w tym miejscu lekko zakręcała i można było dostrzec rozjaśnione okna na piętrze bliźniaka. Ale ostatni odcinek drogi był prawie nieoświetlony.

Szurnięcie buta o trotuar z tyłu.

Barbara spazmatycznie wciągnęła powietrze i jeszcze przyspieszyła. Prawie biegła. Boże, modliła się, może to tylko głupi drań, zabawiający się straszaniem samotnych kobiet w pustych uliczkach.

Jeszcze tylko kawałek, dwadzieścia metrów. Szarpając suwak otworzyła torebkę i wydobyła klucze od furtki i domu.

Wszystko będzie dobrze, powtarzała w myślach swoją mantrę, zaraz będziesz w domu. A jutro z samego rana pojedziesz na komendę i zaczniesz załatwiać pozwolenie na broń. Następnym razem kogoś spotka niespodzianka.

Jeśli będzie następny raz. Bo coś nadchodziło z ciemności. Już, już – stanęła. Wepchnęła klucz w zamek furtki. Jeżeli to cholerstwo teraz się zatnie... Ale przekreśliła go gładko. Nie patrzyła na boki, całą uwagę skupiła na drzwiach wejściowych i kuchennym oknie, w którym paliło się światło. Zatrzasnęła za sobą furtkę. Zamierzała nasłuchując. Nic nie mąciło ciszy. Nawet świerszcze milczały.

Była bezpieczna. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Dygotała. Drżącymi palcami zaczęła przesuwac klucze na kółku w poszukiwaniu tego, który otworzy drzwi do domu. Była tak zajęta, że nie usłyszała szelestu zbliżającego się wzdłuż żywopłotu wewnątrz ogrodu. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, coś wyskoczyło na nią spomiędzy kępów na śmieci. Krzyknęła bijąc rękami na oślep. Przerazony kot prychnął i zniknął w ciemnościach jak upiór.

Minutę później mąż Barbary zobaczył ją w podartej

bluzce, zbolalą, zanoszącą się szlochem i po raz pierwszy w życiu zaniemógł ze strachu.

Paweł obudził się o świcie w pokoju wypełnionym wszystkimi odcieniami szarości. Na ściennym zegarze ciotki dochodziła piąta. To znaczy, że jest gdzieś wpół do szóstej, a więc mógł jeszcze godzinkę się zdrzemnąć. Mógłby, gdyby nie sen, ciągle ten sam, wciskający się pod zamknięte powieki. Pawłowi śnił się dom, stara chałupa pod Tomaszowem Mazowieckim, bez ciepłej wody i łazienki. We śnie dziurawy dach wyglądał jeszcze gorzej niż w rzeczywistości, grzyb na ścianach był ciemniejszy i bardziej wilgotny, a przekrzywiona wygodka miała bardziej spaczony drzewi i bzyczało w niej więcej zielonych much. I w tym domu byli rodzice Pawła. Matka z posiekanyimi zimną wodą dłońmi, z włosami przyprószonymi siwizną. W pantoflach będących najstarszymi klientami miejscowego szewca i w wytartym palcie. Ojciec w ubraniu roztaczającym zapach smarów rodem z warsztatu ślusarskiego, wiecznie niedogolony, wiecznie zrezygnowany, na zmianę podpity i ubzdrygolony.

Rodzice stoją na podwórku przed domem, jak upozowani do zdjęcia. Leciwa, ospała kura pęta się pod nogami. W wypełnionej mydlinami balii pływa spuchnięte ciało Joasi – młodszej siostry Pawła, która utopiła się w pobliskiej rzeczce, kiedy on miał sześć lat.

Oni kiedyś umrą. I to będzie boleło. I to będzie koniec wielu rzeczy. Umrą tak, jak umarł dziadek i jak rok później umarła babcia. Tyle że babcia miała w szafie trzy futra, a dziadek wielki sad z jabłkami. A co mają oni?

Paweł popatrzył na rodziców. Co mają oprócz zniszczonego zdrowia, starego domu i syna, który uciekł do stolicy, miasta wielkich możliwości, dalej od nędzy i od braku perspektyw, w której oni byli zatopieni jak okaleczone owady w bursztynie.

Ty będziesz taki sam – ta myśl spowodowała, że zacisnął pięści ze strachu. – Przecież boisz się tego. Ktorego dnia oni umrą, najpierw jedno, potem drugie. I ty zajmiesz ich miejsce, taki sam nieszczęśliwy, z jeszcze gorszymi perspektywami, jeżeli to możliwe. Prawdziwy syn tego kraju, wyjący w nocy w poduszkę z bólu i bezsilności. Oczywiście nadal możesz wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Kornelia skończy studia, znajdzie dobrze płatną pracę jako lekarz, oczywiście nadal możesz w to wierzyć. W to, a także w świętego Mikołaja, elfy, dzieci w kapuście i pierścien spełniający życzenia. Tyle że czas przestać się oszukiwać. Nie jesteś w niczym lepszy od tych ludzi i skończysz nie lepiej.

Uśmiechnął się krzywo.

Nieprawda. Błąd. Jestem lepszy. Nie jestem jednym z nich, wypełniającym poranne autobusy i tramwaje. Nie jestem padliną. I nie boję się. Nie muszę się bać. Bo przecież to ja jestem ich koszmarem. To ja jestem potworem, o którym śnią, bojąc się i pragnąc go spotkać. I wreszcie do nich przychodzę. To nie ja muszę patrzeć ze strachem, co czai się w ciemnościach. Cholerne szczęście.

Chociażby ta kobieta ostatniej nocy. Pamiętał zapach jej strachu i to wspomnienie napełniło go spokojem. Krótkotrwałe, jak wiedział, ale dobre i to. Ułożył się wygodnie na poduszce. Przymknął oczy.

Uda mi się. Uda mi się, ponieważ nie jestem jednym z nich. Ponieważ jestem potworem.

I nie ma to nic wspólnego z szaleństwem, zdążył pomyśleć, nim zasnął.

Tego dnia również nie poszedł do pracy.

Gdyby po południu spotkał się z Korką, tak jak oboje zaplanowali, dalsza część tej historii być może wyglądałaby inaczej.

Być może. Trudno orzec.

Dość że kiedy Paweł zadzwonił do szpitala dowiedział się, że Korka dostała dodatkowy dyżur. Obiecał, że zajrzy do niej jutro.

Potem oczywiście nastala noc. Czas potworów.

W przerwie na reklamę, w samym środku „Koła fortuny” Barbara Tracz wstała sprzed telewizora. Potrzebowała kawy, jeśli miała dowiedzieć się, czy ktoś wyjedzie ze studia nowiutkim suzuki z bagażnikiem wyładowanym jogurtami. Cytat *Daj ci ja pobruszę, a ty poczywaj* mocno nadwreżył jej zapasy energii.

Minęła dziesiąta. Andrzeja wciąż nie było. Dlaczego? Wyszedł koło piątej i pojechał do siostry odpoczywającej w domu po operacji woreczka żółciowego. Po drodze miał odebrać samochód z warsztatu, więc nie musiał się tłuc na Bielany i z powrotem autobusem. Mimo to wciąż go nie ma.

Spokojnie, nie mu się nie stało.

Barbara postawiła czajnik na kuchence.

Co za tydzień. Wczoraj o mały włos nie dostała zawalu, kiedy Szesel wyskoczył na nią z krzaków (swoją drogą ciekawe, gdzie jest teraz ten gałgan). Dzisiejszy wieczór spędzi drząc o męża. Nie cierpiała tego. Tyle że jeszcze bardziej nie cierpiała siostry Andrzeja.

O kuchenne okno uderzyła cma.

Mimo wczesnej pory cały dom pogrążony był w ciszy. Dziecko spędzało wakacje na wsi u mamy Andrzeja. Andrzej jechał do domu. (Oczywiście, że tak! Gdyby się wysiliła, mogłaby już słyszeć samochód.) Była tylko ona, w domu tak cichym, że słyszeć cma tłukącą się o okno od zewnętrznej strony.

Barbarę ogarnęło drażniące uczucie, że coś jest nie tak. Zmarszczyła czoło. Wciąż słyszała odgłos, z jakim owad uderzał o szybę, a nawet trzepot jego skrzydeł. Za to nie słyszała telewizora. A przecież powinna, był włączony, kiedy szła do kuchni.

Z niepokojem przeszła przez korytarz do ciemnego pokoju. Przełknęła ślinę. Zepsuł się, pomyślała. Samochód był początkiem czarnej serii. Teraz czas na stereo. Potem żelazko, mikser, wibrator i co tam jeszcze... Sięgnęła po pilota. Czy się bała? Jak cholera. Ale racjonalna część jej umysłu powtarzała: nie ma się czego bać. To tylko skok napięcia w sieci. Niezwykły skok napięcia, który wyłączył właśnie telewizor.

Pstryk. Kabotyńska twarz Pijanowskiego: „Niestety, traci pani wszystko. Ale takie są reguły gry. Fortuna kołem się toczy”.

Barbara krzyknęła. Blask padający z ekranu oświetlił sylwetkę mężczyzny stojącego przy fotelu, na którym jeszcze niedawno siedziała. Twarz mężczyzny skrywał mrok, ale zdawał się być dość młody.

– A kuku – powiedział.

Wyćwiczone owacje zaproszonej do studia publiczności. Barbara stała jak sparalizowana.

– Jak... jak pan się tu dostał?

– Tędy – ledwo dostrzegalny ruch głową w stronę otwartego okna. – Zgasilem telewizor. Pomyślałem, że w ten sposób nastrój będzie... intymniejszy – postąpił krok w jej stronę. – Czy chcesz porozmawiać o strachu?

I wtedy strach Barbary eksplodował. Ten człowiek nie był zwyczajnym włamywaczem. W najlepszym razie był gwałcieciem. W najlepszym razie. Nie miała wątpliwości – to on szedł za nią poprzedniego wieczoru do domu. To on wystraszył ją śmiertelnie. Czy wrócił, aby dokończyć to, czego nie zdążył zrobić wczoraj? A może tak to zaplanował od początku: poczekać, aż będzie w domu sama i w ciemnościach złożyć jej wizytę. Teraz ma więcej czasu. Żeby się zabić.

Czy to w „997” mówili o zabójstwach kobiet, popełnionych w ciągu kilku ostatnich miesięcy?

Zareagowała szybciej od myśli. Nim zdążyła uświadomić sobie, co robi, cisnęła pilotem w głowę mężczyzny. Z tej odległości trudno było chybić, ale strzał przeszedł jej oczekiwania. Pocisk trafił napastnika w nasadę nosa. Mężczyzna krzyknął z bólu i chwycił się za twarz, a Barbara wyskoczyła na korytarz.

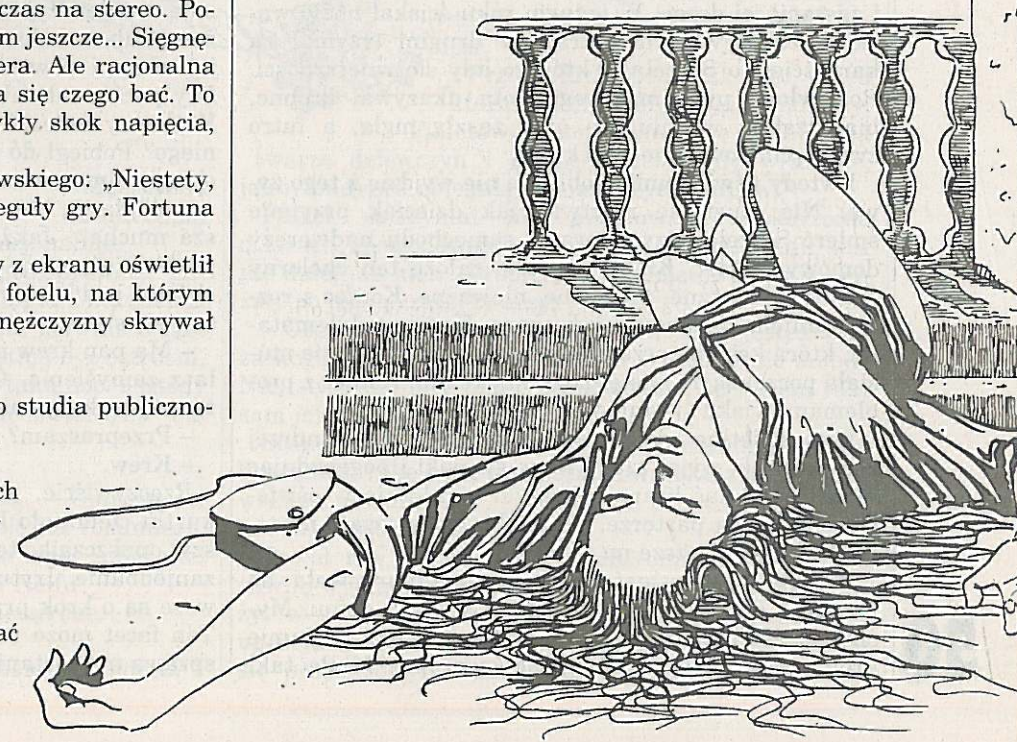
Szybko oceniła sytuację. Drzwi wejściowe były za daleko. Zanim zdąży otworzyć wszystkie zasuwę, ON będzie siedział jej na karku. Schody na piętro. Pokonała je przeskakując po dwa stopnie. Zamierzała schronić się w sypialni albo w pracowni Andrzeja, oba pomieszczenia miały drzwi zaopatrzone w zamki.

Łomot z tyłu. Barbara obejrzała się. Napastnik wciąż trzymał rękę przy twarzy, ale był już na schodach. To przyspieszyło jej decyzję. Sypialnia. Wpadła do środka, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekreśliła dwukrotnie klucz.

Była bezpieczna, ale na jak długo? Jakby w odpowiedzi drzwi wygięły się pod naporem z zewnątrz. Po chwili napór ustąpił i zapanował spokój.

Barbara rozejrzała się po pokoju. Nie dostrzegła niczego, co pomogłoby jej w obronie lub przynajmniej w ucieczce. Nie było tu nawet okna, przez które mogłaby wzywać pomocy. Nic oprócz szerokiego łóżka okrytego pluszową narzutą, szafy na ubrania, nocnej lampki i sterty czasopism w stojaku. Była bezpieczna i była uwięziona. A jeśli ten zwyrodnialec zszedł do garażu po siekiere?

Jezu, gdyby mieszkała w Stanach, mogłaby wleźć



Piotr Kowalski

pod łóżko i stamtąd dzwonić po policję – widziała taką historię w telewizji. Policjanci pojawili się w dwie minuty, zwinęli włamywacza i amerykańskie zakłady penitencjarne zyskały kolejnego klienta. Tyle że to nie ta szerokość geograficzna. Barbara czekała na założenie telefonu od sześciu lat i zanosilo się na drugie tyle.

Niespodziewanie do jej uszu dotarł stłumiony pomruk silnika. Przed domem stanął samochód. Barbara momentalnie zrozumiała, co to oznacza. Andrzej!

W pierwszej chwili popadła w euforię, którą jednak zaraz zastąpił niepokój o los męża. Nieświadomy czyhającego nań niebezpieczeństwa wejdzie do domu i... jeśli zostanie zaskoczony przez uzbrojonego napastnika, wytnie walki łatwo przewidzieć.

Nie mogła tak po prostu stać tutaj i czekać. Musiała coś przedsięwziąć – ostrzec w jakiś sposób Andrzeja. A to oznaczało opuszczenie bezpiecznej kryjówki w sypialni i ryzyko spotkania z mordercą.

Zamek szczęknął dwukrotnie, kiedy przekręcała klucz – nic na to nie mogła poradzić. Powoli uchylała drzwi, obserwując korytarz przez coraz szerszą szczelinę. Nie zauważyła żadnego podejrzanego poruszenia. Cisza i spokój. Prawie uwierzyła, że jest w tym domu zupełnie sama. Może zresztą faktycznie tak było... W każdym razie nie miała wiele czasu – słyszała już, jak Andrzej otwiera bramę prowadzącą do garażu pod domem. Zaryzykowała i przemknęła do schodów. Stąd, przykucnąwszy, zlustrowała widoczną część korytarza w dół. Nikogo... Przez głowę przemknęła jej pełna pogardy myśl, że może ten człowiek uciekł przestraszony perspektywą konfrontacji z kimś silniejszym niż bezbronna kobieta. Może. Stąpając ostrożnie zeszła po schodach. Minęła jasno oświetloną, pustą kuchnię. Minęła ciemny, pusty pokój gościnny, w którym wciąż gdał telewizor.

Na zewnątrz, w ciszy gorącej nocy, trzasnęły drzwi samochodu i zawarczał silnik. Wóz zaczął zjeżdżać po pochyłości do garażu.

Drzwi ściennej szafy po lewej stronie otworzyły się szeroko, a Barbara poczuła, że włosy na jej głowie sztywnieją, jak naelektryzowane. ON tam był. Cekał cały czas, ukryty wśród ubrań jak jakiś pan Flip albo inne dziecięce straszysko. A teraz wychynał z ukrycia i zastąpił jej drogę. W jednym ręku ścisnął nóż o wąskim, zakrzywionym ostrzu, w drugim trzymał za kark ścierwo Seszela, z którego lały się wnętrzności. Rozchylony pysk martwego kota ukazywał drobne, białe ząbki, wybałuszone oczy zaszyły mgłą, a futro zwierzęcia powalane było krwią.

I wtedy uświadomiła sobie, że nie wyjdzie z tego żywa. Nie musi się martwić, jak dzieciak przyjmie śmierć Seszela. Czy naprawa samochodu nadwerży domowy budżet. Kiedy wreszcie założą ten cholerny telefon. Nieważne, nieważne, nieważne. Koniec z roztrzaskanym zmarnowanych szans. Koniec z dylematami, którą książkę przeczytać teraz, a która będzie musiała poczekać do następnego weekendu. Koniec z problemami wieku średniego.

Lata świetlne od miejsca, w którym stała, Andrzej zgasił silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i pogwizdując wrócił zamknąć bramę. Spojrzał przelotnie w oświetlone okno na parterze. Wszystko wskazywało na to, że Baśka jest jeszcze na chodzie...

W ostatecznym geście rozpacz zanurkowała do kuchni – naturalnego arsenału w każdym domu. Myślała o wielkim nożu, który w telewizyjnej reklamie kroił równie dobrze mięso jak gwoździe. Miała taki

nóż. Niemal na wyciągnięcie ręki... Napastnik skoczył za nią porzucając koci zezwłok, który pacnął w kałuże posoki. Dopadł kobietę tuż za progiem, chwycił za ramię, obrócił twarzą w swoją stronę i pchnął jataganem.

Barbara poczuła, jak nóż napiera na jej brzuch, przebija skórę i sunie w głąb, krojąc po drodze wnętrzności. Piekący ból jak wtedy, kiedy przecięła sobie kant dłoni aż do kości, ale tym razem wraz z bólem przyszło wrażenie mdłacej słabości. Ostrze cofnęło się, jeszcze bardziej kalecząc przebitą żołądek i pocięte jelita. Następne uderzenie skierowane było ku górze, rozprute prawe płuco szybko wypełniła krew. Barbara chciała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu – zaczęła się krztusić. Miała uczucie, że jej płuca zapadają się do środka, jak przebit materac. Prychnęła i twarz obcego mężczyzny pokryły drobnutkie kropelki krwi. Tonęła, lecz towarzyszyły temu tylko konwulsyjne drgawki.

Andrzej zabrał z samochodu neseser i podrzucając w dłoni kluczyki wbiegł po schodach prowadzących z garażu prosto do ciemnego, pustego domu. W mroku pośliznął się. Choć tego jeszcze nie wiedział, właśnie znalazł Seszela.

statni tramwaj jadący w stronę śródmieścia był pusty. Paweł zajął miejsce w tyle wagonu, w nadziei, że przytłumione, żółte światło uniemożliwi motorniczemu zapamiętanie jego twarzy.

Cały był odrętwiały.

Serce zdążyło się uspokoić po szalonej ucieczce uliczkami wśród willi i bliźniaków, teraz uderzało powoli, jakby zamiast krwi przepompowywało melasę. Upragniony spokój. Umysł pogrążony w kontemplacji bodźców z zewnątrz – kurzu pod palcami opartymi na okiennej ramie, potu zasychającego na skórze, smaku suchego powietrza. Nakarmiona bestia uклада się do snu.

Tramwaj wyhamował i do wagonu wsiadł niski, pyzaty mężczyzna. Zajął miejsce za Pawłem.

Barbara Tracz nie żyła i Paweł żałował tylko, iż nie mógł poczekać, by zobaczyć minę jej męża, gdy ją znalazł zaszlachtowaną jak zwierzę. Ciekawe, co zrobił? Wypadł na ulicę z wrzaskiem „Pomocy!”, jak to pokazują w telewizyjnych rekonstrukcjach zbrodni? A może upadł na kolana i próbował ratować żonę, gładząc jej włosy i powtarzając, że wszystko będzie dobrze? Czy pocałował zalaną krwią twarz w nadziei, że cud Królowny Śnieżki zostanie powtórzony specjalnie dla niego? Pobiegł do telefonu wezwać policję? Ile budek obiegł, nim znalazł czynny automat? A w pustym domu stygła ta, którą kochał. Pod sufitem byczy pierwsza mucha... Jakże kruche jest ludzkie ciało. Można powiedzieć, same kleiste wnętrzności opięte cienką skórą i podtrzymywane wątłym szkieletem. Powinności się strzec, wszak tygrysy nie śpią tej nocy...

– Ma pan krew na ubraniu – obcy głos wyrwał Pawła z zamyślenia. Odwrócił się. Mężczyzna o okrągłej twarzy wskazywał jego kurtkę.

– Przepraszam?

– Krew.

Rzeczywiście, na rękawie i kołnierzu dzinsowej kurtki ciemniało kilka rdzawych plam. Tak się śpieszył opuszczając ten dom, że ich nie dostrzegł. Rażące zaniedbanie. Irytujący błąd. Był bestią, a bestie zawsze są o krok przed zwierzyną. Co się z nim dzieje? Ten facet może mu narobić niezłego gnoju, jeśli cała sprawa nie zostanie zbagatelizowana.

– Pewnie oparłem się o coś brudnego – rzucił odwracając się i uznając tym samym rozmowę za zakończoną.

– Zwróciłem na to uwagę – podjął mężczyzna i Pawłowi przemknęło przez głowę, że może to peda szukaający okazji – bo mam podobne kłopoty.

Paweł znów spojrzał na nieznajomego. Mężczyzna z uśmiechem rozchylił połę płaszcza. Na białej, bawełnianej podkoszulce z podobizną twarzy cierpiącego Chrystusa koloru odbłaskowej zieleni Paweł zobaczył trzy grube, krwawe smugi. Jak... Jak po trzepnięciu palcami?... To chciał powiedzieć?

– Właściwie tak.

– Wpadniemy gdzieś, co ty na to? Nie piję, alkohol przytępią zmysły, a ja chcę być sprawny. Ale moglibyśmy chwilę pogadać przy szklance soku. Opowiesz mi co nieco, ja tobie... No?

– Raczej nie – odparł Paweł ostrożnie. – Dziękuję.

Mężczyzna posmutniał.

– Samotnik, rozumiem. Chociaż to szkoda, nieczęsto zdarzają się takie okazje. – Uniósł brwi, jakby w głowie zakiełkowała mu nowa myśl. – A może ty mi nie wierzysz? Myślisz, że jestem glina?

– Nie – Paweł zareagował

zbyt pośpiesznie, bo w tej właśnie chwili o tym pomyślał. Policja. Ale skąd by wiedzieli?

Wszystko jedno...

– Akurat...

– Do widzenia – przerwał mężczyźnie wstając. – Muszę już wysiadać.

Wprawdzie od placu Bankowego dzieliło go kilka przystanków, ale wolał je przebyć na piechotę. Spacer dobrze mu robi.

Wyskoczył z tramwaju, kątem oka dostrzegając, że dziwny człowiek podąża jego śladem. Neifu dogonił go na przejściu dla pieszych.

– O co ci chodzi? Nie jestem żadnym cholernym tajniakiem. Rozumiem – ostrożność, ale to pachnie paranoją. Albo też tak panicznie się boisz.

Przechodzili obok dyskoteki, przed którą kłębiły się grupki młodzieży.

Fioletowe neony rzucające światło na twarze dziewczyn i chłopców stwarzały wrażenie, jakby budynek oblegała armia żywych trupów.

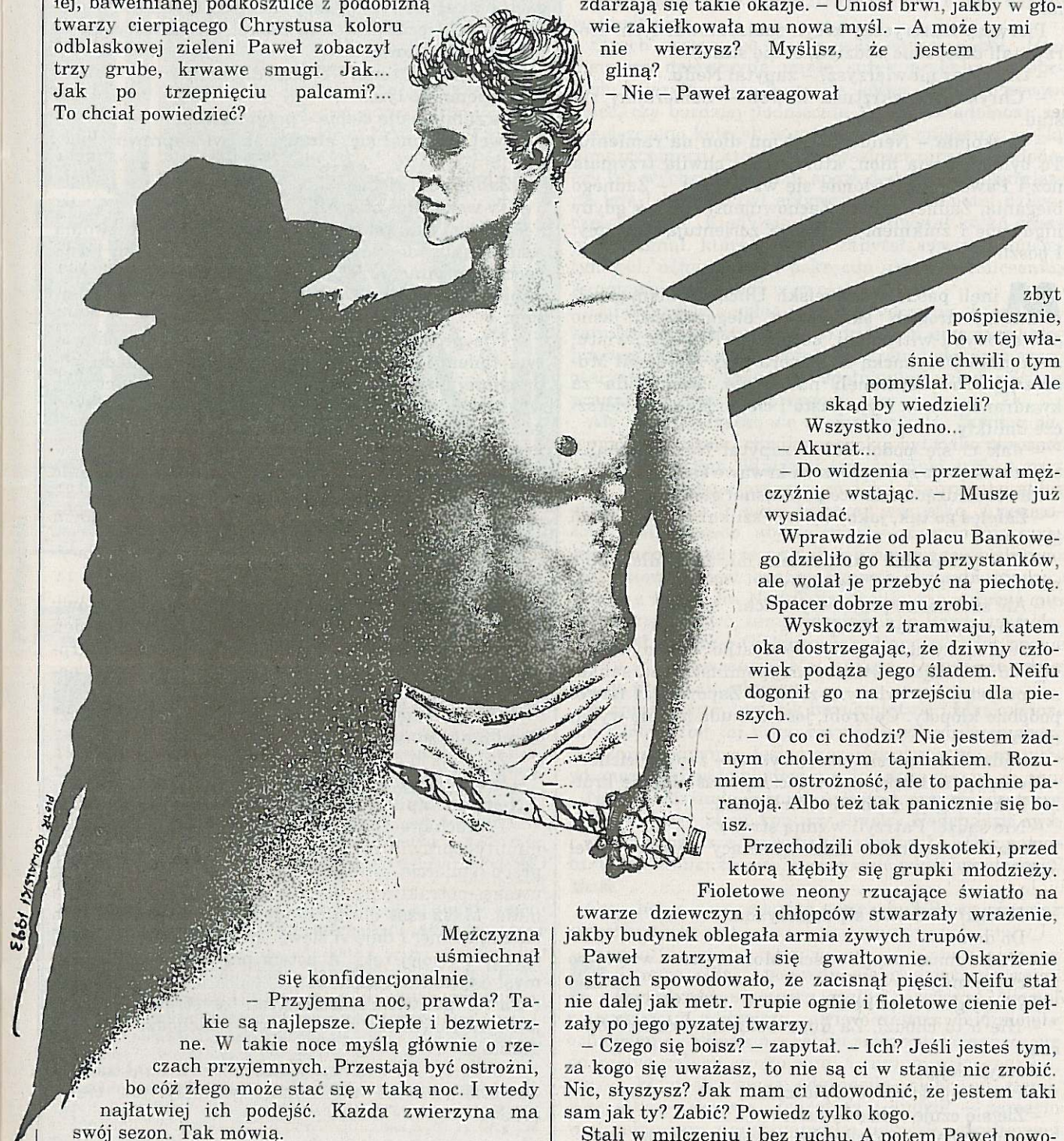
Paweł zatrzymał się gwałtownie. Oskarżenie o strach spowodowało, że zacisnął pięści. Neifu stał nie dalej jak metr. Trupie ognie i fioletowe cienie pełzały po jego pyzatej twarzy.

– Czego się boisz? – zapytał. – Ich? Jeśli jesteś tym, za kogo się uważasz, to nie są ci w stanie nic zrobić. Nic, słyszysz? Jak mam ci udowodnić, że jestem taki sam jak ty? Zabić? Powiedz tylko kogo.

Stali w milczeniu i bez ruchu. A potem Paweł powoli podniósł rękę i nie spuszczaając wzroku z oczu Neifu wskazał w tłum.

– Czy wtedy mi uwierzysz?

Paweł nie odpowiedział. Neifu obrócił się i przez chwilę wyglądało, że po prostu odejdzie. Ale on podążył w stronę grupki stojącej na uboczu. Przeprosił uprzejmie kilka osób. Paweł patrzył, jak zatrzymuje się przed rosnącym młodzieńcem obejmującym ramie-



Piotr Kowalski

Mężczyzna uśmiechnął

się konfidencjonalnie.

– Przyjemna noc, prawda? Takie są najlepsze. Ciepłe i bezwietrzne. W takie noce myślą głównie o rzeczach przyjemnych. Przestają być ostrożni, bo coś złego może stać się w taką noc. I wtedy najłatwiej ich podejść. Każda zwierzyzna ma swój sezon. Tak mówią.

– Nie rozumiem.

– Jasne – mężczyzna kiwnął głową. – Ostrożności nigdy za wiele. Młody jesteś, ale swoje już rozumiesz. Tego nie można się nauczyć. Albo to masz, albo nie. We krwi. Czy jeszcze głębiej. Mów mi Neifu.

Paweł niepewnie uściśnął wyciągniętą rękę.

– To imię?

– To wszystko. Po prostu Neifu. Jedziesz do domu?

niem palącą papierosa dziewczynę. A potem... W rękę mężczyzny pojawił się nagle nóż, zatoczył krag i trafił chłopaka w szyję. Uderzenie było tak silne, że niemal odrąbało głowę. Krew bryzgnęła, zalewając dziewczynę, która ugięła się pod ciężarem bezwładnego ciała, opryskując ludzi stojących dookoła. Na moment cała ta scena malowana fioletem i czernią zamarła, a Neifu przeprasząc przepchnął się z powrotem do Pawła.

Pierwszy histeryczny krzyk zaalarmował tych, którzy stali dalej i nie widzieli, co się stało.

– Czy teraz mi wierzysz? – zapytał Neifu.

– Chryste – wykrztusił Paweł. – Zabierajmy się stąd.

– Spokojnie – Neifu położył mu dłoń na ramieniu. To była ta sama dłoń, która przed chwilą trzymała nóż i Paweł nieświadomie się wzdrygnął. – Żadnego biegania. Żadnej paniki. Zachowujemy się, jak gdyby nigdy nic i znikniemy, nim się zorientują. Idziemy. I poszli.

Mineli pasaż śródmiejski. Ulicą Chmielną, pełną drogich sklepów z eleganckimi, jasno oświetlonymi witrynami, dotarli do Nowego Świata, a stamtąd Ordynacką do skweru przy Akademii Muzycznej. Tu przystanęli na chwilę. Dochodziła za kwadrans północ. Było pusto i cicho. Nawet świerszcze umilkły.

– Jak ci się podobało? – zapytał Neifu próbując chusteczką zetrzeć z płaszcza krwawe ślady.

Paweł siedząc na ławce potrząsnął głową.

– Zabiłeś go tak, jakby był... – szukał odpowiednich słów.

– Chorym psem? Nie powiesz mi, że to dla ciebie nowość – uśmiechnął się krzywo.

– Ale zrobiłeś to przy wszystkich.

– Sam wskazałeś ofiarę.

Paweł przymknął oczy. Wszystko działo się za szybko. Dzisiejszy wieczór przypominał zjazd sankami po ostro nachylonym zboczu. Zapowiadał nawet podobne kłopoty. Co robi, jeśli nie uda mu się wyhamować?

– Sądzisz, że widzieli moją twarz? – zapytał cicho.

Neifu opuścił rękę z chusteczką i zaśmiał się krótko. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie sądzę. Patrzyli w inną stronę.

Znowu się zaśmiał. Miał drażniący śmiech. Paweł wstał.

– Idę.

– Dokąd? – zdziwił się mężczyzna.

– Do domu.

– Nadal masz wątpliwości? Możemy tam wrócić po jeszcze jednego.

Paweł zignorował kpinę.

– Nie o to chodzi. Za dużo wrażeń – muszę odpocząć.

Ruszył aleją.

– Poczekaj, dokąd się śpieszysz?

– Żle się czuję. Chcę być sam.

Neifu złapał go za rękę. Miał twardy uścisk.

– Poczekaj – powtórzył.

Paweł obrócił się.

– O co ci jeszcze, do cholery, chodzi? Wierzę, jesteś taki sam jak ja. Co jeszcze? Chcesz dzielić tereny łowieckie? Wymieniać doświadczenia? Widziałem, jak zabijasz, robi wrażenie. Ja bym się tak nie odważył, jeśli ci to pochlebia. Ale teraz chcę iść do domu i odpocząć. To wszystko.

– Prawie – powiedział Neifu patrząc mu prosto w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Paweł nie chciał tego, ale wiedział, że w jego głosie brzmi napięcie.

– Zabiłem dla ciebie – odrzekł Neifu, jakby to wszystko wyjaśniało.

– I co z tego?

Mężczyzna wzruszył ramionami, ale po jego wargach błąkał się niewyraźny uśmiech tryumfu. Widać było, że z niecierpliwością czekał, by móc wypowiedzieć kolejne słowa:

– Chcę, żebyś teraz TY zabił dla mnie.

– Zapomnij o tym!

– Ja zabiłem dla ciebie – przypominał.

Paweł szarpnął się, ale uścisk był naprawdę mocny.

– Zabiłeś dla siebie.

– Ty wskazałeś ofiarę.

– Nikogo nie wskazałem – warknął Paweł i wolną ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, gdzie spoczywał jatagan. W tej samej chwili zobaczył przy swojej twarzy ostrze połyskujące księżycowym światłem.

– Nie prowokuj mnie – powiedział Neifu lodowatym tonem. Na jego twarzy nie było już śladu poprzedniej jowialności. Nawet sympatyczna pulchność wyglądała teraz bardziej jak opuchlizna trupa, którego wiosenne słońce uwolniło spod lodu. – Nie prowokuj mnie, bo to się dla ciebie źle skończy.

Paweł wolno opuścił rękę. Postanowił zmienić front.

– W porządku. Może się dogadamy. Kogo miałbym zabić?

Ostrze zniknęło.

– Korke.

– Kogo? – zapytał głucho. Strach oblał go od głowy do stóp. Nie strach, paniczne przerażenie. Żołądek zdusiły lodowate kłeszcze. I wiedział, że drży. Szarpnął się ślepo, tym razem Neifu go puścił. Paweł potknął się cofając.

– Ty świrnięty skurwysynu, skąd o niej wiesz? Skąd mnie znasz?

– Zabijesz ją dla mnie.

– Prędejsz sam zdechne.

Neifu postąpił krok do przodu.

– Postuchaj – powiedział groźnym tonem. – W trzy minuty oprawiłbym cię jak świnię i zmusił, żebyś przed śmiercią zeżarł własne flaki, toteż ostatnią uwagę potraktujmy jako niebyłą. Zabijesz ją dla mnie. Masz czas do jutrzejszego wieczora. Później ja się nią zajmę. I daję ci słowo, że będzie dla niej lepiej zginąć z twojej ręki. A potem przyjdę do ciebie. Pomyśl o tym. Do widzenia.

Paweł patrzył rozszerzonymi ze strachu oczami, jak Neifu odwraca się na pięcie i odchodzi w stronę Tamki.

– Kim ty, do cholery, jesteś?! – krzyknął za nim rozpaczliwie, ale mężczyznę połknęły już cienie drzew.

Czy chcesz porozmawiać o strachu?

Rządzi się prostą zasadą. Możesz godzinami siedzieć w ciemnym pokoju i czuć się świetnie. Do czasu, aż nie zwrócisz uwagi na mrok i nienaturalne cienie w kątach. Zaczynasz myśleć o istotach przyczajonych o krok od ciebie, czekających, aż ty sam dasz im sygnał do ataku. Wstając, by zapalić światło. Sadowiąc się wygodniej na krześle. A może po prostu wystar-



Piotr Kowalski

DARIUSZ ZIENTALAK jr

Urodził się 8 IX 1968 r. w Warszawie. Luźno związany z warszawskim Klubem Twórców. Do pisania i dziennikarskiej profesji szedł przez pracę drukarza, sprzedawcy w domu towarowym, tokarza, szkolnego wychowawcy, stróża nocnego, sztukatora oraz researchera japońskiej telewizji. Wraz z Tomkiem Kołodziejczakiem stworzył almanach „Voyager”, nagrodzony Śląską ’91 dla najlepszego krajowego wydawnictwa SF (cholera – ale się porobiło!). Ostatnio zrezygnował ze współredagowania „V” i objął dział krytyki w „Fenixie”. Ważniejsze opowiadania: „Od piątej do dziewiątej” („Fenix” nr 4/90), „Autostopowicz” („Voyager” nr 1). Ponadto od 1987 r. publikuje w „Młodym Techniku”, „Politechniku”, „Sfinksie”, „Problemach”.

Interesuje się Darek przede wszystkim horrorem, widząc w nim szansę tworzenia nowych, współczesnych mitologii – kreowania bohaterów kierujących się innym kodeksem moralnym niż oficjalny. Tak jest w przedstawianym u nas „Tygrysie...”, opowiadaniu bez wątplenia ze szkoły Barkera (i trochę Tyrmanda? – warszawska sceneria, postać egzotycznego „Złego”) będącym jakby odwróconym moralitetem. „Większe zło” przywołuje tu do porządku „zło mniejsze”, pozbawione klasy, bardziej tandetne. Zientalak wkracza w krag zainteresowań, w którym przebywają już od pewnego czasu autorzy tacy jak Dukaj, Cyran, Pawlak, Inglot – zboczenie, przestępstwo, potworność, szaleństwo przedstawiają jako pokusę i szansę, jako pułapkę i kwestię estetycznego bez mała wyboru, jako rozdarcie między wolą mocy a pragnieniem normalności. Po demonach polityki, która odsłoniła się jako dziedziśnia pozbawiona intelektualnego dramatyzmu, wręcz tandetna, polscy fanteści zaczynają badać zło w stanie czystym?

(mp)

czy, że ruszysz powieką? Więc siedzisz nieruchomo jak manekin, z nogą założoną na nogę, ciało ci coraz bardziej drętwieje, a ty ani mrugniesz, wytrzeszczając oczy i usiłujesz dojrzeć w mieniającej się ciemności błysk czerwonych ślepi albo najłżejszy ruch ciała napiętego do skoku. I niech mnie diabli, jeśli wreszcie ich nie zobaczysz. Bo to jest strach. Nie tylko zjawisko chemiczne, ale kraina rządząca się własnymi prawami.

W pustym mieszkaniu zmarłej ciotki Paweł odkrywał tę krainę.

Strach zawsze go fascynował. Strach i ból. Jego pierwsza dziewczyna miała sutek przekłuty srebrnym kolczykiem w kształcie kółka. Trudno powiedzieć, czy bardziej podniecała Pawła świadomość, że umieszczono kolczyk w tym właśnie miejscu z myślą o mężczyznach, którzy w przyszłości ujrzą tę ozdobę, czy też wyobrażenie bólu spowodowanego chirurgiczną igłą i kropli krwi spływającej po napiętej dziewczęcej skórze. Kiedy się kochali, chwycił kółko zębami i ciągnął, któregoś razu zapytał, czy sprawia jej tym ból, uśmiechnięta pokręciła głową w milczeniu. Zanotował odpowiedź w swojej pamięci.

Lubił myśleć o sobie jako o stworzeniu, które żyje zanurzone w ekstremalnych ludzkich emocjach, głębinowej rybie świadomości. Zarazem był koszmarem otaczających go zwierząt i spełnieniem ich żarliwego pragnienia przeżycia przygody.

Ale teraz wszystko się skomplikowało. Tkwił w samym oku cyklonu, chwilowy spokój był tylko pozorem – wiedział o tym. Wiedział też, że musi szybko znaleźć odpowiedź na pytanie, co dalej. Najważniejsze to uniknąć paniki. Inaczej spieprzy wszystko. Z pewnością istniał sposób, aby tę sprawę odpowiednio rozebrać i udowodnić, że prawdziwą przewagą myśliwego nad zwierzyną jest jego inteligencja, a nie dwururka.

A co z żądaniem Neifu? Spotkanie w tramwaju nie było przypadkowe, ten gość wiedział o Pawle za dużo. Wiedział o Korce. Ciekawe, jak długo siedział im na karku nie zauważony? Męt znikąd. Uważa, że może tak po prostu się odgrażać.

Z drugiej strony to, jak beznamiętnie i błyskawicznie Neifu zabił tej nocy, czyniło jego groźby niebezpiecznie realnymi. Jeśli teraz Paweł mu się sprzeciwi, może będzie to błędem nie do naprawienia.

Niebo zaczynało jaśnieć – Paweł potrafił dostrzec z kuchennego okna kontury drzew. Nadchodził świt i wkrótce wnętrze mieszkania przybrało kolor popiołu. Coraz mniej czasu. Musi podjąć właściwą decyzję. Musi.

Czy chcesz porozmawiać o strachu? Bo to przecież strach?

Pierwsze obłoki pojawiły się o dziesiątej rano. Przypląnęły z północy, małe i niegroźne. Nie towarzyszył im najłżejszy powiew wiatru, najmniejsze ochłodzenie. Jednak o wpół do jedenastej ciągnęły się po niebie całymi gromadami i nim minęła godzina, szara, kłębiasta masa odgradziła niebo od ziemi. Wszystko – drzewa, zwierzęta i ludzie – zamarło w oczekiwaniu nadciągającego deszczu, gwałtownej burzy, wściekłych potoków wody, które zmyją kurz, brud i sny w gorączce. Nic takiego jednak nie nastąpiło – chmura okazała się fałszywą szansą. Wprawdzie powietrze zgęstniało, a gdzieś wysoko przetoczył się raz i drugi pomruk gromu, ale to wszystko.

– Chmury jak chmury – odezwała się Korka, nie wiadomo bardziej do siebie, czy do Pawła. – Czego im

brakuje? Gdzie te czasy, gdy zima oznaczała śnieg, a chmury deszcz?

Leżeli nago w zmietoszonej pościeli, która nie była już chłodna, lecz wilgotna i lepka. Stykali się końcami palców, patrzyli w sufit i rozmawiali. Nie było w tym nic erotycznego, po prostu leżeli bez ubrań – bo tak chłodniej – i próbowali przetrwać jeszcze jeden dzień upalnego lata. Doczekać zmroku.

Paweł przetoczył się na brzuch i sięgnął po szklankę. Pusta.

– Koniec lodu – oznajmił.

– Idę wziąć prysznic – Korka wstała. Słyszał, jak zapala światło w łazience, jak odkręca kran. Zaszumiła woda. Woda. Zaszło mu w gardle. Ręką otarł pot z czoła. Wystarczyło iść do kuchni, otworzyć lodówkę i zgarnąć parę grzechoczących kostek prosto z zamrażalnika. Ale Paweł nie chciał iść do kuchni. W kuchni jest kredens, a w kredensie szuflada, a w tej szufladzie śmierć.

Kiedy masz w ręku nóż i widelec, musisz wreszcie coś pokroić. A kiedy masz sam nóż?

W szufladzie kredensu leżał jatagan. Czekał. Pawłowi po raz pierwszy przyszło na myśl, że kształt jatagana przypomina wykrzywione w sardonicznym uśmiechu usta. Usta przemawiające krwią.

Jeszcze dziś usłyszysz, co mamy do powiedzenia o twojej dziewczynie. Bo przecież już się zdecydowałaś. Pamiętasz? W tej samej chwili rozległy się dzwony pobliskiego kościoła. Taka zbieżność robi wrażenie, co? Odrobina metafizyki w codziennym życiu. A więc do dzieła. I nie bój się – w razie czego przemówimy w twojej obronie.

Korka wróciła do pokoju. Łóżko ugięło się pod jej ciężarem.

– O czym myślisz?

Obrócił głowę w jej stronę. Wychodząc spod prysznica prawie się nie wytarła. Miała mokre koniuszki włosów, krople wody staczały się po jej ramionach.

– O tym, jaka to szkoda, że nie zgodziłaś się tu ze mną mieszkać. Wszystko mogłoby dziś wyglądać inaczej.

Jaka szkoda. Zamiast polować w nocy tuliłbym cię do swojego boku. Bestia spałaby też. Byłoby mniej krwi, mniej trupów. I nie spotkałbym Neifu. Jaka szkoda...

– Mówisz jak pogrzebany w ołowianej trumnie, sześć stóp pod ziemią. Jeszcze wiele możemy zmienić.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Tak sądzisz?

Mylisz się. Jeszcze wczoraj przyznałbym ci rację. I przedwczoraj. Ale właśnie dziś wszystko musi potoczyć się wcześniej wytyczonymi koleinami. Któregoś dnia będę gotów dopaść tego skurwysyna. Ale tylko jeżeli dziś spełnię jego żądanie. Jestem jeszcze za słaby – nie moja wina. To ważne, Korka, musisz pamiętać – to nie tylko moja wina. Wszyscy coś zawalili – rodzice, nauczyciele, ludzie na ulicach, nawet ty. Teraz musisz zrobić to, co każe Neifu. Inaczej on załatwi ciebie, a potem mnie. Tak powiedział i ja mu wierzę, ty też byś mu uwierzyła, gdybyś widziała go w akcji. A jeśli ja zginę, szansa uduszenia bydlaka jego własnymi jelitami przypadnie.

Korka sięgnęła pod poduszkę i wydobyła stamtąd szpilkę do włosów, długą na dwa cale, z główką z toczzonego drewna. W zamyśleniu obracała ją w palcach. Paweł obserwował to z niepokojem.

– Kiedyś wyjmiesz sobie tym oko. Albo mnie.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Tak, lepiej zrób to teraz, mamy dzisiaj jeszcze masę roboty.

– Pamiętasz, jak mówiłam ci, że mam kłopoty hormonalne?

Kiwnął głową.

– Pamiętam.

– Byłam wczoraj u lekarza. Nigdy nie miałam aż takich opóźnień... – jej spojrzenie wyrażało niepewność, więcej nawet – lęk. – Paweł, sądzisz, że będziesz dobrym ojcem? – Pauza. – Mam nadzieję, że tak.

Aż usiadł.

– Jak to?

– Ja chcę mieć to dziecko – powiedziała szybko nie spuszczać wzroku z Pawła. Dotknęła jego twarzy. – Boję się, ale chcę je mieć. Przecież musi nam się udać – zakończyła niemal płaczliwie.

Wcale nie, pomyślał, ale głośno powiedział: – Jasne.

Zamknął oczy. Pod powiekami jak bengalskie ognie wybuchły mu czerwone i zielone smugi. Jak to jest, że życie zawsze strzela ci w plecy i zawsze ma jeden nabój więcej niż się spodziewasz?

W jakiś irracjonalny sposób był pewien, że Neifu wiedział o ciąży Korki, nim on się dowiedział. Kim ty jesteś? – spytał w myślach otyłego człowieczka. Chcesz mnie za coś ukarać, a może uratować przed losem, jaki nieświadomie sam sobie zgotowałem? Pokazać, co to naprawdę znaczy być wilkiem-samotnikiem przemierzającym martwe przestrzenie w chłodnym świetle gwiazd.

Kornelia z niepokojem obserwowała twarz Pawła. Gdy wreszcie otworzył oczy, ujrzała w nich dziką determinację i pewność co do wybranej drogi. Czekala, co powie.

– Ubieraj się – rzekł wstając z łóżka. Spojrzał na zegarek, potem znowu na nią. – Na co czekasz? Nie mamy czasu.

Posłusznie zebrała części garderoby z podłogi i zaczęła je na siebie wciągać. On stał już praktycznie gotowy, zapinał właśnie spodnie. Co zamierzał z nią zrobić? Wyrzucić na ulicę i powiedzieć, że nie chce jej więcej widzieć? Zaciągnąć siłą do ginekologa na skrobankę? Upinając włosy próbowała zgłębić wyraz twarzy Pawła, ale bez powodzenia.

– Idziemy – uprzedził jej pytania. Wyszli z mieszkania kwadrans po drugiej. Kiedy byli już w drzwiach, Paweł przypomniał sobie o czymś. Złapał dzinsową kurtkę z wieszaka i wszedł do kuchni. Tam odsunął szufladę kredensu i zabrał jatagan.

Właściwie kilka słów należałoby poświęcić Aleksandrze Fabryniuk. Kiedy parę minut po ósmej wieczorem, tego samego dnia, pociąg pośpieszny „Kujawiak” dojeżdżał do Bydgoszczy, weszła do toalety w wagonie drugiej klasy i omal nie postradała zmysłów.

Paweł wrócił do mieszkania po zmroku. Zamknął drzwi na obie zasuwę i obszedł wszystkie pomieszczenia, w każdym zapalając światło, w każdym sprawdzając ewentualne kryjówki. Wyrzwał nawet przez okno. Wprawdzie mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze i Neifu musiałby umieć latać albo posiadać umiejętność wspinaczki po niemal gładkiej ścianie – w pobliżu nie było żadnych balkonów ani piorunochronu – ale Paweł doszedł do wniosku, że dodatkowe zabezpieczenie przyniesie jeśli nie korzyść, to dodatko-

wy spokój, i starannie zaryglował oba okna, to w pokoju i to w kuchni. Nie znalazł nikogo, nikt nie wyskoczył z szafy. Chwilowo był więc bezpieczny. Ściągnął przepocone ubranie i wepchnął je do przepełnionego pojemnika z brudami, wziął szybki, orzeźwiający prysznic. Jatagan miał przez cały czas w zasięgu ręki. Wytarł się dokładnie, założył czystą odzież i powędrował do kuchni, gdzie przygotował sobie kolację. Kiedy skończył jeść, było już zdrowo po dziesiątej. Umył naczynia. Chwilę zastanawiał się nad nastawieniem jakiejś muzyki, ale ostatecznie uznał, że to zły pomysł. Żadnych rozpraszających dźwięków. Wreszcie pogasił światła, zostawiając tylko zapaloną lampkę przy łóżku. Ustawił na środku pokoju krzesło i usiadł na nim, kładąc sobie jatagan na kolanach. Minęła jedenasta, ale Paweł nie wybierał się jeszcze spać. Oczekiwał gościa.

I gość przyszedł. Tak po prostu. W jednej chwili ocieniony kąt był pusty, a w drugiej – już stał tam Neifu. I było to bardziej przerażające niż gdyby pojawił się w świetlnej iluminacji, przy akompaniamencie trzasku piorunów.

Paweł zrazu nie pojął, co nastąpiło. Przecież siedział na tym cholernym krześle przez cały czas, nie ruszając się ani o krok, jakim więc cudem ten człowiek zjawił się tu niepostrzeżenie? Czerń za oknem była czernią głębokiej nocy, a zza ścian nie dobiegał żaden odgłos, jakby wszyscy mieszkańcy domu pogrążeni byli we śnie. Czyżby i on się zdrzemnął? Chryste, czyżby zasnął?

Postać w kacie postąpiła krok naprzód. Neifu. Bez wątplenia. W całej glorii i chwale. W przydużym wojskowym płaszczu zamiast pobrudzonego krwią prochowca. Do tego workowate spodnie i nie pasujące do reszty brązowe buty ze skórą wycinaną we wzorki.

– Ważniejsze od tego, co obiecujesz – głos Neifu brzmiał jak zgrzyt tłuczonego szkła – jest, czy potrafisz dotrzymać danego słowa. W dzisiejszym skomplikowanym świecie to próba siły. Ja staram się dotrzymywać swoich obietnic!

Paweł chciał chwycić jatagan, ale jego dłonie złapały tylko powietrze. Pozbawiono go broni. A wraz z nią ostatniej szansy w tej walce.

– Tego szukasz? – Paweł aż podskończył. Jatagan w ręku Neifu! Pojawił się tam za sprawą magicznej sztuczki, równie nagle co inny nóż, poprzedniego wieczoru, przed dyskoteką.

– O co ci chodzi? – zapytał słabym głosem Paweł. – Wciąż ci mało? Kogo teraz mam zabić? Matkę? Ojca?

Przez twarz mężczyzny przemknęły cienie, jakby jego ciało rozświetlał wewnętrzny płomień.

– Gierki. Uwielbiasz gierki, co?

– Zabiłem dla ciebie dziewczynę, którą kochałem...

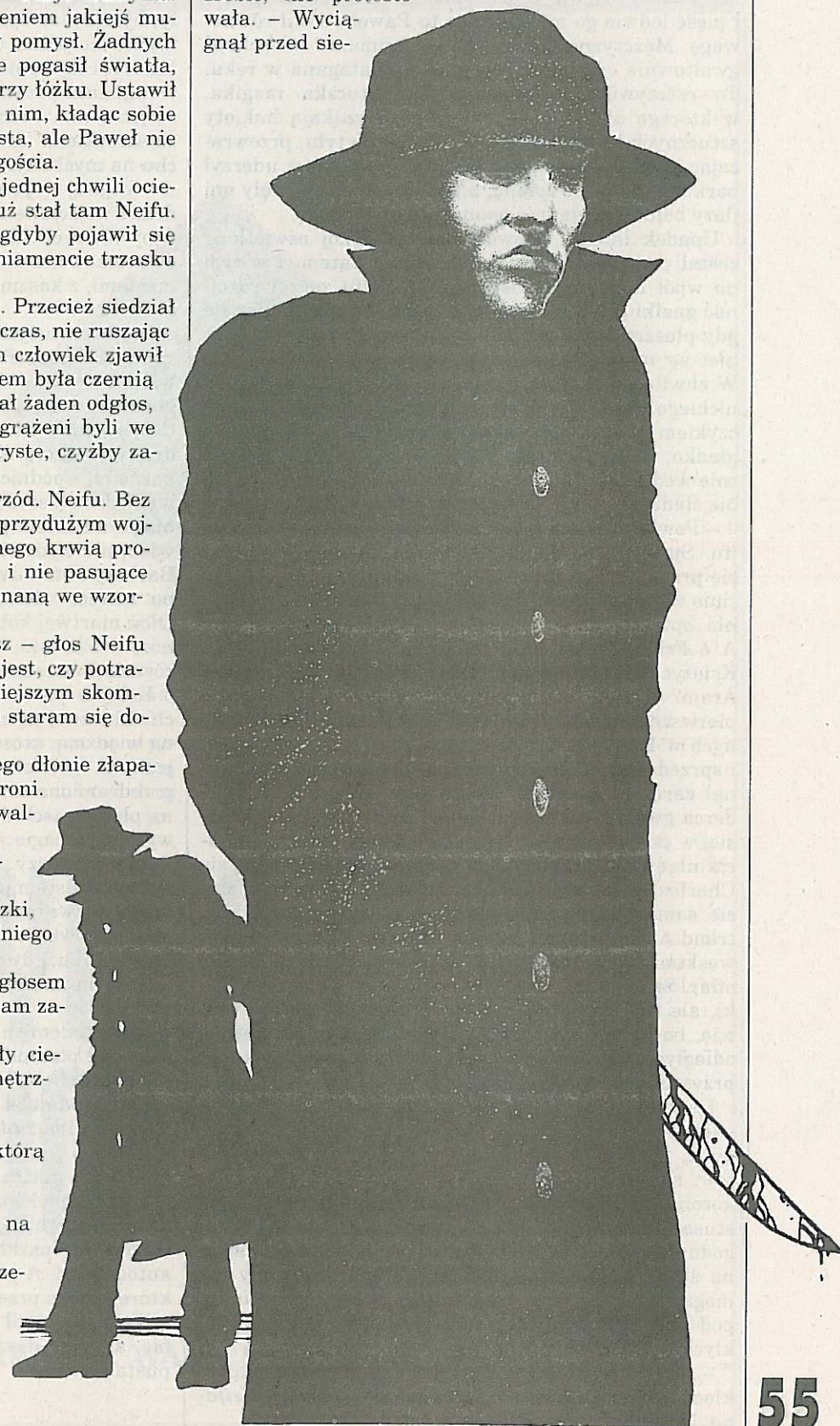
– Kłamiesz.

– Do diabła, czuję jeszcze jej krew na sobie!

– Kłamiesz! – ryknął Neifu. – Uprzedzałem cię, że jeśli ty tego nie zrobisz, ja zrobię to za ciebie. Masz się za geniusza? A *rusé, rusé et demi*. Myślałeś, że wystarczy wysłać ją gdzieś daleko stąd, a mnie powiedzieć cokolwiek?

Paweł zbladł. Nie bał się już, był przerażony. Nie mogąc wydusić z siebie słowa, słuchał tego, co mówi Neifu.

– No więc znalazłem ją. W pociągu. Powiedziała, że jedzie do Bydgoszczy, do domu, a ja powiedziałem jej o sobie i kim ty jesteś. Bez kłamstw, bez niedomówień. Walczyła, broniła cię, biedny sukinsynu, ale wreszcie dotarło do niej, co jest prawdą. Byłem przekonujący. Tak bardzo, że gdy wyjaśniłem, co muszę zrobić, nie protestowała. – Wyciągnął przed siebie



bie rękę, w której trzymał okrwawiony strzep z przyklepionym kosmykiem ciemnych włosów. – Czy poznasz tę twarz?

– Chryste – wyszeptał bezgłośnie Paweł, nie mogąc oderwać oczu od poszarpanego ochłapu. A potem skoczył. Chciał przegryźć gardło temu skurwysynowi, wyrwać mu serce gołymi rękoma, zatańczyć na jego flakach. Zamachnął się i uderzył w sam środek nalonej twarzy. Neifu w ostatniej chwili uchylił głowę i pięść ledwie go musnęła, za to Paweł stracił równowagę. Mężczyzna chwycił go za ramiona i odepchnął gwałtownie od siebie. Nie miał już jatagana w ręku. To rzeczywiście wyglądało jak sztuczka magika, w którego dłoniach pojawiają się i znikają bukiety sztucznych kwiatów. Paweł poleciał do tyłu, przewracając krzesło oraz nocną lampkę. Z impetem uderzył barkiem i głową o ścianę, a pod czaszką zapłonęły mu flary bólu. Bezwładnie osunął się na podłogę.

Upadek lampki spowodował, że pokój oświetlony został pod niecodziennym, dziwnym kątem. I w tym na wpół nierealnym oświetleniu Neifu zaczął rozpiąć guziki płaszcza. Stał tuż za krawędzią cienia, ale gdy płaszcz opadł na podłogę, Paweł zobaczył wyraźnie, że nagi tors mężczyzny pokrywa siatka blizn. W chwilę później dostrzegł coś jeszcze. Ostrze rzeźnickiego noża. Wynurzyło się powoli pod lewym obojczykiem Neifu i powędrowało skośnie w dół. Sunęło gładko, tnąc skórę tak, jak płetwa grzbietowa rekina tnę wodę, by w końcu zniknąć nie zostawiając po sobie śladu.

– Powinieneś coś o mnie wiedzieć – odezwał się Neifu. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył tego, co się przed chwilą stało. Paweł obserwował, jak świeżą ranę wypełnia krew, dowód, że nie padł ofiarą złudzenia optycznego. – Słyszałeś o Kubie Rozpruwaczu? A o Fritzu Haarmanie? O Rzeźniku z Düsseldorfu, Księżycowym Mordercy, Lizzie Ashley, Bertrandzie Aram? Znałem ich wszystkich. Haarman krótko po pierwszej wojnie światowej zaczął zabijać zagubionych w Hanowerze przesiedleńców. Ciało ćwiartował i sprzedawał jako wieprzowinę. Złapano go, ale zniknął zaraz po procesie. Byłem tam. Księżycowy Morderca gwałcił i skórował młode dziewczyny w Teksasie, w połowie wieku. Nagle zabójstwa ustały, a policja nigdy nie poznała jego personaliów. Nazywał się Charles Heard i pracował jako mechanik w warsztacie samochodowym w Texarkana. Byłem tam. Bertrand Aram przez blisko rok krążył tuż przed świtem wąskimi uliczkami Sitges, uzbrojony w nóż, szukając ofiar. Szczególnie upodobał sobie pijaków i prostytutki, ale nie zamierzał zbawiać świata. Wiem, co mówię, bo byłem tam. Tam i w setkach innych miejsc odległych od siebie w czasie i przestrzeni. A teraz przyszedłem do ciebie.

I wtedy z jego głowy wysunęły się ostrza. Było ich wiele – małe i spiczaste, długie i szerokie, proste, wygięte, gładkie i pokryte wzorami, ostrza noży, szyletów, skalpeli i brzytw. Wyglądały jak stylizowana korona cierniowa na głowie apokaliptycznego Chrystusa obłąkanych. Usta Chrystusa wygięły się w łagodnym uśmiechu i uśmiech ten doprowadził Pawła na skraj szaleństwa. Siedział jak sparaliżowany nie mogąc oderwać oczu od napiętej skóry torsu Neifu, pod którą coś wirowało, roilo się jak gromada wściekłych pszczoł.

– Neifu – powiedział mężczyzna. Jak za sprawą zaklęcia ostrza zniknęły w jego czaszce. – *Neifes. Neifano.* Noże, przyjacielu. To moje imię.

Z kieszeni leżącego na podłodze płaszcza wydobył kajdanki.

– Wstawaj – powiedział do Pawła. – Mamy jeszcze coś do zrobienia.

Grzebień ostrzy wzdłuż kręgosłupa nadawał mu wygląd prehistorycznego monstrum z japońskiego filmu.

Paweł niezgrabnie zaczął się zbierać z podłogi. Pozwolił wziąć się za rękę i poprowadzić do ciemnej łazienki. Posłusznie wszedł do wanny. Był zbyt ogłupiały, by stawiać opór. W głowie wirowały mu oderwane myśli, ale jedna wracała natrętnie: dokąd pójdzie po śmierci i czy spotka tam Korkę. Miał nadzieję, że nie.

Kajdanki przeciągnięte nad wystającą ze ściany rurą grzejnika zatrzasnęły się na nadgarstkach Pawła ze szczękiem. Za późno na ucieczkę. Dygotał ze strachu na myśl o tym, co miało teraz nastąpić.

– Żegnaj – powiedział Neifu i wyszedł. Trzasnęły drzwi wejściowe i zapadła cisza. A więc to koniec? – zapytał po chwili Paweł samego siebie. To miała być ostateczna kara? Pozostawienie go sam na sam z jego myślami, z koszmarami trawiącymi umysł? Najwyraźniej tak.

Najpierw usłyszał świszczące oddechy i odgłosy szurających stóp. Potem przywykającym do ciemności wzrokiem wyłowił kontury zbliżających się postaci. Na nowo opadł go strach. Niebawem ich zobaczył.

Pierwsza w smugę światła wpadającą przez otwarte drzwi z pokoju weszła Barbara Tracz. Zgubiła jeden pantofel, spódnice miała umazaną krwią, a bluzka wyglądała jeszcze gorzej – okrwawiona i poszarpana. Martwa kobieta podeszła do wanny. Paweł nie był pewien, ale wydawało mu się, że dostrzegł przy nogach Barbary kota o zmierzwionym, zaschniętym na skorupę futrze, wlokącego za sobą własne wnętrzności. Dłoń martwej kobiety nie była pusta. Trzymała w niej nóż, wielki nóż, który na telewizyjnej reklamie kroił równie dobrze mięso jak gwoździe.

Kolejna postać wychynęła z mroku i w pierwszej chwili Paweł jej nie poznał. Może była tą wytapirowaną wiedźmą, którą załatwił kiedyś na klatce schodowej jednym, gładkim pchnięciem? Nie. Ta tutaj miała przedramiona obrane z mięsa aż do sinych kości i czarną plamę zaschniętej posoki, spod której gdzieś widać nagi ścięgna i mięśnie w miejscu twarzy. Zamiast twarzy. Dopiero gdy rozpuściła włosy dobrze znanym gestem, dotarło do niego, że patrzy na Korkę. Ujęła w dwa palce szpilkę do włosów długą na cztery cale, z główką z toczzonego drewna. Nie mógł powstrzymać krzyku, gdy przysunęła mu ją do twarzy.

A z tyłu nadchodziły następne cienie.

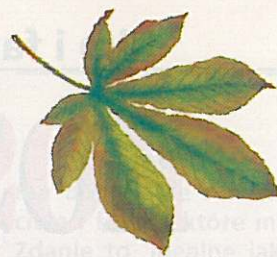
Pprzed domem Neifu zatrzymał się na chwilę i zaplątał płaszcz. Świtało, ale ulice były jeszcze puste. W koronach drzew świergotały rozbudzone ptaki.

Silny podmuch wiatru uniósł kurz i drobiny piasku, zakręcił nimi i cisnął w górę. Bure chmury przesłaniające niebo sunęły nisko nad miastem. Wkrótce drugie uderzenie wiatru silniejsze od poprzedniego poruszyło suchym, naelektryzowanym powietrzem. Szarpnęło dużymi drzewami, przygięło do ziemi mniejsze. Gdzieś na parkingu rozbrzmiał jęk uruchomionego autoalarmu. A potem spadły pierwsze, ciężkie krople, które szybko przemieniły się w siekające potoki.

Neifu postawił kołnierz płaszcza i ruszył przed siebie, ale nim doszedł do pierwszych drzew, ulica była pusta.

Dariusz Zientalak jr

WARSZAWSKI
FESTIWAL FILMOWY
WARSAW FILM FESTIVAL
7 – 17 października 1993



TYLKO DLA TWOICH OCZU

w kinach
MURANÓW, WARS, KWANT – RIVIERA

KOŚCI PO BARKERZE

Jest w tym filmie wszystko. Reminiscencje z „Flatliners” (spotkanie z nieżyjącym ojcem), z „Poltergeista” (duch z telewizora), z „Dark Angel” (fruwająca i mordercza płyta kompaktowa), z „Carrie” (telekinetyczna masakra w klubie), z „Doktora Jekylla i Mr Hyde’a” (przepuszczonego przez wyobraźnię twórców o Niesamowitym Hulku (potwór grasuje po ulicach, a człowiek, który dał mu ciało, usiłuje go powstrzymać), z filmów o kulisach telewizji (bohaterka jest usiłującą się wybić reporterką), z „Omenu” (martwe przedmioty i siły naturalne są sterowane szatańską wolą), z „Koszmaru przy Elm Street” (makabryczne poczucie humoru głównego bohatera, jego możliwości manipulowania rzeczywistością i funkcja „władcy snów”), z filmów o zombie (zabici przez Pinheada stają się jego pomocnikami). I na paradoks zakrawa fakt, że ten film, któremu bliskie są najrozmaitsze myślowe i obrazowe tradycje nowoprzygodowego kina grozy, sytuuje się szalenie daleko od swego (wyreżyserowanego przez Clive Barkera na podstawie jego powieści) pierwowzoru.

„Hellraiser” (bez podtytułów i uzupełniających tytułu liczb) opowiadał o tym rodzaju zła, które można zaprosić do siebie (i tylko do siebie), gdy się go pragnie lub po prostu przez pomyłkę. Kluczem do niego była kostka Lemarchanda (przeznaczona do rozłupywania powierzchni rzeczywistości). Rozwiązując łamigłówkę, otwierając kostkę można było wezwać Cenobitów. Cenobici byli istotami z ciała i kości – sami doznawali rozkoszy tortury i oferowali ją tym, co

ich przyzwali. Przychodzili z piekła, ale to piekło nie miało teologicznego równoważnika w postaci nieba: było piekłem, bo dawało cierpienie. Z takiej koncepcji postaci i intrygi wynikały rozmaite ograniczenia, ale i specyficzna filozofia grozy, budzonej tym, że człowiek sam przyzywa to coś, co go zniszczy (robi to z żądzy, z ciekawości, przez nieświadomość, ale to robi).

W „Hellraiserze 3” pozostał już tylko Pinhead (ten z głową nabitą gwoździami), a w dodatku przestał on być istotą z krwi i kości (czyli, że nie można go już nazwać Cenobitą – członkiem Zakonu Bliźni). Stał się on demonem, wyśłannikiem piekła, kimś innym niż był przedtem. Atakuje już nieproszony i sieje śmierć i zniszczenie bez żadnych ograniczeń. Natomiast kostka – klucz do zła – staje się tu narzędziem służącym do okiełznania demona.

Pojawiły się też w filmie implikacje teologiczne, nieobecne u Barkera – Pinhead profanuje krzyż, parodiuje Chrystusa i bezczęści kościół. Występuje jako reprezentant piekła, okrutny potwór zupełnie pozbawiony zasad. Aczkolwiek w filmie mówi się o tym, że autentycznie niewinni są bezpieczni i że piekło też ma swoje przykazania, ale z działań ekranowych wynika, że to nieprawda (trup ściele się tu pokotem bez żadnego zróżnicowania na winnych i niewinnych, a przykazania piekła do końca pozostają nieznane).

Słowem, z Barkera zostało tu niewiele, choć jego duch porbrzmiewa w owych napomnieniach o niewinności i piekielnych przykazaniach oraz w kwestii Nie

HELLRAISER 3

(HELL ON EARTH).

Reż.: Anthony Hickox.

Scen.: P. Atkins. Efekty

specjalne: Bob Keen. Obsada:

Terry Farrell, Doug Bradley, Paula Marshall.

USA 1992.



ma dobra, nie ma zła, jest tylko ciało i formy, które mu nadajemy. Zdanie to, idealne jako streszczenie Barkerowskiej filozofii grozy, traci jednak swą siłę, gdyż zdarzenia na ekranie co i rusz przenoszą się w sferę duszy: do snów bohaterki czy do miejsca „po Tamtej Stronie”, gdzie dwie postacie Cenobity walczą ze sobą (notabene w sposób nader efektowny).

Z jednej strony żal, że z koncepcji Barkera zostało tylko tyle: jedna malownicza kreatura (Pinhead), jeden gadżet (kostka Lemarchanda) i garść „złotych myśli”, będących nawiązaniem do jego panopticum grozy. Z drugiej strony, trudno mieć do reżysera i autora oryginalnego scenariusza pretensje o to, że poszli własną drogą i odkryli możliwości opowiedzenia jeszcze czegoś tam, gdzie Barker uznał fabułę za zakończoną i rzecz całą za definitywnie zamkniętą.

Kwestia, czy taki ciąg dalszy „Hellraiser” jest do przyjęcia, to w gruncie rzeczy problem interpretacji wykreowanego przez Barkera świata. Fakt, że pisarz takich kwestii unikał, nie powstrzymuje jego interpretatorów przed ich stawianiem. A horror jako gatunek jest szczególnie prawomocny do pytania o to, co się dzieje z demonem po śmierci i jak wygląda walka człowieczej duszy z ciałem. Hickox – korzystając z tego prawa – może sobie tę walkę wyobrazić nawet w konwencji walki na pięści z dopuszczeniem używania ostro zakończonych narzędzi.

Filmowe monstrum żyje tak długo, jak długo budzi grozę. Dracula i Frankenstein – już dawno oderwani od oryginalnego kontekstu – są wyrazistymi dowodami prawdziwości tego twierdzenia. Los podobny do ich ekranowych dziejów może spotkać i Pinheada. Aby go przywołać do dowolnej historii grozy, wystarczy użyć kostki Lemarchanda. Owszem, wzdragam się na myśl, że kostką mógłby się posłużyć Freddie Krueger, rekin ze „Szczęk”, Rambo, Obcy, Terminator lub E.T., ale po tym, co zobaczyłem w „Hellraiserze 3”, nie mogę uznać takich ewentualności za niemożliwe.

Jerzy Szyłak



GALERIA

WIRTUALNEJ

Piotr Biernacki

Aby w pełni zrozumieć znaczenie komputera w grafice, trzeba sobie zdać sprawę, że komputer jest tylko narzędziem. Co prawda bardzo dobrym, ale nie jedynym. Często pewne fazy pracy można, a nawet należy wykonywać tradycyjnymi metodami. Daje to znacznie lepszy efekt mniejszym nakładem kosztów. Na ogół jednak właśnie nowoczesne oprogramowanie komputerowe daje najpełniejsze możliwości przygotowania grafiki, umożliwia najszybsze jej opracowanie oraz zapewnia pełną kontrolę nad przygotowaniem jej do powielenia.

Oprogramowanie graficzne można podzielić na rysunkowe (w gwarze komputerowej nazywane wektorowym) i malarskie (zwane również rastrowym lub oprogramowaniem do obróbki zdjęć). Tradycyjny „przepływ” procesu tworzenia grafiki to:

- elementy wykonywane poza komputerem (tradycyjne techniki, zdjęcia);
- skanowanie i obróbka programami malarskimi;
- wykończenie grafiki w programach rysunkowych.

Kolejnym krokiem po wyborze oprogramowania jest wybór odpowiedniego sprzętu. Powinien być to odpowiednio szybki komputer wyposażony w niektóre z urządzeń peryferyjnych. Należą do nich skanery ręczne lub stołowe (inne ze względu na cenę wykorzystywane są raczej w profesjonalnych studiach graficznych), digitizery oraz drukarki laserowe lub kolorowe. Skanery służą do wczytywania ilustracji do komputera. Digitizery to nic innego jak elektroniczna forma ołówka lub piędzla. Ponieważ cena digitizera jest na ogół dość wysoka, można w początkowym okresie posługiwać się również myszką. Drukarki mogą służyć jako urządzenie końcowe, albo najczęściej jako urządzenie pośrednie do kontroli procesu twórczego.

W artykule przedstawiamy Picture Publisher 4.0 uważanego obecnie za najsilniejszy program do obróbki grafik rastrowych. Picture Publisher powstał z myślą o użytkownikach, którzy mają niewielką wiedzę o komputerach i jedynie mgliste pojęcie o technicznych zagadnieniach związanych z obsługą programu. Sam prowadzi po swoich funkcjach, jest maksymalnie prosty w obsłudze i w trudnych sytuacjach sam „myśli” za użytkownika.

Najsilniejszą stroną tego programu jest maskowanie ilustracji. Każdy fotografik obrabiający swoje zdjęcia wie jak trudne jest selektywne wprowadzanie korekt na obrazie. Tradycyjny retuszer podobnie jak saper myli się na danym obrazie tylko raz. Potem rozpoczyna pracę od

nowa. Jego kolega pracujący na komputerze może odwołać swoje błędy.

Aby operować jedynie na wybranym fragmencie ilustracji stosuje się maski. Maski takie to specjalnie wybrany obszar, w obrębie którego wykonywane są korekty. Przypadkowe przekroczenie krawędzi maski jest niegroźne, gdyż działanie poza maską nie może się odbyć. Drugą formą wykorzystywania masek jest tworzenie fotomontaży. Dzięki maskom można inne fragmenty ilustracji precyzyjnie umie-

ścić w określonych obszarach. Jeśli do tego dodane zostaną różne stopnie przejrzystości obrazu to efekty mogą być naprawdę rewelacyjne. Można np. udać odbicie w szybach czy wytworzyć ducha.

Picture Publisher, mimo że jest programem malarskim, stosuje wektorowy opis masek (wyjątek stanowią maski malowane). Taki tryb pracy pozwala na korygowanie kształtu maski w przypadku gdy jest on nieodpowiedni. Domyślnie przy maskowaniu Picture Publisher stosuje dodawanie nowych obszarów do aktualnej maski. Użytkownik ma do wyboru wiele sposobów budowania masek. Mogą to być m. in. prostokąty, elipsy, kształty rysowane z wolnej ręki. Specjalnymi maskami są: magiczna różdżka (maskująca obszary o podobnej barwie), maskowanie półautomatyczne, maski malowane oraz tarcze kolorów. Ostatnie trzy maski są specyficzne jedynie dla Picture Publisher.

Typowa dla Picture Publisher jest maska półautomatyczna. Polega ona na tym, że osoba wykonująca maskowanie fragmentu ilustracji pokazuje jedynie punkty, które mają zostać połączone maską, a program sam wybiera przebieg maski po krawędzi maskowanego obiektu. Jeśli krawędź jest niedostrzegalna operator może ręcznie przeprowadzić maskę przez taki obszar i powrócić do metody półautomatycznej. Istnieje oczywiście możliwość skorygowania kształtu maski. Można po prostu dodać brakujące punkty węzłowe w krawędzi maski, usunąć zbęd-

Coraz częściej graficy zaczynają się dzielić na konserwatystów, wykorzystujących do swych prac tradycyjne techniki graficzne oraz tak zwanych „komputerowców” wykorzystujących do pracy różnorodne komputery i oprogramowanie. Konserwatystom bardzo trudno jest przestawić się z dotychczas stosowanych technik na nowe, gdyż jak sami twierdzą „nie znają się na komputerach”. Ponadto olbrzymia rzesza „domorostych artystów” komputerowych, tworzących szkaradki również nie zachęca do zajęcia się nową techniką. Są to często osoby wykorzystujące komputer tylko z tego powodu, że tak naprawdę nie potrafią rysować i muszą polegać jedynie na elektronicznym przetwarzaniu. Jednakże komputer w rękach „świadomego” artysty to fantastyczne narzędzie ułatwiające i przyspieszające całość pracy.

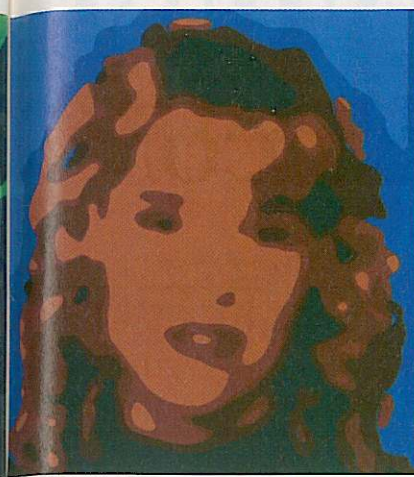
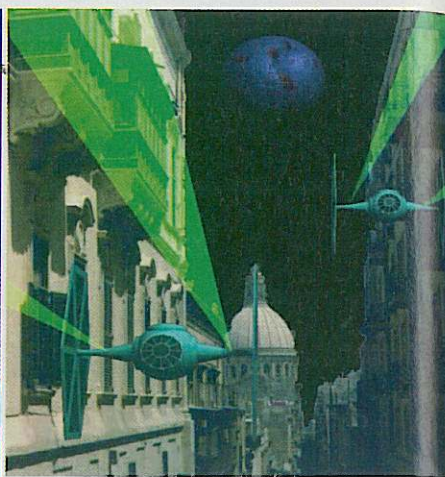
ne bądź przesunąć te, z którymi operator nie „wstrzelił się”. Tak przygotowaną maskę można zapisać na dysku, a potem ją ponownie wczytać do pracy.

Maska malowana pozwala na uzyskanie najbardziej fantastycznych efektów. Najprościej mówiąc jest to maska pozwalająca na maskowanie obszarów z różną przejrzystością. Stosowanie różnej przejrzystości przy wklejaniu obiektów powoduje, że mogą one doskonale dopasować się do pozostałej części ilustracji. Maski te były wykorzystywane przy tworzeniu winyet tego artykułu.

Ostatnią bardzo typową dla Picture Publisher maską są Tarcze Kolorów. Służą one do uaktywniania bądź zabezpieczania przed korektą pewnych obszarów o danej barwie (z podaną tolerancją). Takich barw może być do ośmiu. Jeśli stosuje się tradycyjne maski, to tarcze barwne działają w aktywnej części maski.

Picture Publisher jest jak na razie jedynym programem pozwalającym na modyfikację umieszczonych w nim obiektów nawet po ich wklejeniu. Uzyskano to dzięki temu, że każdy obiekt (wkopiowywany fragment obrazu, tekst) umieszczany jest na niezależnej warstwie. Dzięki temu aż do chwili włączenia go w podstawową warstwę ilustracji każdy wklejany obiekt można wydobywać spod innych obiektów, przeskalowywać, filtrować, a nawet usunąć.

Jak sama nazwa wskazuje Picture Publisher służy do przetwarzania ilustracji. Ponad 45 specjalnych filtrów (tzw. efektów) pozwala na bardzo „kreatywne” podejście



GALERIA

do grafiki. Filtry poklasyfikowano w specjalne grupy. Są wśród nich klasyczne filtry fotograficzne (zmiekczone, wyostające, zmieniające barwę, kontrast i jasność), efekty zbliżone do uzyskiwanych pewnymi technikami fotograficznymi (solaryzacja, reliefizacja, posteryzacja itp.) lub malarskimi (zamiana zdjęcia na obraz malowany akwarelą, farbą olejną itd.) aż po typowe efekty komputerowe (pikselizacja, efekty trójwymiarowe). Do filtrów należy również usuwanie rastra z ilustracji wczytanych skanerem. Bardzo ciekawie rozwiązano sprawę nakładania efektów na ilustrację. Po wyborze funkcji „efekty” pojawia się okno, w którym za pomocą suwaków i przycisków można wybrać siłę i sposób pracy danego filtru. Następnie w specjalnym okienku podejrzeć efekt zastosowania filtru o zadanych parametrach. Jeśli jest zadowalający, można go zaakceptować i przejść do następnego filtru. Z chwilą gdy modyfikacje są zakończone można wybrać lub odrzucić wszystkie modyfikacje. Jeśli ilość filtrów dostarczona z programem jest niewystarczająca, zawsze można dokupić dodatkowe filtry. Picture Publisher akceptuje i traktuje jak swoje filtry z Aldus Gallery Effects i dodatkowe Adobe Photoshopa. Oczywiście Picture Publisher ma możliwość dokonywania różnorodnych innych manipulacji na ilustracji bądź jej fragmentcie (obrotu, perspektywy, odbicia lustrzanego, zamiana w negatyw, skalowanie itp.).

Prawdziwy program malarski to jednak nie tylko przetwarzanie gotowych już ilustracji, ale także malowanie z wolnej ręki. Do tego celu szczególnie przydatne są digitizery. Picture Publisher przy rysowaniu potrafi obsługiwać digitizery wrażliwe na nacisk (np. Wacom lub Calcomp) zamieniając zmienny nacisk na zmienną grubość linii. Można m. in. rysować linie proste, krzywe Bezier, elipsy, prostokąty i wielokąty. Linie te mogą udawać linie uzyskiwane szeroką paletą narzędzi takich jak: ołówek, areograf, kreda, węgiel itp. Dodatkową atrakcją jest możliwość samodzielnego przygotowania własnego kształtu pędzla. Wśród narzędzi malarskich warto wymienić: malowanie, klonowanie (malowanie fragmentem rysunku pobranym z innego miejsca), rozmywanie i kasowanie. Wypełnienia mogą być realizowane pełnym kolorem lub rysem. Mogą mieć też ustawiony różny stopień przejrzystości. Picture Publisher pozwala na wprowadzenie napisów bezpośrednio na ilustracji. Program obsługuje wszystkie kroje pisma zainstalowane w środowisku Windows.

Profesjonalne programy malarskie (a do takich zalicza się Picture Publisher) przeznaczone są również dla osób związanych zawodowo z obróbką obrazu, dlatego stosunkowo duży nacisk położony jest w nich na wierność reprodukcji. Wierność taką można uzyskać stosując kalibrację poszczególnych etapów pracy. Picture Publisher pozwala użytkownikowi doprowadzić do stanu, że obraz wczytywany (skaner), pokazywany (monitor) lub drukowany (naswietlarka/drukarka) jest na tyle wierny, na

ile pozwala dane urządzenie. Jeżeli już mowa o wierności ilustracji przekazywanej później do druku to Picture Publisher posiada bardzo zaawansowane funkcje wykonywania rozbarwień. Potrafi usuwać zabrudzenia wynikające z niedoskonałości farb graficznych. Umożliwia optymalny dobór liniatury rastra, kątów rastrowych i typu punktu rastrowego. Oczywiście potrafi również konwertować obraz na postać poligraficzną (CMYK) i zapisywać obraz w tej postaci.

Co ponadto potrafi Picture Publisher? Po pierwsze wczytywać ilustracje. Rozpoznaje większość dostępnych skanerów, współpracuje z Kodak PhotoCD i niektórymi wideo grabberami. Wczytuje i zapisuje w następujących formatach: TIFF, PCX, BMP, DIB, GIF, Targa, JPEG, Photo CD. Dodatkowo potrafi wyeksportować grafikę w formacie EPS i DCS będącym standardem wymiany pomiędzy urządzeniami poligraficznymi i oprogramowaniem na komputerach osobistych. Picture Publisher obsługuje pełne 24 bity (16,7 mln kolorów). Potrafi dokonywać konwersji pomiędzy różnymi trybami pracy: czarno-białym, 256 odcieni szarości, 16, 256 i 16,7 mln kolorów.

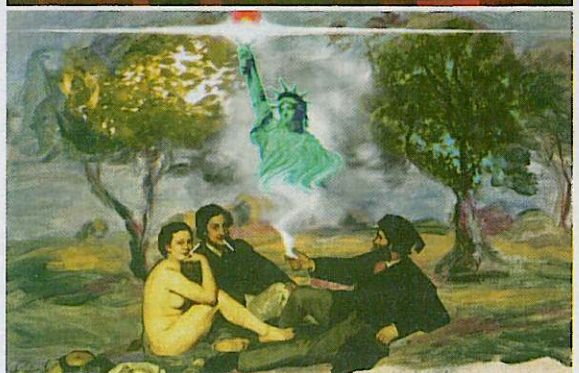
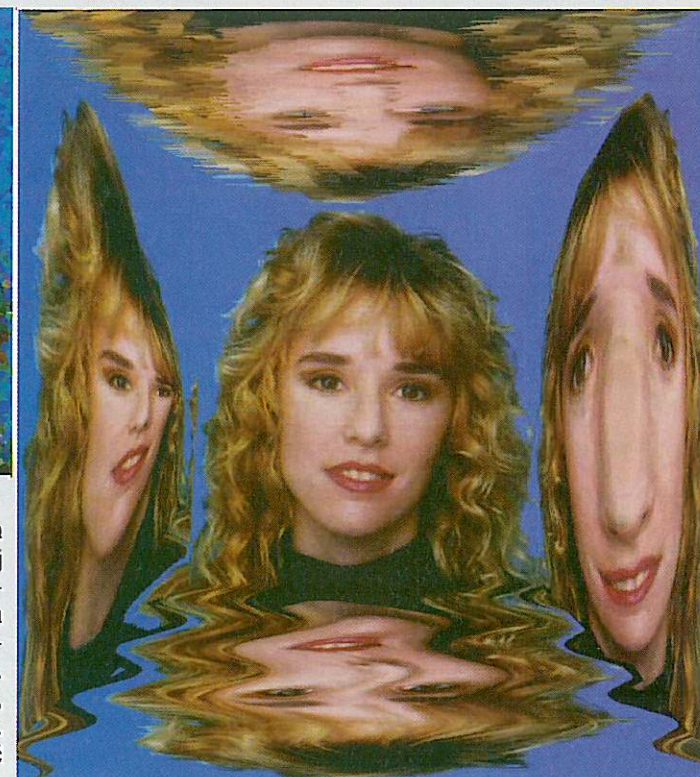
Ciekawą funkcją jest zszywanie. Umożliwia ono połączenie w jedną całość kilku fragmentów (np. ilustracja szersza od szerokości skanowania skanera ręcznego).

Podane powyżej przykłady nie wyczerpują oczywiście wszystkich funkcji i możliwości Picture Publisher.

Profesjonalny program to nie tylko to co siedzi w programie, ale także obsługa z nim związana. Firma Micrografix, podobnie jak czyni to na całym świecie, również w Polsce otworzyła swoje centrum doradcze. Każdy z zarejestrowanych użytkowników Picture Publisher może w nim uzyskać telefoniczne porady w przypadku problemów związanych z obsługą programu.

Podsumowując artykuł można się zapytać, dlaczego programy graficzne goszczą w „Nowej Fantastyce”? Odpowiedź jest stosunkowo prosta. Za ich pomocą można uzyskać „fantastyczne” światy. Coraz częściej mają Państwo do czynienia z ilustracjami wykonywanymi tą techniką. Niedawno były opublikowane wyniki konkursu pisma na najlepszą grafikę komputerową i mogli się Państwo zapoznać z jego efektami. Chcielibyśmy zaprezentować również narzędzia, którymi się to robi. Artykuł jest zilustrowany grafikami przygotowanymi przez laureata tego konkursu, pana Janusza Boguckiego. Są one oczywiście wykonane w Picture Publisherze 4.0.

Na koniec zapraszamy do wspólnej zabawy w przygotowywanie własnych ilustracji do przeczytanych opowiadań. PozwólmY uwolnić się naszej fantazji. Niech jedynym z narzędzi stanie się Picture Publisher lub jego uproszczona wersja – PhotoMagic.



Program Picture Publisher (wraz z całą gamą programów graficznych firmy Micrografix: Designer, Charisma, Graphics Works, PhotoMagic, Windows Draw, ABC Flowchart i Windows OrgChart) jest dostępny w sieciach dealerów następujących firm:

Mikrokom-Soft, tel. 71/442-169, fax 71/441-357, MSP, tel. 22/203-315, 203-662, 201-281, fax 22/204-174, soft-tronik, tel. 0 49 30/720 83-0, fax 0 49 30/721 57 59, System 3000, tel. 12/162-301 do 307, fax 12/162-315, UNICORN Poland, tel. 22/313-121, 314-620, fax 2/635-82-50, WIMAL International, tel. 2/628-72-91, fax 2/628-72-94.

Blizszych informacji o programie można zasięgnąć u ww. dystrybutorów lub w centrum Micrografix w Polsce: MGX Infoservice, skr. poczt. 73, 00-956 Warszawa 10, tel./fax 2/644-26-35.

KSIEGARNIA KRAJOWA

Prószyński i S-ka

JAK ZAMAWIAĆ?

Decydując się na zamówienie poleca-nych przez nas książek, obdarzacie nas Państwo zaufaniem. My rewanżujemy się tym samym.

Prosimy nie płać z góry za zamówione książki! Wystarczy wypełnić zamieszczony poniżej kupon zamówienia, podpisać, wyciąć i wysłać do nas w kopercie.

Po otrzymaniu zamówienia wyślemy Państwu wybrane pozycje pocztą do domu. Dołączymy do nich wypełniony przez nas blankiet wpłaty (z wpisanym numerem naszego konta, imieniem, nazwiskiem i adresem zamawiającego oraz listą wysłanych książek). Oczekujemy, że w ciągu SIEDMIU DNI od chwili otrzymania przesyłki wpłacie Państwo na pocztę należność, korzystając z załączonego blankietu.

Jeżeli zaś po otrzymaniu zamówionych książek okaże się, iż z jakiegokolwiek powodu któraś z nich Państwu nie odpowiada, prosimy odesłać ją do nas, również w ciągu SIEDMIU DNI, i zapłacić tylko za te, które Państwo zatrzymujecie.

W cenie książek wliczyliśmy już koszty przesyłki pocztowej.

Uwaga: przy jednorazowym zamówieniu książek o łącznej wartości ponad 200 000 zł obniżamy ich cenę o 10% i wysyłamy je przesyłką płatną przy odbiorze (tzw. „za pobraniem”, przy czym pokrywamy koszty „pobrania”). Oczywiście, w wypadku odesłania nam takich książek zwracamy wpłacone pieniądze.

Nasz adres korespondencyjny: **KSIEGARNIA KRAJOWA, Prószyński i S-ka, skrytka pocztowa 21, 02-600 Warszawa 13.**

Dodatkowe informacje w godz. 8-16 pod telefonem **43-30-92** w Warszawie.

Tytuł	Cena zł	Sztuk	Wartość
42. Atlas mineralogii	125 000		
43. Ptaki. Powietrzni łowcy	58 000		
44. Ptaki. Ptaki wodne	58 000		
45. Ptaki. Roślinozęrne i ziarnojady	58 000		
47. Tytus, Romek i A'tomek – Księga XX	15 000		
48. Dlaczego sól jest słona czyli...	35 000		
49. Te wspaniałe dyniowate	20 000		
50. Teatr	30 000		
51. Dzikie palmy	30 000		
52. Opowiadania	30 000		
53. Książęcy i miedziak	30 000		
54. Dawno, dawno temu	90 000		
55. Dolegliwości i choroby skóry	42 000		
57. Kobieta intymna	50 000		
58. Dziedzictwo Belton	30 000		
59. Dziennik uwodziciela	20 000		
60. Dwór w Haliniszkach	26 000		
61. Wyspy na Gólsztromie	30 000		
62. Przepisy Czytelników. Lato	20 000		
63. Skarbczyk legend	25 000		
64. Siódmy syn	28 000		
65. Suche bukiety	210 000		

Książki z poprzedniej strony zł

RAZEM zł

W ciągu SIEDMIU DNI od otrzymania przesyłki z zamówionymi przeze mnie książkami zapłać za nie lub odesłać je do KSIEGARNI KRAJOWEJ na własny koszt.

Podpis

Prosimy o wysyłanie do nas tego kuponu w kopercie pod adresem: KSIEGARNIA KRAJOWA, Prószyński i S-ka, skrytka pocztowa 21, 02-600 Warszawa 13.

ciąg dalszy z poprzedniej strony

NAUKA W WEEKEND

Seria dla bardzo zajętych lub bardzo nieśmiały ludzi, którzy w krótkim czasie (w dwa dni), korzystając z książek bogatych w fotografie, szkice i dokładne opisy, chcą poznać tajniki różnych sportów, by potem – w wolnych chwilach – dalej doskonalić swe umiejętności.

NAUKA ŻEGLOWANIA W WEEKEND. John Driscoll. Cena 51 000 zł (nr 34).

NAUKA WINDSURFINGU W WEEKEND. Phil Jones. Cena 75 000 zł (nr 35).

NAUKA PŁYWANIA W WEEKEND. Sharron Davies. Cena 77 000 zł (nr 56).

ENCYKLOPEDIA ŚWIATA ZWIERZĄT

Wiadomości o życiu i zachowaniu się zwierząt. Pasjonująca lektura dla tych, którzy interesują się zwierzętami.

PTAKI. POWIETRZNI ŁOWCY. Martyn Bramwell. Cena 58 000 zł (nr 43).

PTAKI. PTAKI WODNE. Robin Kerrod. Cena 58 000 zł (nr 44).

PTAKI. ROŚLINOŻERNE I ZIARNOJADY. Jill Bailey, Steve Parker. Cena 58 000 zł (nr 45).

INNE KSIĄŻKI

ŻABA, POZBIERAJ SIĘ! Edmund Niziurski. Celne obserwacje z życia szkolnego, rozterki wieku dojrzewania, nieco fantastyki i sensacji. Cena 22 000 zł (nr 5).

TWOJE CIAŁO. Claire Rayner. Prosty, rzetelny opis funkcjonowania ludzkiego ciała, dostosowany do poziomu kilkuletniego dziecka. Cena 14 400 zł (nr 10).

WODA NA DZIAŁCE I W DOMU. Zbigniew Heidrich i Stefan J. Siudalski. Cena 15 000 zł (nr 17).

MÓWCA UMARŁYCH. Orson Scott Card. Opowieść o genialnym strategu-oboźniku ludzkości, nagrodzona prestiżowymi nagrodami literackimi: HUGO i NEBULA. Cena 22 000 zł (nr 20).

BÓJ TO JEST NASZ OSTATNI. Plantu. Rysunki ilustrujące wydarzenia polityczne lat 1979-1990. Autor publikuje na łamach paryskiego dziennika „Le Monde”. Cena 20 000 zł (nr 23).

SEKS? OJ JEJ, CO TO JEST? Komiks wydrukowany na zlecenie Francuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Planowania Rodziny. Odważnie i z humorem przedstawia problemy okresu dojrzewania. Cena 12 000 zł (nr 25).

TYTUS, ROMEK I A'TOMEK. KSIĘGA XX. DRUGA WYPRAWA NA WYSPIY NONSENSU. Henryk Jerzy Chmielewski. Cena 15 000 zł (nr 47).

DLACZEGO SÓL JEST SŁONA, CZYLI ODPOWIEDZI NA GŁUPIE PYTANIA. Jan Rurański. Książka dla wszystkich, którzy lubią się dziwić. Cena 35 000 zł (nr 48).

DAWNO, DAWNO TEMU. A.A. Milne. Opowieść pełna wródek, czarów, księżniczek i nycerzy. Dowcipna bajka dla dzieci w każdym wieku. Bogato ilustrowana, w twardej oprawie. Cena 90 000 zł (nr 54).

DOLEGLIWOŚCI I CHOROBY SKÓRY. ZDROWA SKÓRA OD A DO Z. Dr Martine Chivot. Cena 42 000 zł (nr 55).

KOBIETA INTYMNA. Dr Alain Tamborini. Dojrzewanie, seks, antykoncepcja, ciąża, choroby kobiece, menopauza. Cena 50 000 zł (nr 57).

DZIEDZICTWO BELTON. Anthony Trollope. Oprócz „Rodziny Paliserów” jest to jedyna jak dotąd książka Trollope'a wydana w Polsce. Cena 30 000 zł (nr 58).

DZIENNIK UWODZICIELA. Soren Kirkegaard. Arcydzieło literatury dla wszystkich, których interesuje psychologiczny fenomen miłości. Cena 20 000 zł (nr 59).

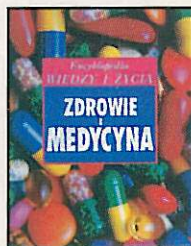
DWÓR W HALINISZKACH. Emma Jeleńska-Dmochowska. Dramatyczny spór pomiędzy matką a córką o sprzedaż majątku szlacheckiego na Litwie. Cena 26 000 zł (nr 60).

WYSPIY NA GÓLSZTROMIE. Ernest Hemingway. Ostatnia powieść pisarza, wydana po jego śmierci. Cena 30 000 zł (nr 61).

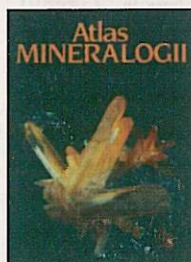
SKARBZYK LEGEND. Osiemnaście polskich legend – znanych i mniej znanych, z przypisami i stylizowanymi ilustracjami. Cena 25 000 zł (nr 63).

SIÓDMY SYN. Orson Scott Card. Pierwsza część cyklu „Opowieści o Alvinie Stwórcy”. Magiczna historia Ameryki. Fantasy wdiera się w rzeczywistość. Cena 28 000 zł (nr 64).

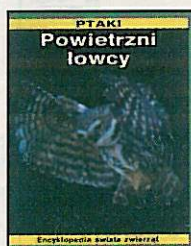
SUCHE BUKIETY. Album suchych bukiecików z praktycznymi informacjami o uprawie, suszeniu roślin oraz układaniu kompozycji. Ponad 300 ilustracji. Cena 210 000 zł (nr 65).



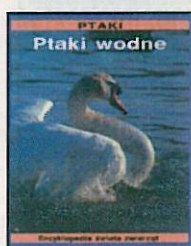
40



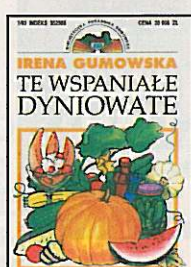
42



43



44



49



54

bibliofil w kinie – kinoman w bibliotece

Rafał A. Ziembkiewicz

PEŁNY LUZ 451



Dużo łatwiej nam zrozumieć „451° Fahrenheita” Raya Bradbury'ego dzisiaj niż przed z górą trzydziestu laty, kiedy to ukazało się pierwsze polskie wydanie tej powieści. Głównie z tej przyczyny, że trzydziści lat temu nie było jeszcze w Polsce ani „Dynastii”, ani „Koła fortuny” – był siemierny zamordysty, wobec którego wszystko inne wydawało się co najmniej przyzwyczajoną alternatywą. Sam, czytając „Fahrenheita” w liceum, zachwycałem się raczej jego nastrojem, postaciami bohaterów i wymową, świat powieści mając za umowną dekorację, teoretyczny model reżimu, jaki w rzeczywistości zdarzyć by się nie mógł. Ameryka, w której pali się książki razem z ich właścicielami, w której obywatele zatracają cechy indywidualne nie mniej niż umundurowani przez Mao Tse-tunga Chińczycy, szkoły są miejscem gigantycznego prania mózgu – a jednocześnie władzę sprawuje demokratycznie wybierany prezydent? Nie sposób było podobnych ekstrawagancji traktować poważnie.

Tymczasem od pierwodruku „451° Fahrenheita” minęło 40 lat, diabli wzięli żelazną kurtynę, która przez całe lata pozwalała nam idealizować siebie Zachód do woli – i okazuje się, że lęki Bradbury'ego nie były aż takim znowu wydumiskiem. Wprawdzie we współczesnej Ameryce książek jeszcze się nie pali, ale są już ich indeksy – narastający terror ruchu PC (Political Correctness) zdecydował o usunięciu z programów i bibliotek szkolnych Szekspira, Diderota, Spinozy, Camusa i wielu innych, w praktykę weszło zmuszanie różnymi szukanami do rezygnacji „niepoprawnych” profesorów i studentów bądź po prostu wywalanie ich z wilczym biletem. Do słowni na dniach obiegła prasa wiadomość o odcieciu się przez Watykan od amerykańskiego wydania nowego katechizmu, który politycznie poprawni tłumacze przerobili nie do poznania w duchu feminizmu, kulturalizmu i dekonstruktywizmu. Wydana przed rokiem książka Dinesha D'Souzy „Illiberal Education”, traktująca szerzej o poczynaniach PC, tylko z początku budzi niepokojące śmiech – potem coraz większe przerażenie. Nawiasem mówiąc, jej recenzję konserwatywny miesięcznik „Chronicles” rozpoczął od stwierdzenia: *na świecie mamy obecnie trzy bastiony komunizmu – Kuba, Północną Koreę i Uniwersytet w Dartmouth.*

Wprawdzie Amerykanie, naród rozsądny, nie robią ze swych intelektualistów wyroczni czy autorytetów moralnych i totalitarne cięgoty tych środowisk nie muszą jeszcze pociągać za sobą końca demokracji – ale w każdym razie skłaniają do włożenia między bajki naiwnego twierdzenia Fukuyamy, że demokracja liberalna stanowi ostateczny punkt ideologicznej ewolucji ludzkości, a tym samym oznacza kres historii.

Pisząc kilkanaście lat wcześniej od japońskiego filozofa Bradbury był wobec demokracji liberalnej bardziej podejrzliwy. Zapytał sam siebie, czego przede wszystkim pragniemy w naszym kraju? Ludzie chcą być szczęśliwi. Przecież po to tylko żyjemy, praw-

da? Szukamy przyjemności, szukamy podniet – powiada ustami jednego z bohaterów swej powieści, jej złego ducha, kapitana Beaty'ego. I dalej: *Człowiek, który umie rozłożyć i złożyć telewizor jest szczęśliwszy od tego, który usiłuje obliczyć, zmierzyć i rozwiązać zagadkę wszechświata, bo tego nie da się obliczyć i rozwiązać, a człowiek czuje się potem tylko diabelnie przynębiony i samotny.* I jeszcze: *Wszyscy nie rodzą się wolni i równi, jak konstytucja powiada, lecz każdego trzeba uczynić równym.* Każdy człowiek – wizerunkiem innego człowieka. *Wtedy wszyscy są szczęśliwi, bo nie ma gór, by się przed nimi zgiąć ze strachem i porównywać z nimi.* Można by takich cytatów wybrać więcej, ale te są wystarczająco charakterystyczne.

Świat „451° Fahrenheita” realizuje powyższe postulaty w sposób doskonały. Telewizję wypełnia od brzegu do brzegu „rodzinka” (coś w rodzaju całodobowej „Santa Barbary”), nikt nie wystaje i nie wpędza innych w kompleksy, wychowywaniem dzieci i innymi uciążliwościami zajmuje się państwo, w rozrywkach można przebiegać niczym w ulegalkach – uprawiać sporty czy rozbijać się po ulicach samochodem, jak kto lubi. Aby uniknąć wszelkich konfliktów, pilnie eliminuje się z życia publicznego treści, którymi jakkolwiek mniejszość mogłaby się poczuć dotknięta. Nie ma się powszechnego błogostanu ciągłym pytaniem obywateli czego chcą, a czego nie, zmuszaniem ich do myślenia o sprawach trudnych i niemiłych ani w ogóle o czymkolwiek. Zresztą obywatele na żadne myślenie i tak nie mają czasu, bo stale zagluszają swoje ja to telewizją, to pobrękującą

w wetkniętych do uszu radiowych muszelkach muzyką. Są uśmiechnięci, piękni, wysportowani, żyją w dostatku – pełna sielanka. Jedynie ciągle manewrujące nad miastem myśliwce mogą przypominać, że gdzieś tam istnieje jakiś świat, i że nad tym światem wisi groźba wojny, ale przyzwyczajono się już ryk odrzutowców ignorować. I, co ważne – wszystko to wyszło właściwie samo, nie było żadnej rewolucji, zamachu stanu, żadnej wielkiej przemiany, władza nie zacządzka ludzi jakąś szczególną ideologią. Kasta sprawująca władzę jedynie wyciągnęła wnioski z naturalnego rozwoju sytuacji.

Oczywiście, główny bohater musi choć trochę odstawać od obowiązującego wzorca beztroskiego kretyna (najdoskonalej uosobianego w powieści przez jego żonę), inaczej nie byłoby mowy o fabule. Bradbury załatwia tę sprawę sposobem znanym z Orwella i Zamiatania – zderzając strażaka Montag z cokolwiek zwariowaną dziewczyną, która zamieszawszy mu w głowie, ginie najbezsensowniej, zabita dla zabawy przez bandę rozrywkowo usposobionych małolotów. Poruszony do żywego Montag nabiera obrzydzenia dla swojego dotychczasowego życia i dotychczasowej pracy – a jest, jako się rzekło, strażakiem, czyli członkiem parapolicyjnej formacji, zajmującej się paleniem zakazanych przez prawo książek i domów, w których je znaleziono. Po przeżytym wstrząsie zaczyna te książki podkraść i czytać – zostaje na tym nakręty, ale udaje mu się uciec i przyłączyć do grupy koczujących w lesie, podobnych mu wyrzutków. Wraz z nimi obserwuje też z bezpiecznej odległości wojenny kataklizm i zagładę miasta.

Ta koncówka jest najsłabszą stroną powieści – dwa reżimy z przeciwnych krańców świata unicestwiają się nawzajem, umożliwiając ocalałym buntownikom zbudowanie nowego, lepszego świata. Zdrowo to naciągane; po takim przebiegu wojny, jak opisano, Montag ani chybi musiałby zawrzeć bliższą znajomość z dżentelmenami pozdrawiającymi tubylców okrzykiem Dawaj czas! Tak oto Bradbury, napisłoczywszy na dyktando, sam mu w końcu uległ – publiczność żąda, żeby książki dobrze się kończyły, więc trzeba było wymyślić dobre zakończenie i do diabła z logiką.

W powieści da się zresztą znaleźć kilka innych miejsc wątpliwych, ale pisarskie umiejętności autora sprawiają, że przy lekturze człowiek prześlizguje się nad nielogicznościami dość gładko. Jedną tylko sprawą – przewidzianą ogólny kierunek rozwoju cywilizacji, łączącej demokrację z konsumpcjonizmem i permissywizmem, zbłądził Bradbury w szczegółach. Perfidia takiego systemu polega nie na represjach wobec osób nieprawomyślnych, a przeciwnie – na rozpuszczeniu ich w ludzkiej masie. Wobec totalnego zrównania w prawach wszelkich poglądów słowa kretyna waży tyleż samo co słowa mędrca i budzą tyle samo zainteresowania (albo i więcej). Jeśli wszystkie postawy życiowe są równie uprawnione, to dziwka w niczym nie

krytycy o fantastyce

ustępuje świętej, a kanalia i złodziej szlachetnemu rycerzowi. Jeśli wszystkie religie są równie dobre – to znaczy, że wszystkie są jednakowo nie wartościowe, poza, naturalnie, swoistą oberreligią totalnego luzu, tolerancji i kompletnego zwiśnięcia. Zwracam na to uwagę, bo sięgnięcie po wątek Strażaków, wpadających z kipiśmem do mieszkań dysydentów, upodobania zewnętrznego „451° Fahrenheita” do dzieł Orwella albo Zamiatiny. W istocie zaś jest to powieść reprezentująca przeciwstawny nurt dystopii – należy ją wywodzić raczej z „Nowego wspaniałego świata” Huxleya. Orwell i Zamiatin pokazywali totalitaryzm zasadzający się na sprawianiu cierpienia, Huxley z Bradburyem – na sprawianiu przyjemności.

Bardzo niewiele z tego zostało w filmie Francois Truffaut. Scenariusz, okrawający powieściową fabułę z szeregu istotnych dialogów i wątków, poszedł w stronę pełnej umowności przedstawianego świata – jego osią stało się samo palenie książek, podniesione do roli symbolu totalitaryzmu i przemocy. Całkowicie zgubił Truffaut warstwę socjologiczną, nie zupełnie nie zostało z fundamentalnego dla prognozy Bradbury’ego i świetnie przezeń opisanego mechanizmu niszczenia kultury przez nacisk mniejszości i *lobbies* (w istocie tak to właśnie obecnie na Zachodzie wygląda). W zamian otrzymaliśmy scenograficzną wizję przyszłości, która dziś traci już myślną, szampowy obraz państwa policyjnego jako takiego oraz fabułę ustępującą późniejszym dokonaniom filmu sensorycznego. Całkowitym nieporozumieniem był też dobór aktorów – Montag, w powieści człowiek budzący się do czynu, w filmie jest pełnym psychicznych rozdarć słabeuszem o zbolalej twarzy, zaś kapitan Beatty z demona zmienił się w dobrodusznego staruszkę. Być może w roku 1966 dało się to wszystko jakoś oglądać – obecnie film jest tylko nudną ramotą, której telewizyjna emisja stanowiła raczej antyreklamę dla wznowienia książki.

I jeszcze jedna sprawa, tyleż istotna, co smutna. Bradbury, „człowiek osobny” i jeden z nielicznych na terenie SF urodzonych pisarzy, jest autorem przykładającym wyjątkową wagę do języka, posługującym się z mistrzostwem metaforami i poetyckim rytmem oraz współbrzmieniami słów. W polskim przekładzie nie zostało z tego nic – ot, drewniane, klekoczące zdanka, poprawne z punktu widzenia gramatyki i filologicznej wierności, ale całkowicie pozbawione polotu (co widać choćby po fragmentach przytoczonych w niniejszej recenzji). Wzniesienie przez wydawcę tak marnego tłumaczenia, gdy można było zamówić nowe, jest z jego strony lenistwem (lub skąpstwem) niewybaczalnym. Jeśli ktoś chciał, tak dla własnej ciekawości, zobaczyć, co traci, radzę porównać opowiadanie „Nadejdą ciepłe deszcze” z czytelnikowskiej antologii „Rakietowe szlaki” (tłumaczenie Jana Zakrzewskiego) z wersją zawartą w iskrowskim wydaniu „Kronik marsjańskich” w przekładzie tegoż samego Adama Kaski, który spaprał „Fahrenheit”.

Rafał A. Ziemkiewicz

Ray Bradbury: 451° Fahrenheit. Przeł. Adam Kaska, Alkazar 1993, wyd. II. Science Fiction.

FAHRENHEIT 451. Reżyseria: Francois Truffaut. Scenariusz: F. Truffaut i J.L. Richard według powieści Raya Bradbury’ego. Występują: Oskar Werner, Julie Christie, Cyril Cusack. Anglo-Enterprises i Vinogard, Wielka Brytania – Francja 1966.

Umysł ludzki jest ograniczony, taki też jest jego zakres pojmowania świata. Lecz nawet wewnątrz tych granic nasz ogląd jest fałszywy: poznanie jest skażone subiektywizmem poznającego. Nie wiemy, jak wyglądają „rzeczy same w sobie”. Wiemy, jak wyglądają dla nas, dla naszych zmysłów. Nauka jest przedłużeniem zmysłów – tych naszych „uchwytów” dla świata. Poznaniem naukowym możemy dociekać natury zjawisk, których przebiegi nie są inaczej dostrzegalne. Ale i w nauce nie istnieje coś takiego, jak poznanie obiektywne. Można mówić tylko o różnych stopniach subiektywizmu. Z innej strony ujmując to samo zagadnienie: każda wiedza musi być opisana w języku. Nie pojmować to znaczy nie móc opisać w języku. Języ-

Problemem, który pojawia się w wielu utworach Stanisława Lema, tworząc wyraźnie zarysowaną linię tematyczną jego pisarstwa, są granice rozwoju nauki. Temat ten najczęściej przybiera kształt fabularny próby kontaktu z innymi rozumami. Lemowe ujęcie tego częstego w SF motywu charakteryzuje się wysunięciem zagadnień filozoficznych przed efekty ludyczno-fabularne.

Jerzy Szeja

Ułomni wobec świata

(temat granic poznania w „Solaris” i „Głosie Pana”)

ki abstrakcyjne – jak matematyka – są wprawdzie bardziej obiektywne od języków etnicznych, ale nie doskonałe. Wszystkie cechy i relacje świata są zaburzone naszym oglądem. Do świata przykładamy zawsze naszą miarę. Skaza ta jest tym bardziej widoczna, im bardziej wychodzimy poza parametry naszego naturalnego środowiska.

Ocean Solaris można interpretować jako metaforę osiągniętej granicy poznania naukowego.

W wieku eksploracji dalekiego kosmosu ludzie stają przed zjawiskiem, które ich przeraża. Parametry orbity jednej z planet odległego układu wskazują na to, że jest ona niestabilna. Po pewnym czasie powinna spaść na macierzystą gwiazdę. Tak się nie dzieje: planeta ta – Solaris – jest pokryta plazmatycznym oceanem, który potrafi modelować metrykę czasoprzestrzeni, stabilizując orbitę. W utworze Lema przedstawiona jest cała gałąź nauki – solarystyka, próbująca odpowiedzieć na pytanie o naturę oceanu. Za pomocą wyrafinowanych metod i technik próbowano dowiedzieć się, czym jest ocean solaryjski. Nie ustalono nawet, czy jest on czymś, czy raczej kimś. Ocean był obiektem zbyt daleko wykraczającym za granicę zdolności ludzkiego pojmowania.

Pogodzenie się ludzi z porażką – uznanie istnienia granic dla ich dotąd niepojętej aktywności poznawczej – nie przyszło łatwo. Był nawet projekt, aby to, czego nie można pojąć – Solaris – zniszczyć ogniem atomowym.

Referując liczne hipotezy, narrator omawia dzieło Grattenstroma, kluczowe dla zrozumienia przyczyn porażki: *Najbardziej nawet z pozoru abstrakcyjne, najszybsze teoretycznie, zmatematyzowane osiągnięcia nauki w rzeczywistości zaledwie o krok czy dwa oddaliły się od prehistorycznego, grubozmysłowego, antropomorficznego pojmowania otaczającego nas świata. Tropiąc w formułach teorii względności, teorematu siłowych pól, w parastatyce, w hipotezach jedynego kosmicznego pola ślady ciała, to wszystko, co jest tam pochodną i skutkiem istnienia naszych zmysłów, budowy naszego organizmu, ograniczeń i ułomności zwierzęcej fizjologii człowieka, dochodził Grattenstrom do ostatecznego wniosku, iż o żadnym „kontakcie”*

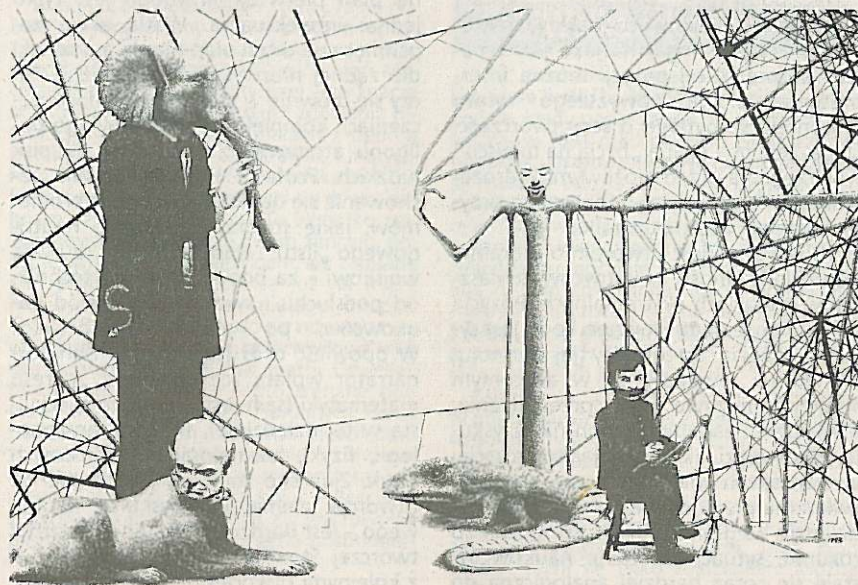
człowieka z nieczekolakształną, ahumanoidalną cywilizacją nie może być i nigdy nie będzie mowy!

Porozumienie z innym człowiekiem można tylko wtedy osiągnąć, gdy istnieje płaszczyzna porozumienia – tożsamy, choć w części, ogląd świata. „Kontakt” jest niemożliwy, gdy dla różnych cywilizacji (czy istot) obraz świata jest diametralnie inny. Uogólnijmy: jeśli niemożliwy jest kontakt, jest to tożsamy z niemożliwością obiektywnego i „do końca” zrozumienia świata.

Solarystykę posuwa naprzód dopiero aktywne działanie oceanu. Na stacji badawczej zawieszono kilkadziesiąt metrów nad jego powierzchnią stwarza on tzw. twory F. Ocean wybiera z mózgów przebywających na stacji naukowców informację specyficzną wyodrębnioną: wspomnienia (czy marzenia) bardzo nacechowane emocjonalnie (też erotyczne), z różnych przyczyn wstydliwe czy przykre i dlatego tłumione. Narracja dokładnie przedstawia tylko jeden „przypadek”, pozostałych można się jedynie domyślać. Neutrinowe twory oceanu są koszmarną w swej materialności realizacją najciemniejszych, wstydliwych, ale przez to też ważnych treści psychiki. Reakcje ludzi są różne. Gibarian popelnia samobójstwo (jeszcze w przedakcji), Sartorius zamyka się w swoim gabinecie, Snaut pije. Stosunkowo najlepiej znosi to Kelvin, któremu pojawia się neutrinowa kopia kobiety, kiedyś kochanej, zmarłej śmiercią samobójczą. Bohater-narrator nie może się z jej pojawieniem pogodzić, ale z czasem przyzwyczaja się

do tego „okrutnego cudu” i widzi w nim możliwość przekreślenia, odwrócenia czasu. Zakochuje się w neutrinowej Harey.

Przyczyną wielkiego powodzenia powieści jest – między innymi – możliwość jej różnorodności (w tym łatwego) odbioru. Można odczytać ją jako dalekie wcielenie mitu o Orfeuszu i Eurydyce. Rozbudowany wątek roman-sowy w połączeniu z niezwykle rozmachem i inwencją w tworzeniu obrazu oceanu, wielką plastycznością, wręcz malarskością opisów, wiarygodność psychologiczną bohaterów tworzą udany artystycznie konglomerat. Lem bywa krytykowany za „nieatrakcyjność” swojej twórczości, co jest efektem przerostu



Piotr Kowalski

problematyki naukowej jego utworów nad szatą literacką. Natomiast wobec „Solaris” nigdy nie padły takie zastrzeżenia. Czytelników, nastawionych na „fabularność” utworów, a nie na ich problematykę, powieść ta w zupełności satysfakcjonuje, mimo – może trochę – nadmiernej ilości opisów solarystyk. To właśnie brak większych wad, ciemnych stron osobowości, decydował o tym, że bohaterowie wcześniejszych utworów Lema byli ułomni – „papierowi”.

Wśród walorów estetycznych „Solaris” niebagatelną rolę pełni pierwiastek tragiczny. Kategoria ta jest dość rzadko spotykana w twórczości autora „Cyberiady”, który wydaje się bardziej predysponowany do realizacji ludycznych, pozornie przeciwstawnych wobec arcyprawnej – zazwyczaj – problematyki. Kelvin jest prawie modelową postacią tragiczną. Jest on *zarazem ofiarą i winowajcą*. Własności świata sprawiają, że – niezależnie od postępowania bohatera – nastąpi katastrofa. Kelvin jest już niejako „skazany”, gdy leci do gwiazd, tak bardzo wykraczających poza wszystkie – również moralne – zdolności człowieka. Winę – zarodek tragedii – niesie on ze sobą. Symbolicznym znakiem tego są klucze od jego ziemskiego mieszkania przypadkowo zabrane na daleką wypra-

krytycy o fantastyce

tykając opisywane tu bariery. Wysokie wartości artystyczne pozwalają zastąpić zrozumienie – przeżyciem jako jedynie dostępnym „uchwytem” dla wymykającego się ułomnemu człowiekowi świata. Starzec z bajki Lema „Król Globares i mędrcy” mówi: *Nauka objaśnia świat, ale pogodzić z nim może jedynie sztuka*². Myślę, że podobną wymowę mają słowa Jerzego Jarzębskiego: *Nie można lekceważyć poznawczej wartości prozy Lema lub redukować jej wymowy do tej dyskursywnie wyłożonych w esejach; jest ona bowiem swoistym narzędziem uchwytowania i interpretacji świata*³.

Ważnym innym utworem Stanisława Lema nie stworzył tak pełnowymiarowej postaci, jaką jest Kris Kelvin. Po-

wę. Człowiek próbuje zrozumieć świat, będąc na to zbyt ułomnym intelektualnie i moralnie. Pragnie poznać kosmos nie znając nawet siebie. Człowiek wyruszył na spotkanie innych światów, innych cywilizacji, nie poznawszy do końca własnych zakamarków, ślepych dróg, studni, zabarykadowanych, ciemnych drzwi⁵. Ocean nie jest winowajcą. Nie może być nim twór równie daleki człowiekowi i jego psychice, jak bezosobowe prawa natury.

Tragizm w „Solaris”, prócz wartości estetycznej samoistnych, jest czynnikiem dodatkowo spajającym wewnętrzną strukturę dzieła. Jest swoistą realizacją zasady *decorum*. W zderzeniu ze światem przegrywa nauka. Przegrywa też pojedynczy człowiek. Porażkę poznawczą z płaszczyzny problemowej odpowiada klęska bohatera w warstwie fabularnej. Jest to zatem pewna odpowiedź.

Granica rozwoju nauki w postaci solaryjskiego oceanu ukazuje, że to, co jest klęską ludzkiego rozumu, obciążonego niemożnością transcendencji, niekoniecznie musi oznaczać krańcową klęskę poznawczą. Solaryjski ocean swoją aktywnością (twory F) daje odpowiedź na niektóre z pytań, wobec których naukowcy byli bezradni. Być może tych „odpowiedzi” będzie więcej. Tu kończy się analogia między światem a oceanem Solaris. Kosmos nigdy sam nie udzieli odpowiedzi co do swojej natury.

Podobną problematykę, jak „Solaris”, przynosi wydany siedem lat później „Głos Pana”. Oba utwory bardzo się różnią kompozycją. Główne różnice dotyczą sztafetu fantastycznego i fabularnego. W „Głosie Pana” Lem nie uruchomił nawet części możliwości swojej wyobraźni. Brak zarówno pełnych rozmachu i kunsztu opisów „dziwów” kosmosu, niezwyklej pejzaży, jak w „Solaris” czy „Edenie”, brak prób ukazania możliwych wariantów rozwoju (a raczej – zmierzchu) naszej cywilizacji, jak w „Powrocie z gwiazd”. Zamiast zabawy fabularnej Lem proponuje przygodę bardziej intelektualną: śledzenie nauki i jej twórców borykających się z *przekazem z gwiazd* – problem mieszczący się w temacie granicy rozwoju nauki.

Akcja utworu została umieszczona w przyszłości niedalekiej względem daty powstania utworu. Tytuł „Głos Pana” pochodzi jakoby od wydawcy tej *ostatniej pracy Profesora Hogartha*⁶. Jest ona pamiętnikarskim opisem badań nad neutrinowym kodem, w których Hogarth brał udział w ramach rządowego Projektu MAVO, równie utajnionego, co kiedyś Projekt Manhattan. W utworze nigdzie nie ma podanej dokładnej daty rozpoczęcia Projektu Masters Voice – określony jest tylko czas jego trwania: 749 dni. Pod „Notą wydawcy” widnieje data „kwiecień 1996”. W tym roku Hogarth już nie żyje. Na początku profesor wymienia przyczyny, jakie skłoniły go do opisanego Projektu MAVO: liczna literatura, traktująca o badaniach, czyni to fałszywie bądź niedostatecznie. Kończąc

krytycy o fantastyce

rozważania na temat neutrinowego kodu, powiadamia o śmierci kilku badaczy – jego współpracowników z Projektu. Z powyższych danych można wywnioskować, że akcja utworu ma miejsce około dziesięciu do dwudziestu lat przed rokiem 1996.

Nauka dojdzie do swoich granic prawdopodobnie bardzo powoli. To w tej, to w innej dziedzinie zostaną odkryte zjawiska, wobec których będzie bezradna. W pewnych naukach szczegółowych dojdzie do stagnacji, bez zewnętrznych objawów bariery – na skutek niemożności dalszego rozwoju aparatu naukowego, spowodowanej ograniczoną naturą ludzkiego rozumu. Niewątpliwie taki, rozciągnięty w czasie, obraz nie jest najlepszym materiałem do literackiej obróbki. Dlatego, dla ukazania ważności i złożoności tej problematyki, trzeba rozwiązać rodem z fikcji literackiej. W „Solaris” takim katalizatorem, umożliwiającym swoisty „eksperyment myślowy”, jest ocean. W „Głosie Pana” jego funkcję pełni neutrinowy kod, wykryty i zapisany przez ziemskich uczonych. Analogie między „Solaris” a „Głosem Pana” są rozliczne. Naukowcy, badający neutrinowy przekaz stoją przed takimi samymi dylematami, jak badający solaryjski ocean. W obu utworach z zagadką borykają się najświetniejsze umysły. Padają podobne pytania – bez odpowiedzi.

Akcja „Głosu Pana” jest zdramatyzowana w inny sposób niż w „Solaris”: porażce nauki nie towarzyszy tragedia konkretnych osób. Ale klęska, i to na wiele większą skalę, zagraża Projektowi MAVO, zawieszona nad nim w potencji – niczym miecz Damoklesa na korńskim włosie. To, że katastrofa jest jedynie możliwością, a nie zdarzeniem konkretnym, nie umniejsza dramatyzmu akcji. Możliwość militarnego wykorzystania odkryć jest tym bardziej deprymująca dla naukowców, stwarza w nich tym większe i boleśniejsze napięcie, że niewiadomy jest kierunek, z którego może nadejść zagłada. Tak jak w rzeczywistości – potencjalnie każda działalność badawcza, każda nauka może mieć wykorzystanie militarne. Nikt z naukowców nie może mieć spokojnego sumienia, nie mając pewności, że wysiłki, które podejmuje, nie przybliżają dnia zagłady. Dylemat uczonych z „Głosu Pana” jest problemem całej współczesnej nauki.

W podzielonym świecie największy potencjał naukowy posiadają państwa najpotężniejsze. Największymi funduszami dysponują nauki, mogące przysporzyć nowych mocy arsenałom. Nawet takie zadania, jakie stawia przed ludźmi przekaz z gwiazd – coś, co, być może, jest przesłaniem jednej cywilizacji do drugiej – rozwiązywane są w ścisłej, wojskowej tajemnicy. Najzupełniej realnym paradoksem jest fakt, że ludzie poszukują w przekazie treści właśnie militarnych. W „Głosie Pana” opisana jest reakcja na kod neutrinowy – Stanów Zjednoczonych, ale można sądzić, że każde in-

ne państwo postąpiłoby identycznie.

Naukowcy nie mają wyboru. Muszą podjąć wyzwanie rzucone przez naturę czy nieznaną autorów kodu. Jednostki o zachwianej etyce podejmą się próby bez moralnego niepokoju. Naukowcy o wysokim morale muszą włączyć się do badań: stanie z boku nie daje żadnej możliwości wpływu. Tak jak Hogarth, mimo że mają prawie pewność, iż nie uchronią przed ujawnieniem ewentualnych odkryć militarnych, muszą dołączyć się do Projektu. Profesor Hogarth o swoim wyborze: *Jeśli wiem, że dzieje się coś niezwykle ważnego, a zarazem groźnego potencjalnie, zawsze wolę być w owym miejscu, aniżeli oczekiwać rozwoju wypadków z czystym sumieniem i pustymi rękami*⁷.

Na podstawie wspólnych postaw etycznych i naukowych należy traktować profesora Hogartha jako *porte-parole* autora. Z tej pozycji można interpretować słowa powyższego cytatu w kontekście pytania o sens twórczości Lema. Jest ona próbą „bycia na miejscu” – ostrzegania przed możliwymi zagrożeniami, zwłaszcza tymi, które może przynieść rozwój nauki i techniki.

„Głos Pana” jest utworem o moralnej odpowiedzialności naukowców, zwłaszcza w sytuacjach ekstremalnych. Pozycja nauki wobec neutrinowego kodu jest sytuacją doświadczenia do granicy jej rozwoju. Wyniki jej wysiłków są w znikomym stopniu możliwe do przewidzenia, a większość zadanych pytań nie uzyskuje odpowiedzi. Ekstrapolując tę sytuację: w warunkach wielkiego rozwoju nauki, zwłaszcza przy docieraniu niektórych jej dziedzin do granic możliwości ludzkiego rozumu, sytuacja moralna naukowców staje się coraz bardziej analogiczna do dylematów bohaterów utworu. Do katastrofy nie dochodzi na skutek wielkiej sprawności twórców kodu, którzy unieśli wyprowadzenie z niego środków zagłady. Trudno przypuszczać, zwłaszcza posiadając tak bogato wyposażone arsenały, by Wszechświat miał podobne „zabezpieczenia”.

Istotna różnica między „Głosem Pana” a „Solaris” polega na odmienności obu form bariery poznania naukowego. W „Solaris” pełnoprawną odpowiedź o naturze tej granicy jest jej zwinienie ze strony świata. Natomiast w omawianym utworze poznanie neutrinowego kodu jest możliwe – jak to wielokrotnie sugeruje Hogarth. Jedyną przeszkodą jest wieloaspektowa niedoskonałość ludzi: *Metagalaktyka jest nieogarnionym rojowiskiem psychozoików*. Cywilizacje tylko pewnym kierunkowym odchyleniem odmienne od naszej, ale jak nasza, nie zjednoczone, brnące przez wewnętrzne starcia, wypalające swe zasoby w bratobójczych zmaganiach, od tysięcy lat dokonywały i dokonują wciąż od nowa odczytania kodu, tak samo, jak nasze, niezdarne, tak samo, jak my usiłują dziwnie szatać, co legną się z takich mozołów, *przerobić na broń – i tak samo, jak nam, to się im nie udaje*⁸. A *Zabi Skrzek? Domyślam się w nim poprzekrę-*

*canych karykaturalnie przez naszą nieudolność i niewiedzę, ale także i naszą wiedzę, wywichniętą w jednostronność destrukcji – fragmentów tego, co „list” zakładał samym swoim wysłaniem. Jestem przekonany, że nie został ciśnięty w mrok jak kamień w wodę. Został pomysłany jako głos, którego echo powróci – jeżeli zostanie usłyszany i zrozumiany*⁹.

Nauka człowieka nie może rozwiązać kodu. Jak wszystkie jego wytwory, jest skażona przez jego ułomną osobowość.

Krąg czytelników i entuzjastów „Głosu Pana” jest niepomiaralnie mniejszy niż „Solaris”. Powód jest dość prosty: opowieść o dalekiej planecie można odbierać bez wgłębiania się w trudne zagadnienia. W „Głosie Pana” jest to niemożliwe. Problematyka jest tutaj wysunięta na plan pierwszy. Przypoda jest tylko jedna: intelektualna. Wątpliwość akcja zepchnięta na drugi plan nie daje pożytki dla żadnej niezwykłości wyobraźni. To czy się głównie w zamkniętych pomieszczeniach kompleksu budowlanego poligonu atomowego, daleko od skupisk ludzkich. Profesor Hogarth opisuje zachowanie się naukowców wobec problemów, jakie stwarza odczytanie neutrinowego „listu”. Nad Projektem czuwają wojskowi – za pomocą różnych technik, od podsłuchu i swoich ludzi wśród naukowców, po własny kontrprojekt. W opowieści o dziejach badań bohater-narrator wplata rozważania z zakresu matematyki (sam jest wybitnym specjalistą w tej dziedzinie), filozofii, antropologii, fizyki, kosmologii i wielu innych nauk. Zjawisko to – wprowadzanie do utworów elementów dyskursu naukowego – jest bardzo znamienne dla drogi twórczej Stanisława Lema. Z czasem – z kolejnymi utworami – ulega nasileniu, osiągając apogeum w „Golemie XIV”.

Punktem kulminacyjnym utworu jest odkrycie przez przyjaciela Hogartha – Donalda Prothero – zjawiska Trexu. Początkowo wszystko wskazywało na to, że Trex jest tym, czego się tak bardzo naukowcy obawiali – nową, strasliwą bronią, niosącą Ziemi ostateczną zagładę. Na szczęście okazuje się, że militarne zastosowanie tego odkrycia jest niemożliwe. Kod neutrinowy został zabezpieczony przed niepowołanymi – przez swoją ułomność – czytelnikami.

Projekt Masters Voice, poza dogłębnym wykazaniem niemocy ludzkiego umysłu i jego skaz moralnych, dał niewielkie rezultaty. Sens kosmicznego listu pozostał równie niedocieczony, co ocean Solaris.

Jerzy Szeja

Przypisy

1. S. Lem, *Solaris. Niezwykły, Kraków 1986*, s. 196.
2. S. Lem, *Bajki robotów*, Warszawa 1983, s. 142.
3. J. Jarzębski, *Racjonalista i zmysły*, „Ruch Literacki” 1977, z. 2, s. 100.
4. Por. hasło „Tragizm” w: *Słownik terminów literackich*, red. J. Ślawiński. Wrocław 1988, s. 40.
5. S. Lem, *Solaris. Niezwykły, Kraków 1986*, s. 181.
6. S. Lem, *Głos Pana*, Kraków 1984, s. 6.
7. Tamże, s. 68.
8. Tamże, ss. 234-235.
9. Tamże, ss. 233-234.

Kunst w szkatulce

Role w fantastyce polskiej zostały rozdane, od przełomu lat 1980/1990 zmieniło się niewiele. Wiadomo, czego oczekiwać od Ziemiakowicz (political fiction) i czego nie oczekiwać od Piekary (taktu mianowicie), co mogą zrobić Sapkowski, Oramus, a czego już napewniej nie zrobią Żwikiewicz ani Parowski.

Na tym tle Pakciński, cudowne dziecko szczęścia lat siedemdziesiątych, ma ugruntowaną opinię autora-erudyty, o ręce ciężkiej, choć prowadzonej przez Borgesa i Cortazara. Nie pasuje do reszty, to prymus fantastyki, najchętniej akceptowany przez świat zewnętrzny, bowiem pisze z kultury, nie z natury. Przebywa Pakciński wśród geniuszy i filozofów, zajmuje się historią, tasuje czasy, epoki i dylematy, konstruuje zdania wyszukane aż do przesady: *W końcu pojawił się lekarz. Niósł swój kunst w szkatulce mózgu albo Ptak, zwany „mózgiem miękkim” wydzielił swe przeciwiwzrostło*.

A jednak coś się zmieniło i tom „Tajne policje”, wydrukowany z czteroletnim opóźnieniem, dobrze o tym zaświadcza. Coraz więcej w opowiadaniach Pakcińskiego Machiavellego i historii politycznej – to znaczy potu i krwi, sekretnej intrygi i zderzenia rewolucyjnych i utopijnych marzeń z oporną naturą ludzi i rzeczy. W zimnym, lunatycznym świecie kulturowych paradoksów i dylematów Pakcińskiego zjawili się żywe, miłujące i zdradzające istoty. To wszystko zrelacjonowane jest jeszcze owym zimnym, połączonym od Borgesa językiem, ale zapisane nim problemy i sytuacje są już na miarę mężczyzny, a nie przerosniętego chłopca. Carska Rosja, starożytność skrzyżowana ze współczesnością, Madryt pod chwilową władzą anarchistów z POUM (partii Orwella), fantasmagoryjny dwór – oto scenariusz dramatu władzy, lojalności, zranionych uczuć i utraconych złudzeń. Cierpienie nieodłączne tu jest od marzenia, zagubienie od zmiany, bolesny chaos towarzyszy rodzeniu się nowego. Tak toczy się nasz świat – Pakciński stara się pokazać, że to boli, ale jest również piękne. Oto zabawa i pociecha postmodernisty.

Dla znawców.

Negocjator

Marek Pakciński: *Tajne policje*. Czytelnik 1993.

Dwa razy Kuttner

Henry Kuttner to autor w Polsce znany i popularny, twórca dwóch wysmienitych cykli opowiadań (o mutantach Hogbenach i genialnym konstruktorze Gallegherze, dokonującym swych odkryć wyłącznie po pijaku – tom „Stos kłopotów”). Ostatnimi czasy trafiło do rąk polskich czytelników sporo przeciętnych i słabych książek tego pisarza (wydawnictwa wykorzystywały fakt wygaśnięcia praw autorskich – Kuttner zmarł w 1958 r.). Wydawało się już, że niewiele się możemy po jego prozie spodziewać.

Oficyna PiK przystąpiła do wydawania cyklu „Najlepsze opowiadania”. W dwóch pierwszych tomach zgromadzone bardzo różnorodne teksty Kuttnera – SF i fantasy, poważne i humorystyczne. Kuttner potrafi pisać lekko i dowcipnie, tworzyć sytuacje komiczne i groteskowe. Najlepsze w obu tomach są właśnie te, utrzymane w tonie żartobliwym utwory: „Lokatorzy” (o zamieszkujących ptasią klatkę, przynoszących szczęście skrzatami), „Wierna miłość” (o szafie grającej, która się zakochała), „Gnom” (o przemienionym w trolla człowieku zakładającym w Podziemnym Królestwie związki zawodowe). Miłośnik twardej SF. Szczególnie warto zwrócić uwagę na dwie nowele: „Parytet żelaza” i „Niewidzialne oko”, które reprezentują zarzucony już sposób pisanie SF. Autor wymyśla pewną sytuację (pierwsi

recenzje

ziemscy astronauta lądują na Wenus, wenusjańska zbiurokratyzowana społeczność izoluje ich, ludziom grozi głód; mezczyzna planuje zabójstwo w świecie, w którym można odtworzyć dowolny fakt z przeszłości), a potem konsekwentnie rozwija ją i stara się znaleźć rozwiązanie postawionej przez siebie zagadki (jak podejść Wenusjan; jak zabić i nie iść do pudła).

Rekwizytornia i scenografia opowiadań pozostaje typowa dla SF sprzed kilku dekad, ale ta myszka tylko dodaje nowelkom uroku. W sumie oferta różnorodna. Za to okładki koszmarnie pod względem plastycznym, nazwisko tłumaczki na erracie i brak dat pierwszego wydania.

Wentylator

Henry Kuttner: *Maszyna ego / Niewidzialne oko*. PiK 1993. Tłum. Danuta Górka, wybór Marek S. Nowowiejski. Cena 32 000 / 30 000 zł. Mistrzowie SF.

Walka o koryto

„Głód” Grahama Mastertona sprzedaje się jak ciepłe bułki, bo każdego interesuje, co to będzie, kiedy nagle zabraknie zarcia. W powstałej w 1981 roku powieści za wytrzebieńie zbóż, jarzyn i owoców odpowiedzialne są mutacje wirusa; US Army używała jego dziadka do dewastacji roślinności w Wietnamie. Ponieważ ginie sto procent zasiewów i plantacji, więc wiadomo, co czeka rozbuchaną konsumpcyjnie Amerykę. Politycy usiłują na tym zbić kapitał (także dosłownie), mass media rzucają się na sensację, a cała ludność – do grabienia supermarketów. Tu autor z wyraźną lubością przytacza nieco scen mrozących krew w żylach.

Książka ta jest dziś dziwnie aktualna; w obliczu suszy wynikłej z efektu cieplarnianego skomasowanego z dziurą ozonową możliwości głodu na wielkich obszarach należy rozpatrywać serio. Masterton swoim zwyczajem traktuje jednak zagadnienie jako ostateczność do wprowadzenia sensacyjnej akcji. Od innych jego książek tego typu „Głód” różni się tylko założeniem. Można jednak uznać ten utwór za realistyczną fantastykę bliskiego zasięgu, za wizję, która oby nigdy się nie spełniła.

Wydawcy doradzam ostrożniejsze szafowanie etykietkami: „Głód” mianowicie został uznany za horror. W autentycznych horrorach strach jest efektem samym w sobie – tu stanowi efekt uboczny wydarzeń, które mogą zająć w rzeczy samej. Na podobnej zasadzie można by nalepać „horror” opatrywać wspomnienia z obozu w Oświęcimiu czy znad Kołomy. Zaręczam, że i tam działa się naprawdę wstrząsające rzeczy.

I kiedy tak człek дума nad tłuszcza mordującą się o dostęp do koryta, przychodzi na myśl skromniejsza książeczka Johna Christophera „Śmierć trawy”. Nie ma tam rozbuchanego seksu, krew bluzga o wiele skąpiej – a przecież czytelnik bardziej przejmie się losem zagrożonej ludzkości niż podczas lektury hałaśliwego i efekciarskiego thrillera Mastertona.

Predator

Graham Masterton: *Głód*. Tłum. Piotr Kuś. Rebis 1993. Horror.

Czytało z ambicjami

Robert A. Heinlein spłodził „Szlak chwały” chyba tylko po to, aby udowodnić, że naprawdę dobry autor może też pisać w konwencji fantastyki. Postawione sobie zadanie wykonał.

Oskar Gordon to weteran wojny wietnamskiej, chwilowo pozabawiony pomysłu, jak spędzić resztę życia. Piękna niezna-

ma uwodzi go i zabiera ze sobą do nieznanej krainy w równoległym świecie. Dziewczyna, Star, okazuje się czarodziejką, mającą za zadanie wykraść Jajo Feniksa – Gordon zostaje jej rycerzem. Podąża zatem tytułowym Szlakiem chwały, przechodząc cykl przygód conanopodobnych – czyli seks, harpie, smoki, golem i efektowne pojedynki. W końcu wychodzi na jaw, że Star to cesarzowa dwudziestu wszechświatów, a Jajo Feniksa to pojemnik zawierający zapisy pamięci poprzednich trzystu władców, który źli ludzie wykradli i umieścili w wyjątkowo obrzydliwym miejscu.

Historijka pewnie byłaby mało smaczna, gdyby nie potężna dawka ironii – Gordon co chwila przypomina sobie, jak w podobnej sytuacji zachowywał się bohater Burroughsa czy innego autora fantastyki. Widać tu, że Heinlein świetnie się bawi, a i po trosze parodiuje gatunek. Wszystko to podane przy użyciu naprawdę znakomitego warsztatu – akcja płynie warkotem, dialogi błyskotliwie, stylizyka dynamiczna (dobry przekład), bohater, mimo naiwności sytuacji, wiarygodny. Znać rękę mistrza.

Niejako na marginesie tych literackich zabaw Heinlein formułuje parę myśli, odnoszących się do naszej ziemskiej cywilizacji, np., że jedynym lekarstwem na prostytucję jest wolna miłość lub że nie masz bardziej absurdałnego systemu niż demokracja. To akurat już znamy z „Obcego w obcym kraju”, dlatego „Szlak chwały” Ameryki nam tu nie odkrywa.

Karburator

Robert A. Heinlein: *Szlak chwały*. Tłum. Zbigniew A. Królki i Andrzej Sawicki. Phantom Press 1993. Cena 38 000 zł. Fantastyka i SF.

Zatłoczona przestrzeń

James P. Hogan, pisarz angielski (ur. 1941), to przedstawiciel twardej odmiany fantastyki, z wykształcenia zresztą inżynier i elektronik. Większość jego książek rozgrywa się w niedalekiej przyszłości i przedstawia ludzkość u progu podboju kosmosu. Zadebiutował powieścią „Gwiezdne dziedzictwo”, którą potem, zachęcony czytelnickim sukcesem, rozwinął w trylogię „Giants”.

Zjednoczona Ziemia stawia pierwsze kroki w przestrzeni kosmicznej i z miejsca napotyka na odziemskiej stronie Księżyca zwłoki kosmonauty oceniane na 50 tysięcy lat. Ów kosmonauta był w każdym calu człowiekiem. Tymczasem nauka absolutnie wyklucza możliwość powstania dwóch identycznych istot pochodzących z różnych pni rozwojowych.

Hogan mnoży teorie mające wyjaśnić ów fenomen, a każda jest coraz bardziej spekulatywna. W dodatku ekspedycja na księżyc Jowisza napotyka rozbity wielki statek, należący do obcej cywilizacji, wypełniony truchłami ziemskiej flory i fauny sprzed 25 milionów lat. U Hogana wystarcza więc mały kroczek poza pole przyciągania ziemskiego, aby zacząć się potykać o śmieci po kosmicznym parkingu. Wytłumaczenie tej nieprawdopodobnej historii jest zaś według autora oczywiste. Na planecie Minerwie (obecnie pas asteroidów) powstała zaawansowana technicznie cywilizacja Gigantów, zmuszonych do emigracji poza układ. Co było dalej, nie powiem, by nie odbierać przyjemności czytelnikom.

Wiele w tej książce nieprawdopodobnych i nie najlepiej wywiedzionych teorii, ale jedno trzeba jej przyznać – czyta się i z pewnością zdobędzie zwolenników.

Denuncjator

James P. Hogan: *Gwiezdne dziedzictwo*. Tłum. J.M.-G. Amber 1993. Cena 35 000. Mistrzowie SF.

Ja, wybierając los mój, wybrałem szaleństwo – tym cytatem z Tadeusza Micińskiego rozpoczyna swą powieść „Nienasycenie” Stanisław Ignacy Witkiewicz. Nie bez kozery – książka opowiada o świecie w stanie totalnego obłądzenia. Zresztą, pierwotny tytuł dzieła miał brzmieć właśnie „Obłąd”.

Rzecz dzieje się w Polsce w bliżej nieokreślonej przyszłości. W Rosji obalono bolszewizm i rządzi nią znowu car, za to Zachód zdążył się skomunizować – jedynym kapitalistycznym krajem jest właśnie Polska, rządzona przez Syndykat Narodowego Zbawienia, a utrzymywana za pieniądze tychże zachodnich komunistów. Ważną, centralną figurą jest generał Kocmolucho-wicz (tu pokpił sobie Witkacy z Piłsudskiego), bodaj czy nie ostatni mocarz woli i ducha; wszyscy się go boją, bo nigdy nie wiadomo, co zrobi.

Opisana w „Nienasyceniu” rzeczywistość znajduje się w stanie totalnego rozprężenia – nikt już w nic nie wierzy, gnie sztuka, religia i filozofia, masy ulegają zbydlęczeniu i demokracji (co na jedno wychodzi) i oddają się niewyszukanym rozrywkom – stąd nazwa epoki, sportowo-dancingowa. Trzeba tu wiedzieć, że Witkacy nienawidził sportu i tańca, poza chodzeniem po górach, rzecz jasna. Uczucia metafizyczne zanikają, wszystko staje się do obrzydliwości materialne, szare, płaskie, mętne i pospolite.

Nad tym ontologicznym chaosem wisi groźba najazdu Chińczyków – ci, całkiem już skomunizowani, mają na nudę i egzystencjalne rozterki dość prostą receptę: za pysk i do roboty. Pomaga im w tym religia niejakiego Murti Binga i narkotyk Damawesk B2, po którego zażyciu człowiek staje się zbydlęconym automatem. Dodatkowo Chińczycy planują zmieszanie obu

ras, białej i żółtej, co ma dać ciekawe efekty w przyszłości.

W tej zdegradowanej rzeczywistości, która za moment zostanie zasnana przez chińską magmę, żyją jeszcze niedobitki ludzi o tzw. wyższych aspiracjach. Nie mogą ich zaspokoić, ponieważ degeneracja świata posunęła się za daleko – dręczy ich tytułowe nienasycenie. Jedni próbują się zrealizować w literaturze, jak pisarz Sturfan Abnol, inni w muzyce, jak Putrycydes Tengier, czy nawet religii (kniżka Bazyli). Niestety, niemoc i niemożność są już zbyt intensywne, zbyt obezwładniające,

Wybrać szaleństwo

jedynie podrażniają rozbudzone apetyty. *Nasyć się!* – woła w którymś momencie z rozpaczą Tengier.

W ten to światek miotającej się na krawędzi przepaści arystokracji i cyganerii artystycznej wkracza młody Genesyp von Kapen de Vahaz, szukający celu i sensu życia. Oczywiście, nie znajduje nic poza seksualną perwersją i ogólną beznadzieją – przypomina w tym po trosze wolterowski Kandyda. Z czasem popada świadomie w obłąd i katatonie, co jest formą duchowego samobójstwa. Jedynie w tej postaci można egzystować w świecie pozabawionym sensu.

Dzisiejszy czytelnik, zwłaszcza ten wychowany na powieściach szybkiej akcji (Ludlum, Follett, McLean), będzie miał z Witkacym sporo kłopotu, który do wymagań gatunkowych miał stosunek dość lekceważący, otwarcie pisząc we wstępie: *Konstrukcja całości jest czymś, według mnie, w powieści drugorzędny*. Dlatego zapewne w „Nienasyceniu” fabuła jest zupełnie pretekstowa, właściwie nie ma akcji we współczesnym rozumieniu tego

słowa, na plan pierwszy wysuwają się poszczególne sytuacje, postacie, a zwłaszcza ich poglądy. Dla Witkacego tworzenie przezeń powieści miały być medium przekazywania w popularnej formie jego katastroficzne poglądy. Pełno w nich filozoficznych dysertacji i analiz stanów psychicznych bohaterów, opisanych dość zjadliwym, parodystycznym językiem, co jest smakiem samym w sobie. Niewątpliwie wymaga to od czytającego odrobiny samozaparcia i jakiegoś takiego obycia w filozoficznym żargonie.

Czymś, co na pewno poruszy współczesnego czytelnika, jest naszkicowany przez Witkacego obraz przyszłej Polski. Wiele obrazków i konstatacji wyda mu się zaskakująco zbieżnych z tym, co sam widzi – bezholowie, partyjniactwo, ogólny bardach i niemożność. Jakże mogą nie chwycić za serce stwierdzenia w rodzaju, że Polska nie tyle już nieładem stoi, co *brakiem wielkich ludzi*. Oczywiście Witkacy nie jest tu prorokiem, raczej znową duszą polskiej – po prostu przerzucił w powieściową przyszłość to, co sam widział wokół siebie, jak najsłuszniej mniemając, iż nie ma najmniejszego powodu, abyśmy nagle zmienili się w Szwajcarów, Anglików czy inną równie uporządkowaną nację.

Wszystko kończy się nawałą Chińczyków, przed którymi Kocmolucho-wicz niespodziewanie kapituluje. Skądinąd to logiczne – opisany w „Nienasyceniu” świat musiał zginąć, ponieważ nie stało wartością, wokół których mógł się zjednoczyć i stawić opór. W rzeczywistości wyzutej z wszelkich idei wygrywa walkowerem pierwsza z brzegu bzduza, choćby tak obłąkana jak chiński komunizm.

Jacek Inglot

Stanisław Ignacy Witkiewicz: *Nienasycenie*. PIW 1992. Dzieła zebrane.

se utworów Kinga. Po brawurowej „Balladzie o celnym strzale”, po „Jasności” (drugie wydanie pod właściwym tytułem „Lśnienie”), po „Misery”, „Miaścisku Salem” i „Smętarzu dla zwierzątek” – „Podpalaczka” musi rozczarować. To tylko długa i nieco nużąca opowieść o obdarzonej zdolnościami pirokinyetycznymi dziewczynce, która wraz z ojcem próbuje uwolnić się spod władzy

Partia z szulerem

złych ludzi z CIA. King jest wspaniały w kameralnym horrorze, wtedy gdy bohater musi walczyć z własną słabością lub – jak np. w „Misery” – gdy kaleka zwycięża psychopatyczną opiekunkę. Ale w tych powieściach King nie sili się na stwarzanie świata od nowa, na opisywanie politycznych mechanizmów nim rządzących. „Podpalaczka” natomiast sprawia wrażenie książki o tym, jak mały Jasio wyobraża sobie pracę wielkiego wywiadu.

Ludlumowi czasem można wierzyć, czasem nie, Kingowi wierzyć nie sposób, bo jego wizja zbyt jest naiwna. Przez autora przemawia nieufność, jaką pokolenie hipisów (w końcu King to rocznik 1947) żywi do przedstawicieli władzy.

Jacek Piekara

Stephen King: *Firestarter*. Tłum. Krzysztof Sokolowski. Phantom Press 1992. Cena 40 tys. zł. Horror.

Czasem pytają mnie czytelnicy, ile w utworze musi być fantastyki, aby można było go uznać za odpowiadający kryteriom gatunku. Dotąd odpowiadałem przykładem: jeśli napiszemy o tokarzach stojących przy obrabiarkach, będzie to realizm. Wystarczy jednak, by kilku z nich miało skrzydła, a już ten skromny element fantastyczny nadaje całości zupełnie inny charakter. Ba, dość, by tylko jeden z robotników miał skrzydła, aby poprowadzić intrygę fantastycznego typu.

Teraz taką właśnie powieść dostałem w prezencie; akcja rozgrywa się w środowisku cyrkowym, a jedynym elementem fantastycznym są tu skrzydła wyrastające z pleców pięknej akrobatki, która dzięki takiemu wyposażeniu dokonuje cudów na trapezie. Skąd się te skrzydła wzięły u kobiety, która poza tym przypomina istotę ludzką w każdym calu, nikt nie wie, nawet ona. Znalezione ją jako podrzutka; dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły jej w zaciszu dobrze prosperującego zamtuza. Ona sama uważa, że została przez kogoś wysiedziana z jaja, jajo zaś wzięło się chyba z igraszek miłosnych ptaka z człowiekiem. W powieści Angeli Carter „Wieczory cyrkowe” wspomina się oczywiście o przypadku Ledy z labedziem i nawet stosowna reprodukcja wisi na ścianie zamtuza pobudzając wyobraźnię bohaterki.

Oczywiście naukowe prawdopodobieństwo powstania takiego stwora jest nikłe, chociaż słyszałem, że pod względem erotycznym labędź nie ustępuje dobrze zbudowanemu mężczyźnie. Za dużą jest jednak różnica genów, by doszło do zapłodnienia, a i anatomia nie ta: skrzydła nie dadzą się przytwierdzić na ludzkich plecach,

tak by działały i unosiły właściciela w powietrzu. Ptaki to złożeni z mięsa i pierza ślaczce, gdzie każdy gram mięśni ma swoje przeznaczenie – nie da się ich optymalnie skonstruowanej postaci transponować na humanoida.

W powieści Carter nie chodzi jednak o naukową ścisłość. Bohaterka po serii życiowych perypetii ląduje w cyrku, bo tam jest zapotrzebowanie na takie jak ona indywidua. Zostaje gwiazdą, a więc radzi sobie o wiele lepiej niż choćby bohater wczesnego filmu Lyncha „Człowiek-słoń”. W kilku znanych polskiemu czytelnikowi utwo-

Fantastyka-minimum

rach o wampirach (np. w powieści Anne Rice „Wywiad z wampirem” czy opowiadaniu Boba Lemana „Pielgrzymka Clifforda M.”) mówi się o stworach skazanych na kogzystencję z człowiekiem, lecz do ludzkiej rasy nie należących. Centralnym problemem jest dla nich kwestia własnej tożsamości, odnalezienia istot pokrewnych. U Carter taka sprawa nie staje nawet przez sekundę, akrobatka Fevver nie czuje się ani trochę zagubiona, jest raczej osobnikiem dominującym, z rozbawieniem obserwuje perypetie otaczających ją ludzi, ale przecież i utożsamia się z nimi, bo podobieństwo do nich wykazuje duże. Fevver jest taka jak inni – tylko że ma skrzydła.

Przy okazji śledzenia jej dziejów poznamy galerię różnych dziwolągów ludzkich, które przywodzą na myśl motyw z powieści Miodraga Bulatovića „Gullo gullo”. Tam różne okazy potworków ludzkich zwozi się

niezwykle klejnot – Rubin Gerkoto (trochę przypomina to motyw z „Władcy Pierścieni” Tolkiena), jeden z tzw. Porzuconych Przedmiotów pochodzących ze Złego Kraju. Zły Kraj jako żywo przypomina z kolei słynną Streję z „Pikniku na skraju drogi” Strugackich. Tam również przedmioty – tyle że porzucone przez kosmitów – były wykorzystywane przez ludzi w niezgodzie z ich właściwym przeznaczeniem. No i najbardziej poszukiwanym przedmiotem w Złym Kraju jest przecie kula Freza, która niweluje wszelkie złe czary – u Strugackich chodziło o Złotą Kulę spełniającą życzenia. Wszystkie trzy sio-

Odcienie szarości

stry, jak również uwikłany w ich intrygi Raladan (postać wbrew początkowym pozorom bardzo tajemnicza) odegrają niezwykle znaczącą rolę w losach Szereru.

Kres skomponował wielce skomplikowaną, wielopiętrową, logicznie dopiętą na ostatni guzik intrygę. Chwilami miałem wrażenie, że czytam nie „Króla Bezmiarów”, a którąś z powieści Aleksandra Dumasa czy Eugeniusza Sue. Kres nie jest wcale gorszy, nawet czyta się go lepiej, jest – to oczywiste – językowo nowocześniejszy.

Zazwyczaj powieść fantasy charakteryzuje się dualizmem przedstawianego w niej świata. Mamy dobro i zło, czarnych i białych bohaterów. U Kresa zaś jest inaczej, w jego świecie dominuje szarość. Bo-

w jedno miejsce, gdzie trwa nieustanny handel nieszczęśliwymi i gdzie amatorzy zdeformowanych ludzkich poczwarów (przeważnie Arabowie) zaraz po uiszczeniu opłaty rzucają się je gwałcić w wyrafinowany sposób. Seksualne wykorzystanie odmieńców ma miejsce i u Carter, co prowadzi do przynębiającego wniosku, że pomysły tzw. normalnych na „zagoszodarowanie” ich zdeformowanych bliźnich są dość ograniczone. Jeśli jednak Fevver nie czuje się ulonna, to chyba dlatego, iż skrzydła zawsze były w naszej kulturze symbolem wzniosłości, atrybutem anielskim. Łatwo przewidzieć odmianę, gdyby wyrósł jej garb albo sześciokilowy polip na karku.

Co zaskakujące, skrzydła zamontowane bohaterce nie są Carter do niczego potrzebne. Ta autorka wydanej w 1988 roku w Polsce powieści quasi-SF „Marianna i barbarzyńcy” tym razem koncentruje się na opisie epoki *fin de siecle'u* (akcja dzieje się w 1899 roku), jej szaleństw, jej aktorów. Oto literatura prawdziwie bezinteresowna, której nie chodzi o załatwienie czegoś doraźnego, lecz tylko o zadumanie się nad dziwnością i urodą życia, nad woltami, którymi nas zaskakuje. Powieść Carter to przykład fantastyki-minimum, podobnie jak opowiadanie Sheckleya „Zwiadowca-minimum” pokazująca najmniejszą porcję jakiegś cechy, wystarczającej do zaliczenia zjawiska czy osoby do określonej kategorii.

Marek Oramus

Angela Carter: *Wieczory cyrkowe*. Tłum. Zofia Uhrynowska-Hanasz. Czytelnik 1993.

haterowie nie są ani specjalnie dobrzy, ani też okropnie źli. A jeżeli już, to nie z własnej winy czy zasługi, jeno za sprawą Szerni, czyli mitycznej siły sprawczej. Przywodzi to na myśl doktrynę Św. Augustyna, podług której człowiek przychodzi na świat dobry albo zły niezależnie od własnej woli i po to tylko, by stać się częścią Bożego planu. Zarówno dobro jak i zło potrzebne są Bogu do kompozycji, niejako na równych prawach. Światem Szereru rządzą tzw. Prawa Całości, które zakładają, że dobro i zło muszą się równoważyć, przewaga któregośkolwiek z nich (także dobra) jest złem.

Jest w „Królu Bezmiarów” scena jak na fantazy niebywała. Oto Riolata, w gruncie rzeczy główna bohaterka, rozpoznawszy swoje nadprzyrodzone zdolności, spala samym wzrokiem kochanka po nieudanym stosunku seksualnym. Tamenat (mędrzec i znawca Praw Całości) nie potępia jej za ów czyn: według niego właśnie Prawa Całości wymagały od Riolaty okrucieństwa. Na świecie jest za mało zła koniecznego do równowagi i Riolata zmuszona jest niejako czynić zło! Wszystko zależy zatem od punktu widzenia. Czyń moralnie naganne przyczyniają się czasem do wielkiego dobra. Relatywistyczna fantazy? Czemu nie – uważam to za interesującą próbę rozszerzenia granic gatunku.

Jacek Sobota

P.S. Zainteresowanych mitologią, historią i geografią Szereru odsyłam do „Voyagera” nr 2. Autorze radziłbym na przyszłość zatrudnić korektora.

Feliks W. Kres: *Król Bezmiarów*. Aurora 1992.

Po Krzysztofie Boruniu, Grzegorzu Stefańskim i Andrzejū Zimniaku („NF” 5/93); po Eugeniuszu Dębskim, Grzegorzu Lipce i Rafale A. Ziemkiewicz (NF” 7/93) – we wrześniu dwie tylko, ale za to dłuższe, wypowiedzi: polonisty i programisty. Oba komunikaty przenoszą nas w krąg zawodowych rozczarowań lub wręcz, w przypadku polonisty, ponurych diagnoz i prognoz kulturowych.

Być może nie wszystko ma tu moc uogólnienia, na pewno nie każda odnotowana przez autorów tendencja musi być trwała. Z Jackiem Ingłotem na przykład, po jego utrzymanej w podobnym duchu wypowiedzi dla „Tygodnika Powszechnego” (nr 22/93), stanowczo polemizowała na łamach pisma grupa licealistów („TP” 25/93). Natomiast – uwaga! – solidaryzowało się z nim paru nauczycieli. Podsumujmy rzecz krótko: najlepszym sposobem rozwiązywania trudnych problemów jest ich uczciwe postawienie. Oczekujemy na listy państwa dotyczące naszej sondy.

Drugie ja polskiej fantastyki (3)

Dzieci Argolandu

W czasach PRL wyczytałem w gazecie, że 90 proc. ludzi w naszym kraju nie lubi wykonywanej pracy. Teraz do tej niezadowolonej z pracy większości można spokojnie zaliczyć nauczycieli, a w szczególności polonistów. Przyczyną frustracji nie są wyłącznie zarobki. Gorsza jest świadomość, iż to, na czym trawi się najlepsze lata życia, ma charakter „roboty głupiego”. Dlaczego?

Oto przykład z mojej praktyki nauczycielskiej. Postanowiłem, w celu przybliżenia uczniom klimatu i specyfiki „Chłopów” Reymonta, puścić im na wideo fragmenty adaptacji filmowej Rybkowskiego. Oglądali rzecz z umiarkowanym zainteresowaniem, aż do momentu, w którym Boryna (Władysław Hańcza) dzieląc chleb do obiadu uczynił na bochenku znak krzyża, jak to w starym wiejskim obyczaju. Na widok ten klasa zarżała nieprzytomnym śmiechem. Spytałem, co takiego budzi ich wesołość – nie potrafili powiedzieć (lub nie chcieli). Notabene największy ich entuzjazm wywołała zamieszczona na początku kasety reklama „Chio-chipsów” – domagano się pusczenia jej w całości, mimo że można ją codziennie obejrzeć w telewizji.

Wypadek powyższy świadczy o oczywistej już dla każdego nauczyciela nieprzystawalności programu nauczania do wrażliwości i możliwości współczesnej młodzieży. Mamy do czynienia z nowym rodzajem człowieka – dla celów badawczych nazwałbym go sobie *homo hodiernus* (człowiek dzisiejszy, żyjący tylko współczesnością). Podstawowym wyróżnikiem jest tu kompletny ahistoryzm, niezdolność do identyfikacji i przeżycia doświadczenia historycznego, odległego od teraźniejszości dalej niż tydzień. Ma to swoje bezpośrednie konsekwencje dla typu kultury reprezentowanej przez *homo hodiernus*. Może on bytować jedynie w rzeczywistości przemysłowo zaprojektowanych gadżetów, przeznaczonych do jednorazowego użytku – istniejących tylko przez moment, po czym zastępowanych przez kolejny produkt. W procedurze tym kontekst historyczny jest nieistotny, wręcz szkodliwy, niepotrzebnie odwracający uwagę. Ten mechanizm zrów-

nuje rzeczywistość kulturową do jednego poziomu, wszystko, nawet ze źródeł swoich historycznych, staje się tylko „dzisiejsze”, jak np. Mona Lisa zestawiona w reklamie z puszką zupy Campbell. Przeszłość i przyszłość nie istnieją.

Jako nauczyciel widzę, jak z ław szkolnych wyrasta istny Legion owych „ludzi dzisiejszych”. Dla dzieci tych większa część naszej narodowej literatury to nie-



zrozumiałe dziwactwa, które nijak się mają do otaczającego świata. Dotyczy to zwłaszcza literatury romantycznej – z punktu widzenia „człowieka dzisiejszego” miotaniny bohaterów Byrona, Mickiewicza czy Słowackiego to reakcje dewiantów, którzy czort wie czym się zajmują zamiast tłuc szmalc. Wielka Improvizacja wydaje im się bełkotem wariata, który ubzdurał sobie, że będzie rządził gwiazdami. Cała literatura romantyczna jest jednym wielkim niezrozumiałym majakiem.

Na moich oczach wyrasta pokolenie, które bez problemów mogłoby załudnić zajądlowski Argoland – jak pamiętamy, tamtejsza społeczność została pozbawiona przeszłości w sposób sztuczny, pod przymusem. Doskonałość obecnego rozwiązania jest w tym kontekście wręcz porażająca, ponieważ proces ów odbywa się całkowicie dobrowolnie, nikt do niego nie przymusza – stąd płynnie wniosek, że kultura masowa wygląda na sto-

króć skuteczniejsza od socrealizmu. Szkoda, że nie wiedział tego Stalin.

Niektórzy obserwatorzy obecnych przemian rozśiewają hołbowe wieści, iż za lat dwadzieścia kraj nasz będzie pozbawiony własnej, narodowej kultury. Jako bezpośredni uczestnik „frontu zmagania” (czyli szkoły, odpowiedzialnej za wykształcenie w świadomości jednostki podstawowych pojęć kulturowych) mogę to tylko potwierdzić. Uczniowie liceum, których świadome życie zaczęło się już po roku 1989, w żaden sposób nie potrafią utożsamić się z narodowo-niepodległościowymi kontekstami, nadającymi kształt kulturze polskiej ostatnich dwustu lat. Dla tego pokolenia są to już „prawdy martwe”. Wolność, ów upragniony przez romantyków abstrakt-ideal, stając się realnością, zabiła jednocześnie wszystkie inne towarzyszące jej wartości.

Ta tendencja jest skądinąd zgodna z rozwojem kultury światowej. Coraz częściej podnoszą się głosy, że wkraczamy w okres „nowego średniowiecza” – jak tamto średniowiecze „zapomniało” o antyku, tak i przyszła kultura zapomni o przeszłości, wytwarzając na swe potrzeby zupełnie nowe, ahistoryczne wzorce i konwencje. Dzieje się tak już od dawna w kulturze masowej, serwującej odbiorcom syntetycznie wypichcone mitologie.

Jedynym ratunkiem wydaje się radykalna zmiana programu nauczania, tak jeśli chodzi o treść, jak i koncepcję. Konieczna jest rezygnacja z chronologicznego uporządkowania literatury, wiążącego ją z kontekstami historycznymi – te związki są dla już współczesnego ucznia zupełnie niezrozumiałe, może tylko powtarzać jak papuga wnioski podyktowane przez nauczyciela do zeszytu. Należałoby pomyśleć raczej o blokach problemowych, akcentujących wartości bardziej ogólne, a przez to uniwersalne. Wiele by tu pomogła Jungowska teoria archetypów, które prawdopodobnie ocaleją nawet w świecie komiksu i harlequinowej tandety – można by się podeprzeć lepszą częścią literatury popularnej, sensacyjnej, kryminalnej czy fantastycznej. Oczywiście będzie to oznaczać wyrzucenie większej części kanonu romantycznego; z drugiej strony tylko wtedy da się cokolwiek ocalić, także i niektóre lektury romantyczne.

Nie są to wesołe perspektywy, nie ma jednak na to rady: mechanizm spłaszczający kulturę działa z konsekwencją i siłą drogowego walca: *Chcieliście wolność, no to ją macie, skumbrie w tomacie, pstrąg*. O Galczyńskim zresztą też zapomną.

Jacek Ingłot
nauczyciel w liceum, polonista

Tao liczenia jaj

Pewien chłopiec mówił mi niedawno, że nie będzie studiował informatyki, bo skończyłby na liczeniu jaj w hurtowni. Otóż moja praca wygląda jakoś tak, choć informatyki nie kończyłem. Czemu akurat Centralny Ośrodek Informatyki Górnicztwa? Jestem poniekąd górnikiem, mam w szufladzie dyplom inżyniera górniczego, do informatyki przylepiłem się przypadkowo, bo nie mogłem znaleźć innej pracy.

Najpierw były duże przestarzałe maszyny. Karty perforowane. Stąd dziewcząt przepisyjących dane z papieru do maszyn (jedyna jasna strona tego miejsca i zajęcia). Taśmy magnetyczne. I koszmarnie, demoralizujące czekanie, bo wykonanie poprawek wniesionych do programu trwa tygodniami. No i ciśnienie polityki. Małe, brudne, podle szantaże, bo przynależność do związków zawodowych może być ważna dla waszej gównianej kariery. Gadzie oczy. Więc może lepiej powiedzieć o przedmiotach. Cóż, kiedy i one były naznaczone. Mikrokomputer socjalistyczny za cholerę nie chciał dobrze działać. I wtedy miało się przecucie – to długo nie pociągnie.

Dzisiaj moje narzędzie pracy to zwykły pocztowy pecet. Parę lat temu to było coś. Brak zależności od innych – po prostu masz do dyspozycji komputer i dłubiesz na nim. Wszystko działa jak powinno! Żadnych bułgarskich dysków! Jednak to nie było wszystko. Cóż, że pojawiło się jako tako niezawodne narzędzie pracy, skoro nikt jej wyników specjalnie nie potrzebował. Labirynt kretyńskich instytucji. Hurtownia jaj naprawdę nie jest najgłupszą rzeczą na świecie.

Teraz większą część dochodów zawdzięczam moim własnym klientom. To, co robię, jest im potrzebne. No i co najważniejsze – po prostu z tego żyję.

Parę zdań o typie ludzi, zajmujących się informatyką. To przeważnie zadzierający nosa zarozumiałcy, choćby byli całkiem miernymi fachowcami. Jakby każdy z nich rozpoczął od przestudiowania książeczki „Jak blefować doskonale. Komputery” (polecam). Niedawno jechałem ze znajomym do Niemiec. Kupował peceta, a ja miałem służyć mu radą. Pierwszy raz na Zachodzie, byłem oczywiście skrupowany uniżonością sprzedawców. Dopiero w sklepach z pecetami, gdzie superfachowcy za ładą obdarzali wszystkich klientów pogardliwymi spojrzami, poczułem się normalnie.

Programiści mają swoją subkulturę i specyficzne poczucie humoru. To szczególne medium, za którego pośrednictwem przenosi się owa subkultura. Na przykład gry komputerowe, ale też dziwaczne i zabawne teksty. Skomputeryzowana księga I Ching. Wirusy komputerowe itd.

Jeden z takich tekstów naprawdę mnie rozbawił. Dostałem go od przyjaciela – szalonego programisty pracującego w kil-

kuosobowej firmie i programującego w języku C, co jak wiadomo, musi skończyć się obłędem (jeszcze lepszy jest pod tym względem assembler). Przyjaciel wgrał na dysk twardy mojego komputera plik tekstowy napisany (prawdopodobnie) przez Geoffreya Jamesa „Tao programowania”. Oto jak to smakuje, ze szczyptą mojego komentarza:

Mądry programista słyszy o Tao i postępuje za nim. Średni programista słyszy o Tao i szuka go. Głupi programista słyszy o Tao i śmieje się z niego.

Gdyby nie było śmiechu, nie byłoby Tao. Najtrudniej usłyszeć najwyższe dźwięki. Pójście naprzód jest sposobem na cofnięcie się. Wielki talent ujawnia się w życiu późno. Nawet doskonały program ciągle ma błędy.



Komentarz: To prawda. W każdym programie można znaleźć błędy. A jeśli nie można znaleźć błędów oczywistych, to na pewno można napisać go lepiej, tak aby działał sprawniej i ku większemu zadowoleniu użytkownika. Odwrotnie niż przy pisaniu opowiadań. Tu ma się uczucie, niekiedy uzasadnione, że dodanie lub zmniejszenie czegośkolwiek tylko popsuje sprawę.

Pewien programista służył na dworze dygnitarza Wu. Dygnitarz zapytał programistę:

– Co jest łatwiej zaprojektować: pakiet finansowy czy system operacyjny?

– System operacyjny – odpowiedział programista.

Dygnitarz zakrzyknął z niedowierzaniem.

– Z pewnością pakiet finansowy jest trywialny w porównaniu ze złożonością systemu operacyjnego – powiedział.

– Nieprawda – powiedział programista. – Kiedy projektuje się pakiet finansowy, programista działa jako mediator pomiędzy ludźmi o różnych poglądach na temat: jak to powinno działać, jak powinno wyglądać wydruki i jak powinno to odzwierciedlać system podatkowy. System operacyjny, przeciwnie, nie jest ograniczony przez okoliczności zewnętrzne. Projektując system operacyjny programista poszukuje najprostszego harmonii pomiędzy maszyną i ideą. Oto dlaczego łatwiej zaprojektować system operacyjny.

Pewien dyrektor przyszedł do mistrza programowania i pokazał mu założenia do nowego programu. Dyrektor zapytał mistrza:

– Jak długo potrwa wykonanie tego projektu, jeśli wyznaczę do niego pięciu programistów?

– Zajmie to rok – odpowiedział natychmiast mistrz.

– Ale potrzebujemy tego systemu natychmiast. Jak długo to potrwa, jeśli wyznaczę dziesięciu programistów?

Mistrz programowania zmarszczył brwi.

– W tym wypadku zajmie to dwa lata.

– A co będzie jeśli przeznaczę do tego stu programistów?

Mistrz programowania wzruszył ramionami.

– Wtedy projekt nigdy nie zostanie ukończony.

Nowicjusz zapytał mistrza:

– Mam program, który czasami działa dobrze, a czasami kończy pracę bez żadnej przyczyny. Przestrzegam reguł programowania, ale jestem całkowicie zbity z tropu. Jaka jest tego przyczyna?

Mistrz odrzekł:

– Jesteś zmieszany, ponieważ nie rozumiesz Tao. Tylko głupiec oczekuje racjonalnego zachowania od drugiego człowieka. Dlaczego oczekujesz tego od maszyny, którą skonstruowali ludzie? Komputery tylko udają determinizm; tylko Tao jest doskonałe. Reguły programowania przemijają; tylko Tao jest wieczne. Zatem musisz kontemplować Tao, zanim osiągniesz stan oświecenia.

– Ale po czym poznam, że osiągnąłem stan oświecenia? – zapytał nowicjusz.

– Twój program będzie wtedy działał prawidłowo – odrzekł mistrz.

Pewien mistrz tłumaczył naturę Tao jednemu ze swoich nowicjuszy.

– Tao jest obecne w każdym oprogramowaniu, obojętnie jak mało znaczącym.

– Czy jest obecne w ręcznym kalkulatorze? – zapytał nowicjusz.

– Jest – padła odpowiedź.

– Czy można znaleźć Tao w grze wideo? – pytał dalej nowicjusz.

– Jest nawet w grze wideo – rzekł mistrz.

– A czy jest Tao w systemie operacyjnym DOS dla komputerów osobistych?

Mistrz zakaszał i zmienił lekko swoją pozycję.

– Na dzisiaj lekcja jest skończona – powiedział.

Komentarz: Informatycy tworzą zaciekle zwalczające się klany wyznawców różnych systemów operacyjnych, różnych języków programowania, a nawet różnych edytorów. Wykorzystują każdą okazję, by wytknąć wady oprogramowania używanego przez oponenta.

Tym, którzy się nim zajmują z pewnym oddaniem, dostarcza jednak programowanie chwil uniesienia, kiedy po długim wysiłku osiąga się cel. Forma, jaką posłużył się autor powyższych opowiadań, jest dobra, ponieważ takie chwile przypominają momenty oświecenia, kiedy to łucznik, strzela i cel staje się jednym.

Janusz Cyran
programista

Mieliśmy dłuższą przerwę w dostawie „Locusa” i dlatego będziemy omawiać treści najciekawszych zaległych numerów. Oto wybrane materiały z numeru styczniowego 1993 r.

C. J. Cherryh, autorka zarówno utworów fantasy jak SF, mówi w wywiadzie o różnicach między tymi rodzajami literatury.

Science fiction na ogół zakłada, że kiedy stykamy się z jakimś zdarzeniem, należy je rozumieć, podczas gdy w literaturze fantasy można się zastanawiać, można się tego bać, można usiłować coś z tym zrobić, ale zawsze jest możliwe, że mamy do czynienia z czymś niepojętym. Również w fantasy zawsze występuje element etyczny. Science fiction może być opowieścią o etyce, ale zazwyczaj bywa komplikowana kompromisami, do których jesteśmy zmuszani w rzeczywistym świecie. W fantasy wybory etyczne bohatera muszą być jawne, ale za pomocą magii można sprawić, żeby wybór był bardziej wyrazisty.

Ponieważ fantasy jest moralitetem, jej bohaterowie to zazwyczaj ludzie młodzi albo nieuforni, albo też w trakcie formowania swojego systemu wartości. Tymczasem w SF bohaterowie są często ludźmi starszymi, o etyce ukształtowanej w społeczeństwach, które rozumiemy.

W dziale recenzji zwraca uwagę omówienie nowej powieści Gene'a Wolfe'a „Nightside the Long Sun”. Otwiera ona czterotomową sagę umiejscowioną na statku kosmicznym, który dla jego mieszkańców jest po prostu światem. Pod względem kulturowym atmosfera odpowiada ostatnim wiekom starożytnego Rzymu. Starzy i nowi bogowie pojawiają się na ekranach komputerów pokładowych, a symbolem nowego Przybysza z Zewnatrz jest znak dodawania.

Gary K. Wolfe, jeden z najbardziej interesujących krytyków amerykańskich, pisze o książkach czerpiących inspirację z religii. Norman Spinrad po nieudanej powieści politycznej, w której zdrowy Związek Sowiecki stawia na nogi chorą Europę (kiedy zaczynał powieść, ostrzegałem go, że historia toczy się w przeciwną stronę, ale głęboko zakorzenione lewac-

SF na świecie

two uczyniło autora głuchym), wydał „Deus X”, krótką powieść zaczynającą się jak satyra na katolicyzm, która później wchodzi w interesujące rozważania na temat duszy. Czy psychika człowieka zapisana w komputerze ma też swoją komputerową duszę?

Orson Scott Card pisze serię powieści „Homecoming”, w której czerpie bogato ze Starego Testamentu. Dotychczas wyszły „The Memory of Earth” (Pamięć o Ziemi) i „The Call of Earth” (Zew Ziemi). Robert Silverberg w powieści „Kingdoms of the Wall” rysuje społeczeństwo żyjące w cieniu ogromnego łańcucha górskiego. Co roku wybrancy odbywają pielgrzymkę-wspinaczkę, z której prawie nikt nie wraca. Gore Vidal postanowił wykorzystać science fiction do satyry na religię i homoseksualnych bluźnierstw w powieści „Live from Golgotha” (Z Golgoty na żywo).

Wreszcie R. A. Lafferty, wielki samotnik bytujący na obrzeżach SF, opublikował powieść „More than Melchisedech”, której bohaterem jest nieśmiertelny uczestnik wyprawy po Złote Runo, toczący we współczesnym świecie odwieczną walkę z diabłem. Recenzent nazwał powieść Lafferty'ego „apokaliptyczną epiką”.

Lech Jęczyński

IKARIE

Nowy rok „Ikarie” powitała podwyżką ceny (z 15 na 17 koron) i trochę gorszym papierem. Reszta wygląda mniej więcej tak samo, jak w roku ubiegłym. Główną częścią są opowiadania zagranicznych i rodzimych pisarzy: Freda Saberhagena, D.S. Garnetta, Pat Cadigan i Charlesa L. Fontenaya. Z czechskich opowiadań bardzo lubianego w fandomie czechkim autora Stanislava Svachoucka „Linka splenionych prani” (Linia spełnionych marzeń) oraz znanego i w Polsce Josefa Pecinovskiego „Lidě se mě bojí” (Ludzie się mnie boją).

W dziale publicystyki znalazł się artykuł Josefa Nesvadby o trudnościach, których kiedyś, w czasach komuny, narobił mu jego przyjaciel Brian Aldiss swoim wstępem do wydanej w Anglii książki

Nesvadby. W dziale recenzji bardzo pochlebna krytyka „Wiedźmina” Sapkowski. I naturalnie filmy: „Innerspace”, „Cyborg”, „The Barbarian Brothers”, „Millenium” i „Child's Play”.

W numerze lutym pierwszym część „Sailing to Bysantium” Silverberga. Brak natomiast opowiadań czechskich. Zastępuje je tekst autorki słowackiej (już także zagranicznej) Violi Kovacovej „Słodkie milénium” (Słodkie milénium). Jest to raczej tradycyjne opowiadanie, jakich czytaliśmy już wiele.

Bardzo interesującą pozycją tego numeru jest wywiad z Terry Rawlingsem, który uczestniczył w produkcji filmu „Alien 3”. W dziale nowości ze świata SF pisze się o nowej książce Sapkowski „Miecz przeznaczenia”, są sprawozdania z różnych conów, filmy („Wedlock”, „Leviathan”) itp. W galerii M. Zhouf przedstawia publikację angielskiego wydawnictwa Paper Tiger.

Marcowy numer na okładce i jej wewnętrznych stronach przedstawia mego ulubionego twórcę Rodneya Mathewsa. Został też ogłoszone nominacje do nagrody Ikaros na rok 1992. W zeszłym roku w Czechach ukazało się 239 tytułów fantasy, fantastyki i horroru, z tego 55 pozycji rodzimych autorów. Największym wydawcą jest Ivo Zelený, dalej Laser, AG Kult, Najada i Winston Smith. Fantastykę drukuje aż 66 oficy! Wśród tych pozycji niestety tylko dwie polskiego pochodzenia – Konwickiego „Mała Apokalipsa” i Sapkowski „Wiedźmin”. Obie jednak należą do tych lepszych, mają powodzenie u czytelników i są także bardzo atrakcyjne edytorsko (o wiele lepszy poziom niż w wydaniach polskich). „Wiedźmin” już uzyskał wyróżnienie na Draconie w Brnie za najpiękniejszą okładkę zeszłego roku. Brawa należą się wydawnictwu Winston Smith z Pragi.

Opowiadania jak zwykle: Alfred Bester, Greg Bear i dokończenie „Sailing to Bysantium” Silverberga. Z rodzimych utworów: starsze opowiadanie Milana Sobotika „Ogigva Vysokych”, fantasy Jaroslava Petra „Tajemství cesty” (Tajemnica drogi) i coś a la cyberpunk Petra Kaufnera „Fantom cyberface”, bardzo dobrze przyjęty na zeszłorocznym Parconie. Tym razem poziom opowiadań trochę lepszy.

Jiri Pilech

Lista bestsellerów * lipiec 1993

Lato tego roku było zjawiskiem poniekąd niefortunnym – jak w filmie Jirego Mentzla „Kapryśne lato”. Było chłodno i lato – może taka aura spowodowała wzrost czytelnictwa? Notowania Księgarni Wysyłkowej „Verbum” (uwaga: zmiana adresu!) wyjątkowo obejmują okres ostatnich dwóch miesięcy. W czerwcu nie udało się nam skontaktować i w ten sposób staramy się nadrobić brak „Verbum” na poprzedniej liście.

Księgarnia Wysyłkowa „Verbum”, Olsztyn, Emilii Plater 1

1. Clifford D. Simak: *Stacja tranzytowa* (Phantom Press)
2. Gordon R. Dickson: *Smoczy rycerz t. 1/2* (Amber)
3. Tad Williams: *Smoczy tron* (Rebis)
4. David Eddings: *Rubinowy rycerz* (Amber)
5. Philip K. Dick: *A teraz zaczekaj na zeszły rok* (Alkazar)
6. Henry Kuttner: *Próżny robot* (PiK)
7. Ursula K. Le Guin: *Wydziedziczeni* (Phantom Press)
8. Jack L. Chalker: *Powrót Nathana Brazila* (Rebis)
9. Alfred Bester: *Gwiazdy moim przeznaczeniem* (CIA Books)
10. Marvin Kaye, Parke Godwin: *Władcy samotności* (Alfa)

Księgarnia „Pod Arkadami”, Myślenice, Piotra Skargi 1

1. Poul Anderson: *Strażnicy czasu* (Phantom Press)
2. Isaac Asimov: *Gwiazdy jak pył* (Prima)
3. Isaac Asimov: *Preludium Fundacji* (Varia)
4. Graham Masterton: *Dziedzictwo* (Rebis)
5. Ursula K. Le Guin: *Wydziedziczeni* (Phantom Press)

Księgarnia Oramus*, Warszawa, Młynarska 9

1. Isaac Asimov: *Preludium Fundacji* (Varia)
2. Orson Scott Card: *Planeta Spisek* (Phantom Press)
3. Ursula K. Le Guin: *Wydziedziczeni* (Phantom Press)
4. Roger Zelazny: *Ręka Oberona* (Iskry)
5. Isaac Asimov: *Gwiazdy jak pył* (Prima)

*Nie jestem właścicielem ani udziałowcem tej księgarni – Marek Oramus.

Księgarnia „U Izy”, Warszawa, Wilcza 71

1. Tad Williams: *Smoczy tron* (Rebis)
2. Gordon R. Dickson: *Smoczy rycerz t. 1/2* (Amber)
3. Henry Kuttner: *Mokra magia* (Tor)
4. Orson Scott Card: *Planeta Spisek* (Phantom Press)
5. Isaac Asimov: *Preludium Fundacji* (Varia)
6. Isaac Asimov: *Gwiazdy jak pył* (Prima)

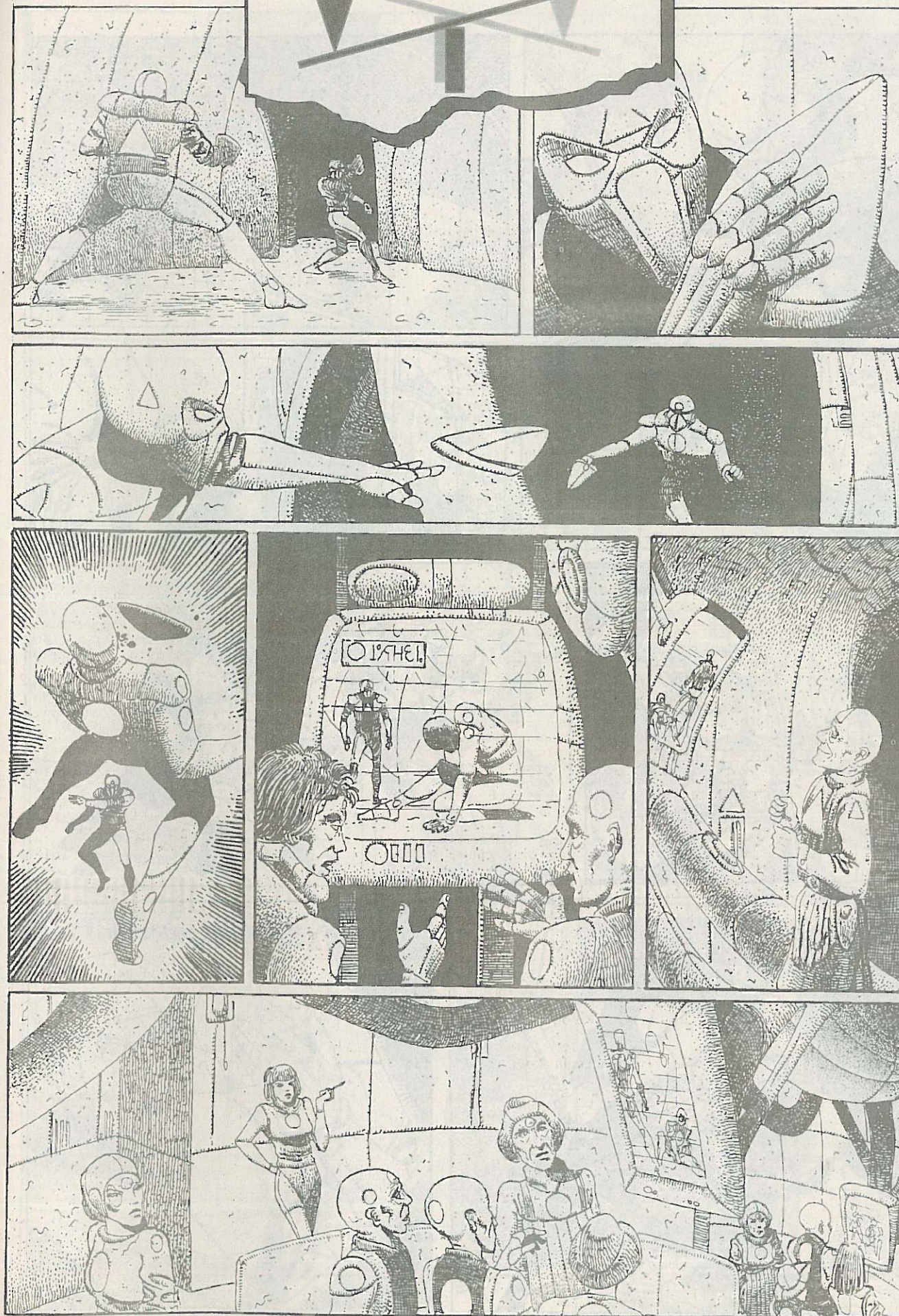
Hurtownia „Liber”, Kraków, Lubelska 14

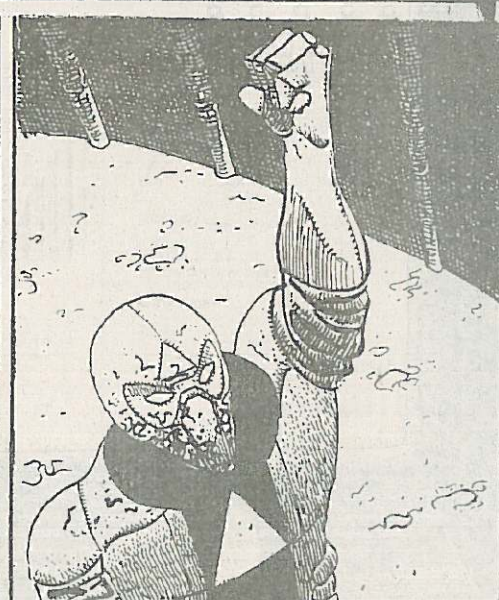
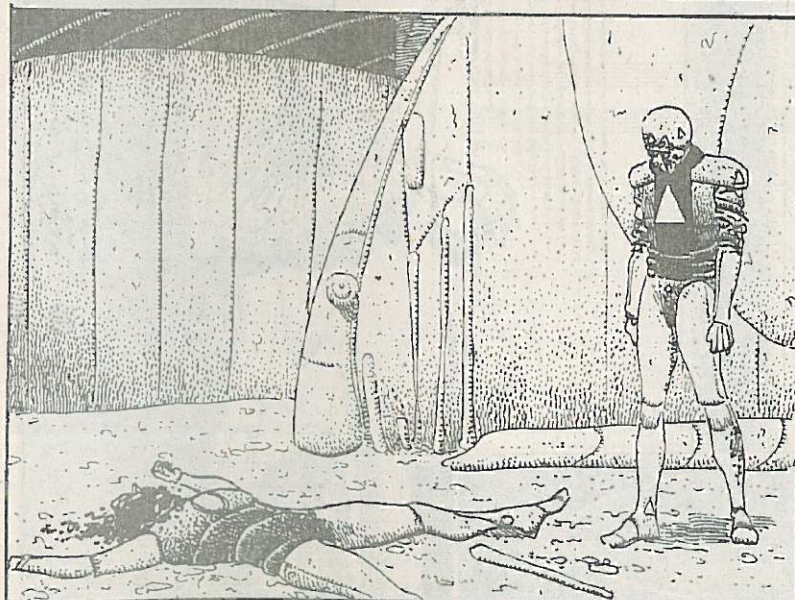
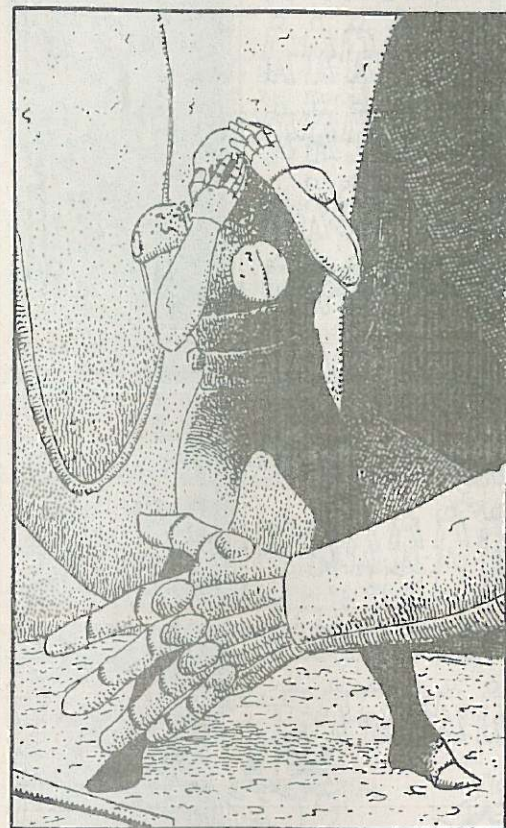
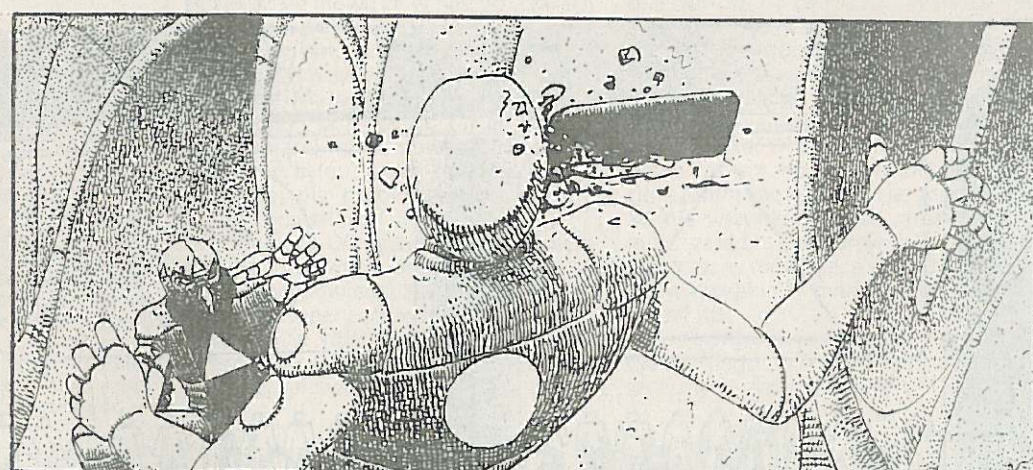
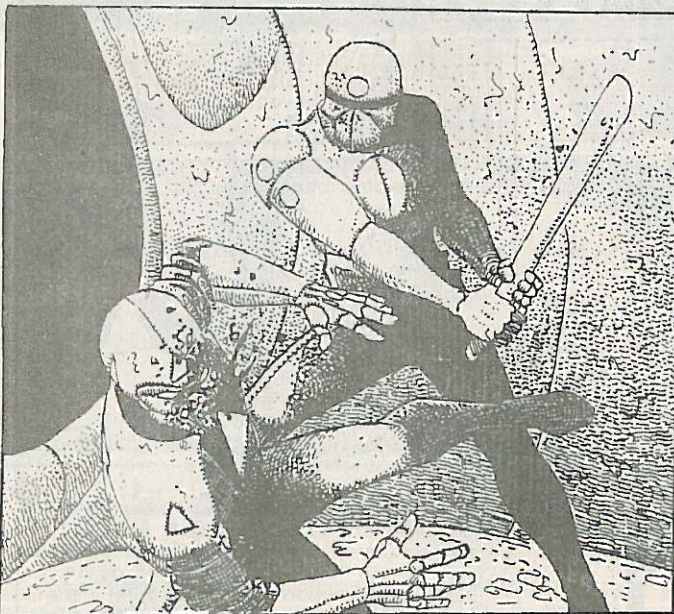
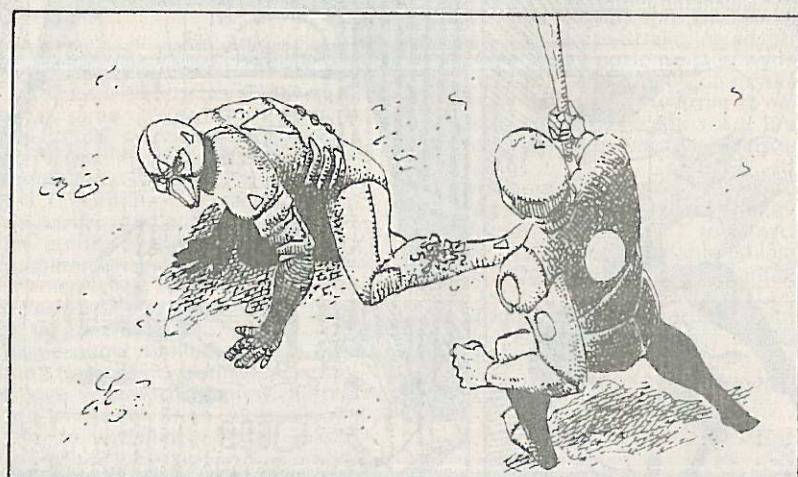
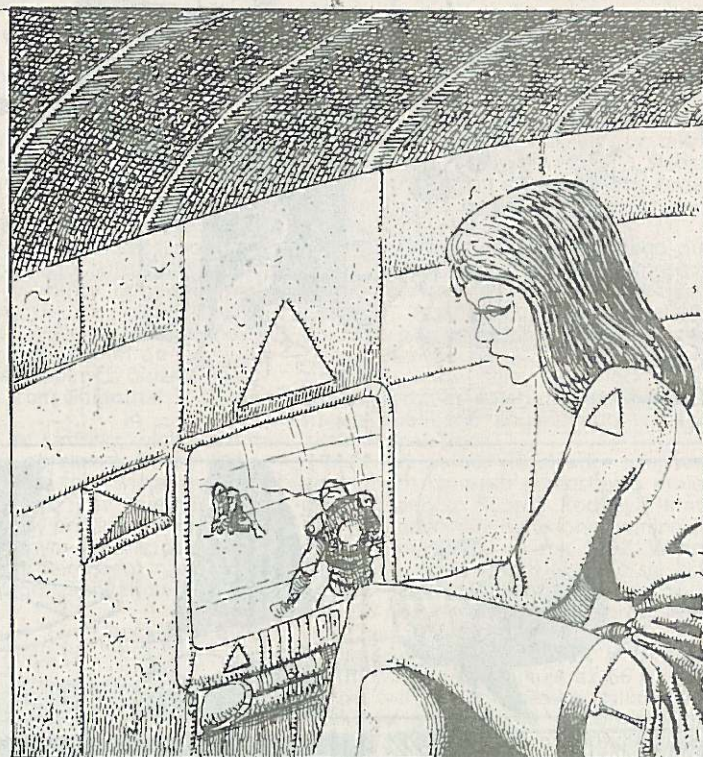
1. Dean R. Koontz: *Odwieczny wróg* (Amber; sprzedano 800 sztuk)
2. Isaac Asimov: *Preludium Fundacji* (Varia; 600)
3. Roger Zelazny: *Ręka Oberona* (Iskry; 450)
4. H. Rider Haggard: *Eryk Promiennooki* (Alfa; 255)
5. Henry Kuttner: *Mokra magia* (Tor; 220)

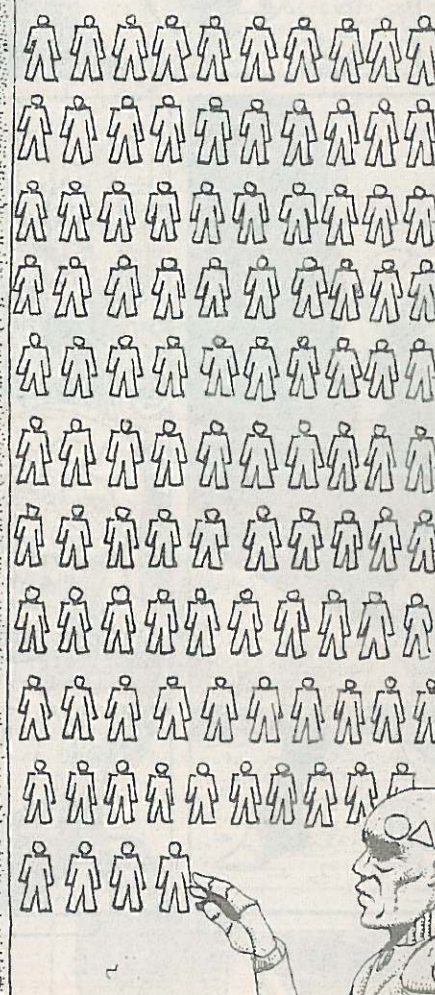
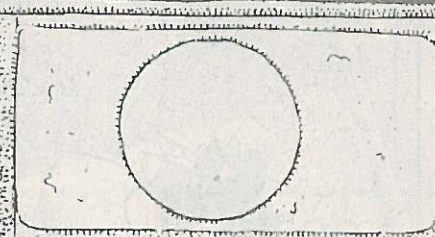
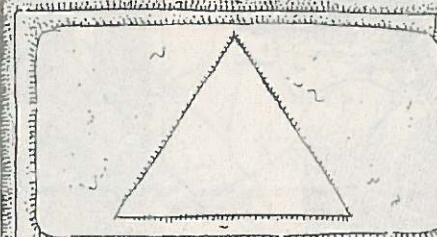
Rekomendujemy: Dick: *A teraz zaczekaj na zeszły rok*; Le Guin: *Wydziedziczeni*; Bester: *Gwiazdy moim przeznaczeniem*; Asimov: *Preludium Fundacji*.

(MO)

Piotr Kowalski







PIOTR KOWALSKI 1993

Komu, komu...

Wszyscy miłośnicy Tolkiena, pomóżcie! Może wśród zakamarków Waszych szaf zachowały się cudem następujące pozycje: „Rudy Dżill i jego pies”, „Kowal z Podlesia Węskiego”, „Niedokończona opowieść Numeroru i Śródziemia” wydane przez Phantom Press oraz film Ralpa Bakshiego „Władca Pierścieni” z roku 1978, miesięcznik „Fantastyka” nr 2 z roku 1985 (z opowiadaniem J.R.R. Tolkiena „Liść, dzieło Niggle’a” w środku), fanziny „Gwaihir” i „Wiadomości Bucklandu” oraz wiele, wiele innych map, płyt, albumów, słowników, książek dotyczących życia i twórczości Tolkiena. Ewentualny dobroczyńca może oczekiwać przede wszystkim na zapłatę w gotówce, tylko w nagłych, niespodziewanych wypadkach pożądane książki wymienię na twórczość Andersona, Pöhla, Le Guina, Howarda, Watsona, Dicka, Lucasa, Heinleina etc., etc. (ok. 70 książek). Karol Maziukiewicz, ul. Wileńska 29 m. 65, 19-303 EŁK.

Z bardzo ważnej dla mnie przyczyny jestem zmuszony sprzedać w całości swój zbiór „Fantastyki” i „Nowej Fantastyki” z lat 1982-1992. Bez numerów: 1, 2, 8 z 1983 r., 12/88, 10/89, 10, 12 z 1990 r., 2/91 i 5/92, ale za to z podwójnymi numerami (np. na wymianę): 9, 11, 12 z 1983 r., 6 i 12 z 1984 r., 3, 5, 7, 10 z 1986 r., 2/87 i 2/89. Sławomir Małkowski, ul. Żabia 14, 42-700 LUBLINIEC, woj. częstochowski, tel. (0-334) 619-46 od godz. 16 do 20.

„Fantastykę” nr 2 z 1982 r., 2, 6, 10 z 1983 r., 2 i 8 z 1984 r., 1, 3, 4, 7-12 z 1985 r., 1-3, 5, 6 z 1986 r. zamienię na almanach fantastyczno-naukowy „Kroki w nieznanie” t. 1 z 1970 r. i t. 6 z 1976 r., „Rakietowe szlaki” (Czytelnik 1957), I. Asimov: „Preludium Fundacji” z 1990 r. Zbigniew Borowicz, ul. Prószkowska 33 m. 7, 45-759 OPOLE, tel. 743-732.

Odstąpię lub wymienię na „Fantastyki” książki, jak też inne dobro fantastyczne, sporą liczbę starszych i nowszych książek z dziedziny science fiction, fantasy i horroru. Tomasz Łasecki, 86-330 MEJNO, woj. toruńskie.

Książkę „Bóg Imperator Diuny” F. Herberta (nie czytana, nowa) wymienię na „Silmarillion” J.R.R. Tolkiena. Bartek Ziemięwicz, ul. Zamenhofska 38/12, 72-009 POLICE.

Wymienię pojedyncze numery „Fantastyki” z lat 1984-87, „Małego Modelarza” z lat 1981-1990, gry: „Ratuj swoje miasto” i „Bitwa na polach Pellenu” oraz komiksy na interesujące pozycje z literatury SF i fantasy, szczególnie na J. Hiltona „Zaginiony horyzont” i J.P. Huberta „Obszar marzyciela”. Jarosław Krewniak, ul. Dożynkowa 41/1, 31-234 KRAKÓW.

...3...2...1...

Nieraz się mówi, że w naszych czasach rzeczywistość prześcignęła wyobraźnię, bijąc fantastów na głowę. Ale nie tylko w tej dziedzinie spotykamy nowe zjawiska. Niespodziewanie znajdujemy je w radiu i w telewizji. Takiej bowiem przerażającej nowomowy tam jeszcze nigdy nie było. I takiej rusycyzacji języka, jakiej nie notowaliśmy w żadnym okresie przeszłości.

Przykłady? Oto żywcem zaczerpnięta z radia i telewizji, jakby poskładana w całość z wypowiedzi tych mass mediów, recenzja opery Pucciniego „Tosca”. „Wczoraj w stołycy, miała miejsce premiera słynnej opery. Jedni mówią, że najlepiej śpiewała primadonna w scenie,

skie ciut-ciut od czut'-czut'. Warszawiacy lubią też utwardzać naszą i tak już dość twardą, szeleszczącą mowę, zamiast i stosując powszechnie y np. w słowach *stolica, lyst*, a także wyrażając się o naszej ojczyźnie per *Polska* zamiast miękkiego *Polska*. Ohydny rusycyzm jest słowo *zaczem*, np. *zaczem* zacząłem lekcję – *zanim* zacząłem lekcję. Ale to *daleko* nie wszystko (*daleko* nie wsio). Łamiąc zasady prawidłowej, tradycyjnej polszczyzny mówi się, a także i pisze tak, jak w rosyjskim – *mnie* wydaje się, *znaczy* się itp.

To również normalka, gdy ziemniaki z niemieckiego – za pośrednictwem rosyjszczyzny – zwiemy *kartoflami*, a bučki

Nowomowa nie tylko w TV

gdzie Cavaradossi jest wyprowadzany na stracenie. Drugim wydaje się, że taka opinia jest ciut – ciut przesadzona. Póki co za wcześniej dyskutować na ten temat. Niektórzy uważali, iż lepsze od głosu miała primadonna *pantofle*. Byli i tacy, którym to bardziej podobała się suknia, którą założyła na spotkanie ze Scarpą. *Zaczem* się pójdzie na tę operę, należy zapoznać się z jej treścią, ponieważ jest śpiewana w języku oryginalnym”.

No i co? Fantastyczna lektura tej nowomowy, nieprawdaż? W dodatku prawie wszystkie co młodsze damy TV każda końcówkę wyrazów na -tych wymawiają -tech, i to niezwykle szorstko, zaznaczając ch podobnie jak Rosjanie. Słyszysz się ciągle o złotych zamiast o złotych. Szczególnie w dziennikach jest to ogromnie drażniące. Ktoś damy widać tego uczę.

A oto jeszcze inne egzemplifikacje nowomówienia, a czasem i nowopisania. Prawie wszyscy, zwłaszcza w Warszawie, używają zwrotu *na ile* (na skółko) zamiast o ile, w jakim stopniu. Bezpośrednio z rosyjskiego wyjęte jest warszaw-

pantoflami. W „Pokoleniach” i innych serialach, tłumaczonych (pożal się Boże, jak) z angielskiego, zawsze dziewczyna *zakłada* suknię, *miast* ją wkładać. Nagminnie o tym, co się wydarzyło, ludzie telewizji i radia powiadają, że *miało* miejsce albo że jeszcze *ma* miejsce (*hat Platz*). A ponieważ polski nie znosi strony biernej, „nowomowcy” – widocznie na złość – wprowadzają tę stronę, gdzie i tylko się da. Według nich strona bierna zawsze jest *wprowadzana* i być powinna!

Nie chce tutaj szczegółowo wytykać błędów naszym pisarzom-fantastom i fanom. Ciekawe, że w sumie w opowiadaniach mniej tych „byków” niż w przekazach informacyjnych. Czy to właśnie nie jest jakieś typowo fantastyczne zjawisko?

Orbitujemy więc nadal prawie bez błędów.

Adam Hollanek

PS. Opuściłem jeszcze jeden przerażający „warszawizm”, polegający na mówieniu *żeśmy*. *Żeśmy* byli, *żeśmy* robili, *żeśmy* się pobili. *Żeśmy* z języka polskiego mowę *żeśmy* zrobili.

A.H.

„Nowa Fantastyka” – w kiosku 16 000 zł, a w prenumeracie TYLKO 10 000 zł!!!

Pokwitowanie dla wpłacającego

zł
słownie
WPŁACAJĄCY
imię
nazwisko
ulica, nr domu, nr mieszkania
kod pocztowy
miasto

na rachunek

Prószyński i S-ka

02-569 Warszawa, ul. Różana 34

PB K VIII O/Warszawa

370028-806149-136

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł

Odcinek dla posiadacza rachunku

zł
słownie
WPŁACAJĄCY
imię
nazwisko
ulica, nr domu, nr mieszkania
kod pocztowy
miasto

na rachunek

Prószyński i S-ka

02-569 Warszawa, ul. Różana 34

PB K VIII O/Warszawa

370028-806149-136

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł

Odcinek dla banku

zł
słownie
WPŁACAJĄCY
imię
nazwisko
ulica, nr domu, nr mieszkania
kod pocztowy
miasto

na rachunek

Prószyński i S-ka

02-569 Warszawa, ul. Różana 34

PB K VIII O/Warszawa

370028-806149-136

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł